SZKÓŁKA DLA MŁODZIEŻY.

Rok V. 1854. Poszyt I. i II.

POEZYE.

Wiecznie to samo.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżéj, to wyżéj,
Nad czystą jak kryształ rzeczułką;
A coraz to szybciéj, a coraz to hyżéj,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnéj, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiéj ligawce,
I słonko przygrzewa w poranek.
Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gajku przepadnie.
Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościółka,
Z za lasu, z daleka zadzwoni;
A dzwonek zamilknie to złota mi pszczółka,
Zabrzęczy na kwietnéj na błoni;
A pszczółka przysiędzie na świeży sasanek,
To piosnka dziewczęcia drży w wietrze.
O! Boże mój drogi — w wiosenny poranek
Jak wszystko i świeższe i letsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
Co ledwie że w pączki rozpuka;
I słucham jak w lesie pod sosny koroną
Kukułka wciąż kuka i kuka.
Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
A dużo naliczysz mi latek?.....
O ptasze ty moje! o ptasze ty wieszcze,

I kiedyż tam będzie ostatek?....
Już dziesięć, dwanaście, i jeszcze wciąż dzwoni,
Za wiele moja ty ptaszyno. —
— Nie bój się, nie wiele — w ojczystéj ustroni
Twe lata jak woda przepłyną.
....

2.

Bławatki kąkole zbielały od słońca,
Gdzie niegdzie się tylko niebieszczą;
A polne koniki we zbożu bez końca
Zwyczajną piosenkę szeleszczą.
Maleńka przepiórka już woła z pod prosa:
Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć, co żywiéj,
Bo jeśli w pogodę nie puści się kosa;
To potém się słota sprzeciwi. —
Bóg zapłać przepiórko! twój głosik kochany
Wesoło przypada mi w ucho;
Pójdź koso z komory, pójdź sierpie ze ściany,
Bo w chacie wieśniaka już krucho.
Pocieszcie się dzieci, chléb będzie, chléb nowy,
Nasz chlebek kochany, dar boży;
Matuchna upiecze i na stół dębowy
Jak słońce bochenek położy. —
Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
Chłopaki, dziewczęta jak róże;
O! chwałaż ci Boże za nowe za latko
Hej! chłopcy, dziewczęta a nuże!
Brzęk brzęku, brzęk brzęku pośpiesznie a chyłkiem,
Śmiech słychać, spłoszyli zająca.
I oto się bielą nad rannym posiłkiem,
Pod gruszą co chroni od słońca.
A niebo tak równe jakby je wygładził,
A słońce tak jasne choć małe;
A w łąkach tak kwiecia jak gdyby nasadził,
Czerwone, niebieskie i białe.

3.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.
Gdy spojrzę na dziadka jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednako,
To cichą modlitwą źrzenica się łzawi,
O! Boże daj starość mi taką.

4.

Na polu omgloném jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza w około, a gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty;
Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydle się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką coś kopie,
Dziadulo wciąż struże i struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.
I jakoś nam błogo choć chmurno na dworze,
Nam woda do chaty nie leci,
Człek żyje jak może, i robi co może,
Dla ojca, dla żony, dla dzieci.

5.

Mnie wszystko tak cieszy co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili;
I niewiem co milsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę co w białéj len przędzie świetlicy?
Nad ziemię co zboże mi rodzi?
Nad gwiazdkę co w czystéj kąpie się krynicy?
Nad miesiąc co z lasu wychodzi?
I niewiem co milsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?
I niewiem co szybsze nad myśl niezgonioną?
Nad serce poczciwe gorętsze?
Co bardziéj smutniejsze nad młodość straconą?
Nad pracę i miłość co świętsze?
Nad krzywdę rodaka co bardziéj porusza?
Co lepiéj nad kosę uzbraja?
Co prędzéj nad wiarę łzy z oczu osusza?
Co więcéj nad radość upaja?

Są różni na świecie i tacy i tacy,
Są dobrzy, niedobrzy — któż nie wie?
Ja o tém nie myślę, co zbywa od pracy,
To spędzam przy dzieciach, przy śpiewie,

To z ojcem, to z dziadkiem, to z dziećmi się bawię;
To niby na niczem, tak oto;
Jak teraz gdy stojąc przy zżętéj otawie *),
Patrzę się na zorzę, na złotą....

Paryż, dnia 24. marca 1854. r. T. Lenartowicz.

Nad Wisłą.

Oj Stachu, miły Stachu!
Oj ciecze woda z dachu,
Oj wiosna da wiosenka,
Niedługo lód popęka!
Oj zima, twarda zima
Oryla **) w chacie trzyma,
Pod śniegiem trawkę młodą
A jaskółkę pod wodą.
Oj zima, twarda zima,
W chałupie drzewa nie ma,
Ni chróstu na ognisko,
A słonko jeszcze nisko.

Ptaszek się w wodzie pluska,
Do lasa jedzie zwózka.
Wyciągaj Stachu wiosła,
Bo woda lód podniosła.
Pan Jezus oj łaskawy!
Niedługo przyjdą spławy,
A do kalety grosze,
Co ją na sobie nosze.

....

Oj daléj Stachu daléj,
Pośrodkiem kra się wali.
Sroga jakby moc boża,
Wisła się rznie do morza;
A my dzieci téj wody
Na hulanki, przygody,
Na galary a śmiało,
Ażeby aż zagrzmiało.

*) otawa-potraw.
**) Oryl-flis-żeglarz na Wiśle.

Hej retmany! retmany!
Pójdźcie nad brzeg wiślany,
Słoneczko wam przyświeci,
Kulik przodem poleci,
I ten bocian daleki,
Tęskny do naszéj rzeki,
I ta wronka siodłata,
Co nad sosny podlata,
I kruki niespokojne,
Co się kupią na wojnę,
Co się chmurą tak garną,
Że na śniegach aż czarno;
Poleci i skowronek,
Żeby ośpiewać dzionek,
I po wodzie, po szklistéj
Wiatr powieje ojczysty.

Oj powiéj wiatru wschodni,
Bośmy ojczyzny godni,
Czy godni, czy niegodni,
Powiéj wietrzyku wschodni.....

T Lenartowicz.

Do Tesi

(w dzień rozpoczęcia lekcyi muzyki.)

Tesiunio kochana!
Gdy do fortepiana
Siądziesz codzień zrana,
Pamiętaj dopóty
Nie wziąć żadnéj nóty,
Nie tknąć żadnéj gamy,
Póki w sobie saméj
Jak w kościelnym progu
Nie westchniesz ku Bogu:
»Przyjm to moje granie
»Na cześć Twoją, Panie!«

Bo wszystko na świecie,
Lube moje dziecie!
Co ma głos lub dzwięki,
Bogu cześć i dzięki,

Bogu chwałę niesie.
Jemu wiatr po lesie,
Jemu szumią drzewa,
Jemu ptaszek śpiewa,
Jemu brzęczą pszczółki
Po nad drzew wierzchołki;
Jemu gwiazdy grają,
Jego wyznawają
Na strunach i głosach
Ludzie — a w niebiosach
Na wieki weseli
Śpiewają anieli

Owoż ci anieli,
Gdy będą widzieli,
Że i ty wspól z niemi
Modlisz się na ziemi:
Wszyscy się za ciebie
Pomodlą na niebie
Z świętą Cecylią.
Anioł-Stróż z lilią,
Przy twym fortepianie
Niewidomy stanie,
I tak w imię Boże
Uczyć się pomoże,
Że z strun twoich echa,
Da Bóg, będzie brzmiała:
Rodzicom pociecha,
Panu Bogu chwała.

A. E. Odyniec.

Tesia do Lalki.

Lalko moja serdeczna!
Kocham ciebie jak mama.
Alež i ty bądź grzeczna,
Zasługuj na to sama.

Kiedy cię w czém przestrzegą,
Nie strój wnet kwasnéj minki,
Bo nic nie ma brzydszego,
Dla kochanéj dziewczynki.

A i to też wstyd wielki,
A nawet jest i grzechem,
Iść do nauczycielki
Z łezkami, nie z uśmiechem.

Bo gdy się ona męczy
Nad tobą, moja złota!
Cóż jéj ten trud zawdzięczy,
Jeśli nie twa ochota?

A gdy już siędzisz przy niéj,
To pilnie nastaw uszko;
Bo to jéj przykrość czyni,
Gdy nie uważasz, duszko!

A choć co, moja droga,
Będzie ci czasem ciężyć,
To dla miłości Boga,
Staraj się przezwyciężyć.

Bo nic bardziéj dzieweczki,
Takiéj jak ty, nie zdobi,
Jak gdy chętnie, bez sprzeczki,
Wszystko, co trzeba, robi.

Obaczyłabyś sama
Jak to źle, moja miła!
Gdyby co ty chcesz, mama
Z gniewem tobie robiła.

No! no! cicho! nie szlochać!
A staraj się poprawić!
Ja za to będą kochać,
A pan Bóg błogosławić.

A. E. Odyniec.

Rubelek Tesi.

Maj, wiosna, w około
Pogodnie, wesoło,
Zielono, błękitnie,
Co kwiatek, to kwitnie,

Co płaszek, to śpiewa,
Gaj, pola i drzewa
Brzmią w kolėj, jak tony
Tėjż pieśni i stróny.
I oto w ogródku,
Po kwiątkach, w drzew chłodku,
Śród pląsów, igraszek,
Jak kwiatek, jak płaszek,
Tesiutka, malutka,
Swawolna filutka,
To śpiewa, to biega,
Aż sad się rozlega,
To piosnką, to śmiechem,
To kroków jéj echem.
A na ganku, jak co ranku,
Za wczorajszą w polu pracę,
Robotnikom, najemnikom,
Ojciec siedząc dzieli płacę.
Postrzegła,
Przybiegła,
I obces do Taty:
»Jaki ty bogaty!
»Dajże i mnie proszę,
»Choć grosz, — choć trzy grosze!«
— »A za co? — Ej Tato!....«
— »A na co? — Ot na to, —
»Na włóczki, koralki,
»Na różne zabawki,
»Na suknię dla lalki,
»Obróżkę dla Żwawki«....« —
I nagle jak sroczka,
Porwała rubelka,
I rada z figielka,
Uciekła jak skoczka.
Po godzinie, ojciec słucha,
W całym sadzie cisza głucha,
Nikt nie skacze, nikt nie śpiewa.
Gdzież to Tesia? — W cieniu drzewa,
Twarz na dłoni, dłoń na ręku,
Siedzi wsparta, z rublem w ręku,
Siedzi, myśli, — co za niego
Kupić komu, wiele czego?
Suknię lalce? — jaką? białą?
Nie! — Zieloną? — tę już ma;

Żółtą? — nie, fe! żółta zła;
Więc różową, czy błękitną,
Ale całą aksamitną!... —
Lecz czyż na to rubla dosyć? —
Można Tatę znów poprosić,
Ale kto wie, da czy nie da? —
Wreszcie z Tatą mniejsza bieda,
Ale Mama! — Czuję sama,
Że dziś z Mamą przed śniadaniem,
Nie najlepiéj poszła gama,
Jak po grudzie szło z czytaniem
Mama powie .... Tata, kto wie,
A nuż może każe sobie
Oddać nawet co dał? — Bieda! —
Co tu począć? Główkę skrobie,
Sama sobie rady nie da
»No! toż nie chcę nic kupować.
»Rubla schowam. — A gdzież schować?
»Skrzynki nie mam. Ancia mówi,
»Że najłatwiéj złodziejowi
»Przyjść i ukraść. — No, to włożę
»Pod poduszkę. — A jak może
»On z łożeczkiem mnie wyniesie?
»Obudzę się w nocy, w lesie!...
»Ach! i daléj w płacz żałosny. —
»Ach! ty rublu! ty nieznośny!
»Co ja muszę cierpieć za cię! —
»Precz odemnie! oddam Tacie.« —
Już chce skoczyć — i znów stoi.
Spuszcza główkę, znów coś roi,
Żal rubelka. — Jak się odda,
Już go nazad nie odebrać;
Chować, kłopot; — stracić, szkoda. —
Ach najlepiéj było nie brać! —

Gdy tak duma, Anioł-Stróż,
Stróż jéj myśli i serduszka,
Zlitował się, i do uszka
Szepnął z cicha: »Bież do Mamy!
»Tam jest mądrość, tam skarb dzieci;
»Nie doradzisz sobie samćj,
»Aż Bóg przez nią nie oświeci.« —
Tesia cała zczerwieniała,
Nie wie, że to głos anioła:
Czuje tylko, że się stała

Znów spokojna i wesoła. —
I do Mamy. — Aż u bramy
Mama z jakąś biedną gada,
Co wpół naga, wsparcia błaga,
O swych dziatkach rozpowiada.
Ma ich czworo, jednę chorą,
Troje z głodu mrą bez chleba!
Żal zdjął Tesię; — rubla niesie,
Wie już co z nim zrobić trzeba. —
I gdy Mama i uboga,
I Anioł-Stróż, w téjże chwili,
Z rozrzewnieniem, w imię Boga,
Wszyscy ją błogosławili;
Anioł-Stróż tchnął w jéj sumienie
Naukę na całe życie:
Że szczęście daje nie mienie,
Lecz dobre mienia użycie.

A. E. Odyniec.

Memento Mori. *)

LEGENDA.

(Fakt historyczny z życia Papieża Piusa VII.)

W Rzymie, znużon zgiełkiem świata,
Ochłonąwszy z żądz zapału,
Młodzian — dworak, dyplomata,
Stanął u konfessyonału.

I raz pierwszy, śród wyznania
Tajni serca, skruchą zdjęty,
Poczuł roskosz zaufania,
Poczuł urok prawdy świętéj.

I jak na blask rannéj zorzy
Ptak budzący się z uśpienia,
Dusza jego, na głos Boży,
Zatęskniła do zbawienia.

»Ojcze! — rzekł — »ty mi wskaż drogę!
Iść nią czuję chęć i męztwo.

*) Przedrukowane z Gazety Warszawskiéj.

Lecz wprzód osądź, co znieść mogę,
Bym nie wpadł w nieposłuszeństwo.« —

— «W modlitwie duszy otucha.
To droga prosta i jedna,
Co cię wprowadzi w świat ducha,
I światło łaski ci zjedna.« —

— »Ach! ojcze! urzędów tyle,
Tyle mi pracy nadano,
Że ledwo mogę mieć chwilę
Na pacierz w wieczór i rano.« —

— »W ciele największa pokusa,
Co nas odwraca od Boga.
Post, za przykładem Chrystusa,
Najlepszy oręż na wroga.«

— »Niestety! ojcze! me ciało
Służąc swéj żądzy zepsutéj,
Tak już swe siły stargało,
Że téj nie zniesie pokuty.

— »Biada mi, ojcze! z próżności
Tylem roztrwonił i dłużny,
Że choć na pozór pan włości,
Sam żyję z króla jałmużny.« —

— »Ha! gdy więc siły nie starczą
Na dzieła czynnych cnót ducha,
Niechże ci będą choć tarczą
Bierne: pokora i skrucha.

»Ilekroć będziesz miał porę,
Sam w siebie wnikaj tajemnie,
Budź skruchę; — a przez pokorę
Przyjm upominek odemnie.« —

Rzekł, i twarz kryjąc w kapturze,
Ku klęczącemu, przez kraty,
Dłonią znaczącą krzyż w górze,
Podał mu pierścień bogaty.

Pierścień w oprawie żałobnéj,
Z obrazem trumny, na któréj,
Jakoby napis nagrobny,
Czerniało: »Memento mori «

»Noś go, rzekł, z myślą, niepomnie,
Zwróci cię na te wyrazy,
Powtórz je — i wspomnij o mnie.«

Penitent pełen zdumienia,
Biorąc pamiątkę tak drogą,
Rzekł: »Spełniam twoje życzenia,
»Lecz niech wiem przecię od kogo?«

— »Teraz nie! lecz od téj chwili
Za rok, w świątyni téj saméj,
Przyjdź! a gdy duch mnie nie myli,
Bliżéj się wzajem poznamy.«

Penitent odszedł, odjechał
Do kraju swego i pana;
Lecz pomniał i nie zaniechał
Rad pobożnego kapłana.

I coraz częściéj w pierścieniu
Topiąc wzrok, dumał o życiu,
Aż w myśli, w sercu, w sumieniu,
Głos jego poczuł w odbiciu.

I w rok, o téjże godzinie,
Jak mu mąż święty powiedział,
Wstąpił w tęż samą świątynie;
Kapłan już w miajscu swém siedział.

»Ojcze! tyś zbawił mą duszę,
Talizman dałeś mi z nieba.
Poczuwszy, że umrzeć muszę,
Pojąłem, na co żyć trzeba.

I wszystko nagle, jak cudem,
Postać swą dla mnie zmieniło.
Odkąd mi wielkość jest trudem,
Karm' ducha znajduję w poście.

»Do górnych tęskniąc przybytków,
Wstręt budzi świata blask próżny.
Zdeptawszy w sercu chęć zbytków,
Poznaję roskosz jałmużny.

»Wszystko to, ojcze! twe dzieło
Bóg dał, żem z rad twych skorzystał.
Serce me w grób się zamknęło,
Lecz duch mój we mnie zmartwychwstał!«

— »Synu!« rzekł kapłan z wzruszeniem,
»Serce mię moje nie zwiodło. —
Bóg cię zaręczył pierścieniem,
Związku z nim teraz przyjm godło.

»Bo grunt mądrości — jest trwoga,
Co Śmieć i Wieczność w nas budzi;
Szczyt — miłość Krzyża dla Boga,
Co na nim umarł za ludzi.«

Tak mówił kapłan i razem
Z błogosławieństwem nad skronią,
Krzyż z Zbawiciela obrazem,
Sędziwą podał mu dłonią.

»Ktoś ty jest ojcze! przez litość!«
Zawołał młodzian — »ty, który
Serc, i znać Nieba znasz skrytość?«
Kapłan, twarz wznosząc do góry!

»Sługa sług,« rzekł mu pocichu,
»Przyjaciel ojca twojego.«
Młodzian padł na twarz — bo w mnichu
Poznał Piusa Siódmego.

A. E. Odyniec.

Kilka nowych poezyi Wincentego Pola.*)

Pacholę na grzybach.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiodłem kurek — patrzę zaczajony:
Aż tu pachołek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przede mną bardzo zatrwożony.

*) »Czas« krakowski podał niedawno temu wiadomość o przygotowanych do druku nowych poezyach Wincentego Pola, tego tak wysoko cenionego wieszcza naszego, i wydrukował kilka z tych poezyi. Spodziewamy się czytelnikom Szkółki sprawić prawdziwą przyjemność, powtarzając siedm z tych poezyi w piśmie naszém. Oby wszystkie te świeże a pożądane utwory ulubionego poety, jak najprędzéj znalazły nakładcę! — Nadmieniamy jeszcze, że w Petersburgu, nakładem Wolfa, opuścił niedawno prasę poemat Wincentego Pola, pod tytułem »Senatorska Zgoda«, którego przybycia niecierpliwie dotąd wyglądamy w Poznaniu.

— Nie bój się dziecię! co to robisz w lesie?
»Zbieram co znajdę!« chłopak mi powiada,
Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.
»Przednowek ciężki — to i to pomoże.
Matuś tam z dziećmi czeka na mię doma,
A jak paciorek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.«
— Miła chłopczyna! — znał kędy po lesie
Ptaki się gnieżdżą; znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbierać, i o którym czasie?
Najbardziéj sobie kacze jaja chwalił:
Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,
Ale się na to tylko trochę żalił,
Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.
Z kolei przyszło na jaja słowicze:
Rzekł mi chłopczyna: »Ja jemu nie szkodzę,
Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,
Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?«
Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz?
»A, brońże mię Boże!«
Ze trwogą chłopak mi na to odpowie —
»Taką się krzywdą człowiek nie wspomoże!
»Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna,
I Matka Boska — do tego Bolesna —
Wszystkie skowronki w swéj opiece trzyma;
Więc na skowronka żadnéj trwogi niema!«
— Jakto? — pytałem. —
»Alboż wy nie wiecie,
Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?
Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą
Przeszedł, gdzie Chrystus stanął niegdyś nogą:
Byłby już zbawion! lecz wówczas ludziska
Były nie dobre — bo podłe żydziska!
Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,
Chrystus na krzyżu oddał ducha w męce!
»Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął,
I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spojźrzy się Marya — skowronek zawisnął!
»I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał mu odjąć, choćby jedno ciernie,

Więc póty dzióbkiem i dzióbał i dzióbał,
Aż cierń z korony najświętszéj odskubał.
»Błogosławiła Marya skowronkowi,
Podniosłszy w niebo te oczy żałosne,
I rzekła w łasce: będziesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!
»A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
I wielką chwałę Matki Bożéj głosi.
»Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem cię chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.«
To rzekłszy nisko i wesoło skłonił,
I ku domowi z koszem jaj pogonił,
A jam pomyślał:
Po co tu legendy?
Gdzie wiara w sercu, tam i cud jest wszędy!

Kometa.

Jakiś ruch wielki zrobił się z wieczora,
I wszystko wyszło ze starego dwora,
I każdy woła do drugich i siebie:
»Gwiazda z ogonem! Kometa na niebie!«

I chwila ciszy — w któréj każdy wziera
Do własnéj głębi i serca się radzi,
Albo się myślą w sądy Boskie wdziera:
Co to ta gwiazda za sobą prowadzi?

Po takiéj chwili niemego badania
Różne domysły, życzenia i zdania:
»Wrześniowa gwiazda to i na moc wróży,
Może téż zdrowie i ludziom posłuży?«

»Z południa wyszła i na zachód bieży,
Znać po zachodzie tą rózgą uderzy,
Może na niebie coś się tam przesila?
Może się światu zbliża wielka chwila!«

Prawda, że pięknie i wesoło kroczy,
I dziwnie nęci i serce i oczy,

Bujnym ogonem jak snopem zamiata
Może téż wrócą urodzajne lata...?

»Nie, to na wojnę! — ktoś inny powiada —
I była taka w jedynastym roku.«
— O nie! z téj pójdzie światu dobra rada,
A tamta krwawo świeciła w obłoku!«

I tak krążyły długo różne zdania,
I różne wróżby, różne przekonania,
Aż gwiazda zaszła na wieczorném niebie
Rzekł ktoś śród tłumu niby sam do siebie:

Kiedy Bóg w ugór puścił dziziaj ludzi,
To tylko jedno życzenie się budzi:
Wiele boleści — a cały świat czeka,
Daj Panie światu wielkiego człowieka!
Jeżeli ziemi urość ma wesele
Postaw wielkiego człowieka w kościele!
Bo bardzo nędzna bez téj łaski nieba,
Bo światła, ciepła błaga świat po mrozie.
Jeżeli światu chłosty jeszcze trzeba,
To daj go Panie nawet i w obozie!
Bo taki w dziejach już porządek stary,
Kto nie chciał Bogu, da światu ofiary,
I z nędzy własnéj i z światowych śmieci
I ze krwi własnéj i ze własnych dzieci.
Więc daj go nawet w nieprzyjaciół domu!
Wielkie niestraszne — atraszno ginąć marnie,
I śmierć głodowa straszniejsza od gromu,
Wielkie nie straszne — bo wszechmocą garnie.
A kiedy cała — cała ludzkość czeka,
Daj Panie światu wielkiego człowieka!

Chata pod puszczą.

Pies ruszył sarnę, dalejże za tropem!
Ale pociecha była bardzo krótka,
Bo po trzech susach była za okopem,
I do małego wskoczyła ogródka.

Patrzę z okopu, gdzie to pies pogonił?
A tu przede mną i domek i sadek,
I po podwórku uwija się dziadek,
I od napaści sarneczkę obronił.

Krzyknąłem na psa, bo widzę chowana,
Otóż, przepraszam za mego sułtana,
A starzec rzucił na mnie wzrok ukosem,
I coś gniewliwie zazrzędził pod nosem.

Co to za dziadek, co sarneczki chowa,
I w takim domku o kraj puszczy mieszka?
Postać poważna, choć trochę surowa,
Myślałem sobie, i patrzę gdzie ścieżka.

Lecz go nie było, gdym w podwórko wstąpił,
Poszedł do domku, jak gdyby nie wiedział,
Że gość za progiem, i długo tam siedział,
A gdy powrócił, bardzo słowy skąpił.

Pragnąłem sercem przeszłość starca zbadać,
Ale on nie chciał ze mną się rozgadać,
A gdym o nocleg prośbę doń zanosił,
To nie odmówił, ale też nie prosił.

Wszedłem do izby, izdebka uboga,
Ale nie pusta, rządna i chędoga:
Nad drzwiami półka, kilka książek stoi,
Więc patrzę, jakie? a to wszyscy moi!
Skarga, Brodziński i Piotr Kochanowski,
I pismo święte, i zielniki nowe,
Tomasz a Kempis, ba i Homer boski,
I dziejów polskich księgi Długoszowe.

Nie darmo starzec widzę przeżył lata,
Wiedział co zabrać na puszczę ze świata,
O, nie zły wybór! i z takim zapasem
Ktoby miał dodać jeszcze własne dzieje,
Można już siedzieć samotnie pod lasem,
I nie dbać na to, zkąd w świecie wiatr wieje?

Wieczór był chłodny, a więc przy kominku,
Gdy jeszcze nie czas było do spoczynku,
Siedliśmy obaj — i dziadek dokładał,
A paląc lulkę z wolna się rozgadał.

Znać był wojskowym, bo znał dzieje kraju,
I szlachcic z rodu, znać po obyczaju,
Postać szlachetna, choć trochę surowa,
Lecz proste, czułe, były jego słowa.

Gdym go nareszcie bez urazy badał,
Co go na puszczę samotną wywiodło?

Coś go boleśnie na chwilę ubodło,
I tak mi swoje losy opowiadał:

»Nie stało pracy, fortuny i zdania,
Wyszły mi cnoty i prawdy bez czasu,
I nic nie miałem już ludziom do dania,
Tom się i zabrał nareszcie do lasu.

»Tutaj cienisto pod temi konary,
Więc jest ochłoda, spokój i ochrona;
Szczęścia nie było, i niema u łona,
Ale tu łatwiéj powrócić do wiary.

»Łatwiéj zapomnieć i złe i kochane,
Łatwiéj przebaczyć i drugim i sobie,
A chociaż cisza nie zagoi ranę,
Tu choć zły człowiek nie bluźni na grobie.

»W świecie nie było, czém pokrzepić ducha,
To też wywiała wszystko zawierucha;
Nie będę mówił, com doznał, com stracił,
Dość żem się rozstał, gdym wszystko zapłacił.

»Dzisiaj od świata odcięty, daleki,
Chciałbym jedynie ratować już duszę.
Są tutaj zioła — to i zbieram leki,
Świat mnie poranił, to go leczyć muszę.

»Jest tu las różny, to i zbieram grzyby,
Jest blisko Wisła, to chodzę na ryby,
Jest i wiklina, to koszyki plotę,
A często trzeba ratować prostotę.«

Pytałem starca, gdy Bóg dobrą wolę,
I po nieszczęściach daje jeszcze w borze,
Czyby nie lepiéj zajść na Bożą rolę,
Czyby nie lepiéj zamieszkać w klasztorze?

Lecz starzec widać był innego zdania:
»Ja do klasztoru nie mam powołania,
Kocham samotne bez pociechy dusznéj,
I jam zaledwo jest Bogu posłuszny!

»Nie lubię murów, bom się w zamku rodził,
Bom niepotrzebnie w murach do szkół chodził,
Bom nieszczęśliwie po twierdzach wojował,
I co najdroższe, tom w murach pochował.«

To rzekłszy powstał, drew trochę dorzucił,
Cmoknął na sarnę i zniknął gdzieś w borze,
A gdym wychodząc witał ranne zorze,
Starzec do domku jeszcze nie powrócił.

Kościołek wiejski.

Nad wiejską drogą zawisnął skowronek,
Na mszę poranną woła mały dzwonek,
Jakaś zagroda, plebania i szkółka,
I stare drzewa do koła kościółka.
Odgłos organów miesza się do dzwonka,
Do Matki Boskiéj kończy się koronka,
A jak do ula ciągnie z pola pszczoła,
Reszta się ludzi garnie do kościoła.
Kruchta z gotycka ostro wysklepiona,
I nagrobkami widzę ozdobiona,
Jakieś poważne i wierne postacie
Dają świadectwo tu czasom ubiegłym,
Żywo mówiące choć w kamiennéj szacie,
Więc cześć nich będzie tu w Panu poległym!
Po prawéj ręce fundator kościoła
Legł na grobowcu — a od jego czoła
Świeci i męstwo i ta bojaźń Boga;
Otóż tu złożon u pańskiego proga,
Znać, że ze cnotą żywocił w przymierzu,
Bułat w prawicy, a piersi w pancerzu,
Poważnie spoczął, klejnot koło zbroi,
Krucyfiks w głowach, niżéj napis stoi:
»Powstanę Panie! gdy mnie będziesz budził,
»Lecz pozwól spocząć, bom się bardzo strudził.«
Jakąż to pracę miałeś za żywota?
Pytam napisu — a napis powiada:
Z królem Stefanem wiodła mnie ochota,
A wierna była i ręka i rada...
Po drugiéj stronie poważna matrona
W stroju zakonnym — to rycerza żona,
Także z szwedzkiego wykuta marmuru,
Uklękła z dziatwą do jednego chóru:
Za nią trzy córy i synów dziewięciu,
Córy pokornie w modlitwie złożone,
A syny szable wynieśli ku cięciu,
Bo znać gotowi na wiary obronę.

Święconą wodę podano u progu,
Robię znak krzyża, a chwała bądź Bogu!
Wchodzę: na przodzie klęczą rzędem dziatki,
Z książeczki modlą się za niemi matki,
W ławeczkach siedzi coś z waszecia sznurem,
A starzy kmiecie zasiedli pod chórem.
W kościołku strojno i lubo jak w raju,
Bo pełno kwiatów i świeżego maju;
Stara chrzcielnica stoi na uboczy,
W ołtarzu obraz Najświętszéj Panienki
Ciemnem się licem z pod zasłony mroczy,
A błyszczą tylko złociste sukienki;
U stóp złożone z świeższych kwiatów wianki,
A jakie piękne kosztowne firanki;
A to pas słucki — dał ktoś na ofiarę,
Co miał poczciwą po staremu wiarę.
Mój miły Boże! gdy we wzorach czytam
Tych litych pasów — to chłopięce lata
Stoją mi w myśli — i sam siebie pytam:
Za co to poszło tym pasom ze świata?
Tak zubożało wszystko w starym domu,
Że w złocie chodzić niema już dziś komu;
Jednak pociecha przejmuje to serce,
Że co poczciwe, nie jest w poniewierce!
I Bóg nagrodził: bo to u tych pasów
Wisiała szabla, co za dawnych czasów
Broniła wiary. —
Dziś jak na wspomnienie
Tylko już kapłan lity pas przywdziewa
Na wielkie święto, kiedy wystawienie
Przenajświętszego Sakramentu bywa,
I to po swojéj poświęcanéj szacie,
Piastując Boga w jego majestacie;
A kiedy duszę taki widok chwyta,
To nieraz serce z żałością się pyta:
Czy to się Panu tak źle zasłużyli,
Ci, co te pasy przed laty nosili?
Po suplikacyach z wiejskiego kościółka
Lud się rozbieżał w pola niby pszczółka,
A jam się błąkał jeszcze koło chóru,
I przyłożyłem serce do marmuru,
Bo kiedy boleść, kiedy życie strudzi,
Marmur grobowców jako balsam chłódzi.

A z kąd?

— A zkąd bracie?
— Ha! z klasztoru.
— A gdzie droga się potoczy?
— Niema dokąd jak do boru,
Kto już na téj drodze kroczy.
— A cóż słychać?
— Jak w klasztorze:
Dzwonek wita ranne zorze,
Na modlitwie i robocie
Schodzi dzionek — noc zapada
A kto z Bogiem w czoła pocie
Ten i Bogu też się nada.
— A gdzież Wasze Bogu służy?
Gdzież wasz klasztór?
— Klasztór duży
Opustoszał wprawdzie trocha
Ale kościół nie macocha:
I jest chleb u kanafarza
Zakon duży, bracia nasza,
W całym świecie rozsypana;
Lecz reguła przepisana —
Kto ją trzyma, kto w nią wierzy
Gdy u furty w dzwon uderzy,
Gdy zapuka, to otworzą;
I nikt tutaj nieostatni
Bo w miłości znajdzie bratniéj
Chleb powszedni, łaskę bożą.
— Któż was trzyma?
— Kościół trzyma;
Łaska stoi za olbrzyma.
— A nowicyat u was długi?
— W tém sęk cały miły bracie,
Pan doświadcza swoje sługi,
Cały zakon w nowicyacie;
Trudno dobić się do nieba,
Najprzód z sobą skończyć trzeba,
Potém trzeba z światem skończyć,
I niejedną łzę wysączyć;
Bo niebędzie miły bracie
Namaszczony, miłujący,
Kto w żywota nowicyacie
Nie był srodze bolejący,

I te smutne nie pocieszył
I te grzeszne nie rozgrzeszył,
I nie karmił te łaknące
I nie poił te pragnące.
Lecz gdy złego wiele w świecie
Ztąd jest kościół wojujący,
I gdy prawdą swoją miecie
Jest żarliwy i gorący,
Lecz nie niszczy ani pali,
Gdy przed Panem ścieżki prości,
Ale pracą ducha stali
I hartuje go w miłości.
Bo złém złego niezabijesz!
Czego łzami nie obmyjesz
I miłości świętą wolą,
To nie będzie bożą wolą.
— Co ja słyszę? dziw mię bierze!
Wielkie słowo, mądra rada;
Lecz to widzę się wypada
Nowo uczyć w staréj wierze?
A gdy taki świat w klasztorze
Czegoż Wasze szukasz w borze?
— To rzecz inna miły bracie;
Bóg, śród boru w swojéj szacie,
A kto jemu śpiewa chorem,
Kto się modli piersi tchnieniem,
I już komu świat klasztorem,
Temu puszcza jest wytchnieniem.
Aby dusza niewychłodła
Trzeba ciągle iść do źródła,
Bo największy Bóg w stworzeniu,
Najdzielniejszy duch w skupieniu.
Ziemia arką jest miłości,
Miłość źródłem świętéj wiary,
Z miłosierdzia tylko dary,
W łasce bożéj tylko prości.
Jak się z plewy ziarno łuszczy,
Tak i z duszy też opada
Ziemska plewa — gdy na puszczy
Duch się Panu wyspowiada.
Na pustyni Mojżesz staje
Który boży zakon daje;
Na pustyni Eliasz siedział
Co o pańskiéj radzie wiedział,

Z puszczy wyszedł i Jan chrzciciel,
Z puszczy Pan nasz i Zbawiciel.
Duchem bożym w niebo wzięci
Wyszli z puszczy pańscy święci.
A i dzisiaj głos kościoła
Jak głos z puszczy się rozlega,
I na wszystkie rzesze woła,
I jak matka świat ostrzega.
Boć to kościół drzewo żywe,
Wiecznie żywe i rodzące,
Rośnie w grono — w kłos — w oliwę
I w balsamy woniejące!
Z każdéj rószczki tego drzewa
Nowe drzewo znów się szczepi
I jak sztandar łask powiewa,
I zbawienia wieścią krzepi,
I umacnia i odnawia,
I odradza i uzdrawia,
I wieczyście posiew stary,
Krew męczeńska zródłem wiary.
— A gdzie droga do kościoła?
— Każda droga doń prowadzi,
Bo na wszystkie rzesze woła,
I o wszystkich równo radzi.
Jak Bóg wieczny i cierpliwy,
Znieważony tysiąc razy,
Kościół szafarz miłościwy,
Przecież wiecznie bez urazy.
Są szczęśliwi, co Pan zléwa
Na nich łaskę gdy się rodzą,
Co w zakonie bożym chodzą,
Niby w cieniu tego drzewa.
Lecz kto odgadł — albo nie ma
Dla téj prawdy oka, ucha,
Niechaj patrzy, niechaj słucha
A Pan nad nim rękę wstrzyma.
Droga jego się wyprości
Przez boleści do miłości;
A jeżeli jéj przymnoży,
Za miłością w łasce bożéj,
Pójdzie wiara po kolei
Z wiary przejdzie — do nadziei.

Cóż tam w starym dworze?

Przeżyłem w borze i w klasztorze lata,
I już najlepiéj żyć zdala od świata;
Lecz gdy tak padło, z klasztoru i boru
Idę pielgrzymką do starego dworu!
Bo zkąd człek wyszedł, tam mu wracać trzeba:
»Ani hetmanom bez Boga i chleba!«
Mawiali starzy.

Więc idźmy, gdzie strzecha,
Na kwietne łąki i w cieniste lasy,
Na ciche ranki, i na wiejskie wczasy,
Gdzie z bydła sytość, a z ziemi pociecha!

Bo jużciż czasu upłynęło wiele,
A jam nie spytał nawet, jak Bóg radzi
Po dobrych kątach o swojéj czeladzi?
A są po świecie gdzieś i przyjaciele!

Bo jużciż z ziemim nie wyrósł tak jeden?
A i nie zawsze żyłem pośród wrogów;
Choć jam się dawno odbił od swych progów,
Jeszczeć śród swoich człek nie taki bieden....

Coś ja i posiał — coś ja i posłużył,
A choć czas wszystko zaciera i traci:
To jeszczeć może — Bogdajbym wywróżył! —
Ktoś to po leciech choć dzieciom zapłaci...

A więc odwiedzić trzeba ścieżki stare,
A i odnowić te zarosłe ślady;
Dotknął Bóg człeka — ha to dał i wiarę:
Że stara przyjaźń może doda rady...

Jeśli nie rady, to może pociechy,
Miłość się zwykła trzymać staréj strzechy,
A przy miłości i Bóg dopomoże,
Więc pytam w końcu:
Cóż tam »w starym dworze?«

Bo wsią prowadzi nie wesoła droga;
Chaty — jak ule, w których pszczoła spadła,
Czeladź — ponura i tępa i sroga,
I podła nędza coś ludzi przysiadła...

Cóż to? przednowek, tak się dał we znaki?
Żebyć przednowek! — lecz siódmy rok taki!
Mało kto dosiał, to i nędza w domu,
I nie ma rządzić, ani słuchać komu...

Gdzież się chléb podział? Czy jakie uroki,
Że lud od roli taki głodny chodzi?
Jak po niéj przeszli fałszywe proroki,
Takie przeklęstwo, że ziemia nie rodzi...

Błogosławionéj zabrakło karności,
A ziemia — święta — a kmieć — boży sługa;
Więc dziś od głodu świecą żywe kości,
Bo tylko dobry może stać u pługa.

Bez Boga wszystko padło w kmiecym domu,
I z biedy dźwignąć nie ma już dziś komu;
Bo wspólna wszystkich i wielka potrzeba,
Jedni rąk żebrzą, drudzy żebrzą chleba...
— A cóż pan na to?
— Choć czeladź niekarna,
Pan między głodne dzieli resztę ziarna. —
— Cóż sama Pani? —
— Pani miłosierna!
Jak dawniéj jeszcze leczy i pociesza,
A chocież czeladź podła i niewierna,
Modli się za nią i w sercu rozgrzesza...

To dzięki Bogu! to jest i pociecha!
I gdy dwór jeszcze tak »odrabia pańskie«
To nie zaginie jeszcze stara strzecha,
I znów ztąd wyjdzie ludzkie i kapłańskie!

I przetrwa w łasce tu królestwo Boże,
Bo kiedy wierzą jeszcze pod tém niebem:
»Świat ci kamieniem, bądź ty światu chlebem!«
To jeden zakon w klasztorze i w dworze....

I zejdzie ziarno dobrego posiewu,
I ludzka ręka te rany zagoi,
I jeszcze tutaj stać staremu drzewu,
A w jego cieniu i dwór ten dostoi!

Pierwsza noc we dworze.

Noc świętojańska siadła na zagrodzie,
Gwiazdy zadrżały na przejrzystéj wodzie,
Zapachły trawy w odwilgłym pokosie,
I głos ligawki ozwał się po rosie...

I świętojańskie wypełzły robaczki,
I co to oraz woni i uroku!
Bo poznaczyły i cętki i szlaczki
Po wonnych krzewach i w starych drzew mroku.

Jak gdybym z ciężkiéj podniósł się choroby,
Wszystko mię nowo uderza od doby;
I zapoznawać się ze wszystkiem muszę,
Jakbym po leciech znów odzyskał duszę.

Znajome głosy ozwały się z sioła,
A każdy niby od lepszych lat woła
Na powitanie z sobą towarzysza;
Wielka, swobodna i urocza cisza!

Cisza na siole, w polach i na borze,
I pod okienkiem kwitnie jeszcze róża,
I taż ligawka, i taż nocna stróża,
I po staremu wszystko w starym dworze...

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Przyjmując na siebie i nadal redakcyą *Szkółki*, która już z końcem roku zeszłego żywot swój zamknąć miała, wziąłem sobie za główne zadanie: *obeznawać młodych czytelników z celniejszymi pisarzami naszymi i ich dziełami.*

Czynię to dla dwóch powodów: najpierw nikt już dzisiaj, kto tylko czytać i pisać po polsku się nauczył, tłumaczyć się nie powinien nieznajomością takich pisarzów, jakimi są Mickiewicz, Brodziński, Krasicki, Kochanowski i ci wszyscy, którzy razem z nimi tworząc okresy w dziejach literatury naszéj około mistrzów swych jakoby gwiazdy około słońc jaśnieją.

Powtóre czytanie biografii znakomitych mężów, czytanie dzieł pierwszego rzędu autorów, nietylko szlachętną sprawia roskosz i oświeca umysł, ale prócz tego pobudza, szczególnie młodzież, do zamiłowania nauki, pracy i cnoty. Czytanie biografii zasłużonych w kraju ludzi w niejednym już zbawienny zamiar obudziły, niejednego już utwierdziły w naukowém przedsięwzięciu, niejednemu dodały otuchy do wytrwania na drodze obowiązku i cnoty, niejedną wreszcie rozwinęły zdolność.

Życie zasłużonych w kraju mężów bardzo się różni od życia ludzi powszednich, poziomych. Tamci żyją dla pięknéj jakiéj myśli, dla nauki, poezyi, sztuki, dla dobra bliźnich, dla dobra kraju; ci zaś jak robaczki kłopocą się tylko o chwilę, o pokarm, napój i codzienne potrzeby; tamci zostawiają po sobie pamiątki, wzory cnoty i zasługi, ci umierają bez wspomnień. Dla ludzi wielkiego serca i umysłu wygody, dostatki, okazałe pomieszkania, bogate stroje, są rzeczami małéj wagi, nieraz fraszkami tylko, a dla ludzi poziomych kresem życzeń, szczytem szczęścia o którém marzą. — Biskup Załuski wesoło jadał suchy chleb ze serem, a wszystkie dochody obracał na skupywanie dzieł i rękopisów, z których założył największą bibliotekę w Warszawie. — Jan Kochanowski nie przyjął najwyższych w kraju dostojeństw, obojętnie słuchał, kiedy mu ofiarowano kasztelanią, bo nad zaszczyty i dostatki wyżéj cenił naukę, poezyą; wolał w cichém ustroniu, w spokojnym Czarnymlesie, uprawiać nauki i tworzyć nowe pieśni, aniżeli jako kasztelan zasiadać u jednego stołu z dygnitarzami, z pierwszymi w Polsce panami. — Któż nie słyszał o nadzwyczajnéj skromności i cnotach najuczeńszego z Polaków, któż nie słyszał o niesłychaném ograniczeniu się we wszelkich wydatkach zacnego staruszka Lelewela?*) — Karol Marcinkowski wszy-

*) Mąż ten, dziś już chwiejący się na nogach starzec, żyje zdaleka od ziemi rodzinnéj, między obcymi, w stolicy pięknéj Belgii. Głowę jego i brodę pokrywa siwy włos; od ciągłéj a nieustannéj pracy wzrok ma bardzo osłabiony, słuch przytępiony, i całém ciałem ku ziemi zgarbiony. Mimo to dzień cały siedzi skurczony i pochylony w starych księgach, pracuje, pisze, rysuje mapy, wizerunki dawnych pieniędzy, medali, bożyszcz przedchrześciańskich i t. d. Odwiedzającym go rodakom powtarza: ***pracujcie! Polsce potrzeba pracy!*** Odzienie jego naj-

stkiego wyrzekł się dla siebie, obojętnym był nawet na własne zdrowie i życie, a wszystko co miał, swoje dochody, zdolności, nauki, czas, wpływy, życie samo oddał dla dobra drugich. Taka jest cecha wyższych umysłów, po takich przymiotach poznać ich możecie!

Biografia Kazimierza Brodzińskiego jest pewno z wszystkich biografii poetów naszych najciekawsza a bardzo pouczająca. Pisma zaś jego oddychają taką zacnością, tak wdzięczną prostotą i czystą poezyą cnotliwéj duszy, że uważam je za najstósowniejsze dla wieku młodego; na samych pismach Brodzińskiego zaprawić się można do zamiłowania literatury polskiéj, a co więcéj, do zamiłowania nauki, pracy i cnoty.

Jakkolwiek pisma warszawskie, poznańskie, krakowskie i inne wielekrotnie już podawały wiadomości o życiu i pracach Kazimierza Brodzińskiego, wyznać jednakże otwarcie trzeba, że poeta ten, w naszym przynajmniéj zakątku poznańskim,

---

skromniejsze w świecie: w dzień powszedni ubiera się tak, jak się ubierają wyrobnicy francuzcy, w bluzę; na uroczystość bierze frak stary, który zapewne jeszcze przed dwudziestu kilku laty w kraju mu służył. Żyje tak skromnie, że trzeba się przypatrzyć, aby uwierzyć; jada najtańsze w gronie wyrobników obiady w mieście. Odbiera wszakże największą cześć od wszystkich mieszkańców Brukseli. Każdy go zna, od dziecka do starca, od ubogiego wyrobnika do dworu królewskiego; lud go tam nazywa powszechnie księciem polskim, a nawet królem polskim.

Mąż ten zgarbiony, wiekiem i natężonemi pracami pochylony, pracuje w skromném bardzo mieszkaniu otoczony księgami, mapami i t. d. Sam widok tego mieszkania wzbudza uszanowanie i cześć dla uczonego a najgościnniejszego gospodarza. W zimie nie każe on palić w ubożuchném mieszkaniu swojém, bo powiada, że bez tego obejść się można. Żadnych wsparć i podarunków od nikogo nie przyjmuje, nawet od familii swéj, mieszkającéj w kraju; utrzymuje się li z własnéj pracy; z nieszczęśliwymi a szczególnie z rodakami dzieli się tém co ma. Za najpracowitsze, najmozolniejsze, ogromne czasem swe dzieła sam naznacza księgarzom cenę nieraz tak skromną, że sami księgarze dobrowolnie ją chcą podwyższyć, ale na to nigdy nie zezwala.

Jakże rzadka dziś taka skromność i cnota! Mógłbym wiele najpiękniejszych z życia jego przytoczyć przykładów cnoty, gdybym nie obawiał się obrazić skromności szanownego starca, dla którego nauki i cnót najgłębszą czuję cześć.

za mało dotąd w publiczności jest znany, a dla tego téż nie tak ceniony, jak na to zasługuje. W innych oświeconych narodach dzieła znakomitych poetów narodowych od wszystkich prawie są znane, czytane. Czybyśmy tylko sami mieli nie umieć cenić naszych pisarzy?

Z wszystkich poezyi polskich, poezye Brodzińskiego, według naszego przekonania, najprzystępniejszemi są dla wszystkich; z przyjemnością i korzyścią czyta je uczony i prostaczek, bogobojny starzec i pełną piersią do nieznanego życia oddychający młodzieniec, cnotliwa matka i bogobojna panienka; serdeczna prostota czyni je w znacznéj części miłemi nawet dla dzieci i ludu. Od pism Brodzińskiego oderwać się trudno, tak przyjemnie się czytają; a taka w nich serdeczność i prawda, że człowiek czytając je czuje się lepszym, na sercu czerstwiejszym, do dobrego ochotniejszym.

Jakie przymioty zdobią pisma Brodzińskiego, takie przymioty zdobiły i jego samego: uczucie czyste i świeże jak rosa, prostota jak u dziecka, rozum jasny jak u mędrca, skromność jak u człowieka prawdziwie wyższego.

Poeta Franciszek Karpiński zapalał się w dziecinnych latach do życia pustelniczego; chciał nawet zamieszkać gdzie w lesie, żyć korzonkami i żołędzią, lub umrzeć za wiarę. Kazimierz Brodziński przepędził lata dziecinne i młodość samopas wśród pól, łąk, lasów, gór, dziatwy wiejskiéj, wśród prostoty wieśniaczéj, wśród ludu przez sześć dni od zmroku do nocy pracującego a w święta i niedziele kornie modlącego się do Boga w kościołku wiejskim. Dla tego téż Brodziński pokochał i do śmierci nad wszystko cenił pracę, pobożność, prostotę, wieś, cnotę i piękną naturę.

Biednie, w nędzy i opuszczeniu, przepędził Brodziński lata młodości swojéj; matki swéj wcale nie zaznał, od macochy doznawał tylko przykrości i poniewierania; głód jego zaspakajali wieśniacy z litości; z kawałkiem chleba szedł na cały dzień do szkoły, gdzie nauczyciel niczego nie uczył a w okropny sposób obchodził się z uczniami swoimi; bity, głodzony, opuszczony, odarty, od wszystkich prześladowany, uciekał w pole, wsród natury, która ubogim i sierotom nie wyrządza krzywdy, i tam z starszym swym bratem Andrzejem pędził

czas wolny, uczył się, czytał, śpiewał, dumał, rozmyślał, i więcéj się wśród drzew, pól, łąk i gór nauczył, lepiéj się sposobił na poetę, niż w ladajakich szkołach. Śpiewające w polu skowronki, rozkwitujące na łąkach kwiaty, szumiące owsy i drzewa, mruczące strumyki, ciche góry, świecące na modrém niebie słońce, wiejska dziatwa, pracowity i pobożny lud, były dla przyszłego poety nauczycielami. Słuchając w czeladniéj izbie plebana powiastek i gadek wiejskich, tych epopii ludowych, kształcił w sobie wrodzony talent poetyczny. Duszę swoją karmił nie książkami, ale owemi powiastkami wieśniaczemi, owemi piosenkami, które śpiewali parobcy i dziewczyny przy pracy albo na wesołach i innych obrzędach wieśniaczych, na których młody Brodziński razem z inną dziatwą wiejską pilnie bywał. Uczęszczał razem z wieśniakami do kościoła, razem z nimi się modlił, razem z nimi chodził za procesyami w Boże Ciało, Matkę Boską zielną, w dni krzyżowe; przez cały wielki tydzień śpiewał gorliwie z organistą postne pieśni w kościele; i tak razem ćwiczył się w pobożności, i sposobił się na poetę religijnego.

Przypadkiem dostał do rąk żywoty świętych; był to dla niego prawdziwy skarb; krył się po stodołach i strychach i tam księgę tę świętą czytywał z największém zajęciem. Odtąd do książek zaczął tak tęsknić, jak do matki, któréj nie znał, ale którą uwielbiał w duszy. Ujrzawszy pewnego razu, że przekupka obwija towar swój w *Rytmy Jana Kochanowskiego,* porwał je i zaczął z niemi jak ze znalezionym skarbem uciekać, ale gorzko czyn ten odpokutował.

Jak wszyscy szlachetni młodzieńcy, tak i młody Brodziński wzdychał wciąż do przyjaciela, tak jak wzdychał do książek, jak wzdychał do nieznanéj matki. Wszędzie go szukał, wszędzie szukał dobrego serca, przychylnéj duszy, przed którąby się mógł wynurzyć, pożalić, razem cieszyć, dumać, marzyć; ale o prawdziwego przyjaciela podobno najtrudniéj, bo

„Tego tylko los udziela;
„Nie złowisz go wędą złotą,
„Ni talentem, ani cnotą.“

Brodziński posiadał wszelkie przymioty prawdziwie szlachetnego człowieka; był nadzwyczaj prawy, sumienny, skromny, wsty-

dliwy; do ludzi bardzo nieśmiały, co ztąd pochodziło, że miał złą macochę, która go dręczyła, że miał srogich nauczycieli, że ludzie odpychali go od siebie w jego dzieciństwie i młodości, że go nikt nie kochał, nikt do ludzi nie zbliżył. Nie odpychała go od siebie tylko natura, lud wiejski i Bóg, opiekon sierót; dla tego też Brodziński wyrosłszy na poetę, śpiewał pieśni Bogu, śpiewał o pięknéj naturze, i ślicznie, najpiękniéj ze wszystkich poetów naszych opisał życie wiejskie, pełne prostoty, bogobojności i pracy.

Do Brodzińskiego czasu gardzono piosenkami ludu wieśniaczego; Brodziński na pieśniach tych duszę swoją wykarmił, a późniéj dał poznać narodowi ich wartość, ich piękność, ich poezyą. Biskup Hołowiński, będąc jeszcze w domu ubogiéj swéj matki, nasłuchał się w dziecinnych swych latach od pobożnéj i pracowitéj swéj siostry Tekli powiastek i legend wiejskich, i na tych podaniach ludowych osnuł w późniejszych latach te piękne legendy, jak „*Krówka Juremy*“ — „*Buława Madeja*“ — „*Baszyna*“ — „*Sierota*“ — „*Chleb rajski*“ — „*Cerkiew Ostrogska*“ — „*Patron Kmiotków*“ — które imię jego rozgłosiły po całym kraju, których się wszystkie dzieci polskie na pamięć uczą. — Nasz kompozytor Chopin zagrał na nutę naszych melodyi wiejskich, podniósł, udoskonalił to co jest tak pięknego i rzewnego w śpiewach polskiego ludu, i stał się mistrzem niezrównanym, wielkim narodowym muzykiem, kompozytorem. — Również Kazimierz Brodziński, wychowany wśród prostoty wiejskiéj, wśród pracowitego ludu polskiego, odkrył nowe piękności dla poezyi narodowéj, podsłuchał poezyą, która się skryła była dotąd pod strzechy wiejskie i tam skromnie podzwaniała nikomu przedtém nie znana, od wszystkich wzgardzona; Brodziński ją poznał, i odkrył tajemnice, jakie od wieków spoczywały w duszy narodu polskiego, potrącił struny, których odgłos odbił się w piersi milionów, zaśpiewał na nutę dotąd nieznaną.

Nim mówić będziemy o pismach Brodzińskiego, podajemy pierwéj biografią jego. Kazimierz Brodziński urodził się w Galicyi w roku 1791, a umarł w Dreznie r. 1835. Na dwa lata przed swoją śmiercią sam spisał biografią swoją pod nazwiskiem: „*Wspomnienia mojéj młodości,*“ i doprowadził pisemko

to aż do r. 1830, a odjeżdżając w r. 1835 do Drezna, zkąd już do kraju nie powrócił, sam starannie wszystkie związał arkusze i własnoręcznie na wierzchu wielkiemi napisał literami: „*To zostawiam mojéj córce Karolinie.*“

Tę autobiografią Kazimierza Brodzińskiego, czyli „*Wspomnienia mojéj młodości*“ podajemy tu w całéj ich osnowie; od tego zaś czasu, kiedy się kończą, uzupełniamy rys życia poety podług tych wiadomości, jakie po różnych pismach rozrzucone zebrać potrafiliśmy.

„Urodziłem się — pisze Brodziński — w r. 1791 z ojca Jacka, z matki Franciszki z domu Radzikowskiéj, ale byłem od urodzenia tak słabowity, iż doktor przepowiedział rodzicom, że za tydzień umrę, która to przepowiednia na nim się samym spełniła. Pamiętam, że gdym jeszcze był dzieckiem i gdy mi grób jego pokazywano, mszcząc się za niemiłą mi wyrocznią, po grobie jego skakałem. Ojciec mój był najprzód plenipotentem starosty Fryderyka Moszyńskiego, w starostwie lipnickiém, a późniéj dzierżawcą tych dóbr. Do śmierci matki mojéj mieszkał w Królówce, wsi należącéj do tego starostwa, gdzie się urodziłem. Miejsce to, stojące mi do dzisiejszego dnia w żywéj pamięci, jest istotnie piękne. Dwór staroświecki z narożnikami, miał wielki ogród z prostemi szpalerami. Za ogrodem staw obszerny, za nim rozległe trawniki rzędami wierzb wysadzone, na około zaś góry umajone gaikami z drzew owocowych, a najwięcéj zasadzane chmielem, całéj okolicy pozór winnicy nadawały. W nizinie łąka, często wodą zalewana, przez którą długie ławki do prostego wiejskiego kościoła prowadziły. Kościołek ten drewniany, już stary, ocieniony lipami rosnącemi na cmentarzu, miał postać dziwnie malowniczą.

»Dziecinną moją zabawą było najwięcéj nabożeństwo. Mieliśmy w jednéj wielkiéj i pustéj sali ołtarz wzięty umyślnie do tego ze zburzonego w sąsiedztwie kościoła. Najstarszy brat mój Andrzej, jedyny rodziców kochanek, był zawsze celebrującym, my mniejsi byliśmy szczęśliwi, żeśmy za nim z dzwonkami chodzili. W dniach wyznaczonych naśladowaliśmy wszelkie uroczystości; dzieci wiejskie składały naszą młodą parafią:

święto Bożego Ciała, znalezienie św. Krzyża, obchodzone było procesyą najuroczystszą w kapach ze złotego papieru.

„Matki mojéj wcale nie pamiętam, miałem lat 5, gdy mnie odumarła. Jedyna scena, która z lat dziecinnych w pamięci mi utkwiła, jest pogrzeb méj matki. Jéj martwa postać w bieli leżąca w trumnie, katafalk czarnym całunem okryty, pieśni żałobne, które ubodzy nad jéj ciałem przez dwa dni ponurym głosem nócili, pamiętam jakby wczorajsze zdarzenie, równie jak przepowiednią księdza, który przy pogrzebie rzekł do nas: ej dzieci, będzie was biła macocha. W późniejszych latach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci matki powiadały, co najwięcéj lubiłem słuchać i im jedynie winienem to przywiązanie dotąd z serca mego niewygasłe. W najsmutniejszych wypadkach późniejszéj młodości mojéj, zawsze się do niéj jako do patronki modliłem. Po długiéj chorobie już zaczęła przychodzić do siebie, a na jéj imieniny zjechali się dość liczni sąsiedzi z powinszowaniem imienin i odzyskanego zdrowia; była wesołą i trudniła się wygodą gości, a w wieczór na godzinę tylko oddaliwszy się do łóżka, nagle umarła. Miałem jeden sen o niéj, który na długo pozostał mi pamiętnym. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze w ubiorze, w jakim w trumnie złożoną była, wśród tłumu podobnych jéj bladych niewiast, mnie ręką do siebie wzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a równie jéj uściski jak niewiast ją otaczających, dziwną mnie upoiły roskoszą, gdy nagle grzmiący głos od ołtarza: *Requiescat in pacè*, który wiecznie brzmi w mych uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem w nocy przy świetle księżyca do cieniów mojéj matki elegią, którą mój brat Andrzej pochwalał. Nie wiem, czy kto choćby najtkliwszéj miłości macierzyńskiéj doznawał, mocniéj czuł odemnie, co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie świętém. Widok moich współuczniów przy matkach napełniał mnie rzewném uczuciem. Nie mógłem utulić się w żalu, cisnącym się w moje serce, gdym widział pieszczoty macierzyńskie zlewane na mych współuczniów. Uważałem synów mających matki, choć daleko uboższych odemnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia przeznaczone istoty, kochałem ich więcéj dla tego, że ich matki kochały.

Wiele samotnych, nikomu nie znanych łez mnie kosztowało, gdym widział dzieci od matek pieszczone. Może to było dziecinne, przesadzone uczucie, ale je łatwo pojmie ten, kto lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i czułem, że zasługuję na miłość, ale do późnych lat nie doznałem téj słodyczy. Być pozbawionym matki, która jedynie wychowanie serca dać może; nie mieć zgoła istoty, przed którą możnaby się szczerze ze swemi uczuciami wywnętrzyć, to jest, co mi nadało owo uczucie w sobie samym się trawiące, ową nieśmiałość do ludzi.

„Po śmierci matki ojciec mój przeniósł pomieszkanie do Lipnicy murowanéj o milę od Królowki. Duże gospodarstwo i pięcioro drobnych dzieci zniewoliły go acz w sędziwym wieku szukać drugiéj małżonki. Wkrótce znalazł ją na nasze nieszczęście. Gdy o miejsce plebana w Królowce, który nie długo po mojéj matce umarł, wielu się starało, jeden z współubiegaczy najskuteczniéj dopiął celu, rająć mojemu ojcu panienkę ładną ale ubogą za żonę. Panienka się spodobała, ojciec dostał żonę, my macochę, a ksiądz plebanią, i on sam najlepiéj na tém wyszedł. Anna Fischhauzern była najuboższą, licznéj i dość majętnéj familii w Galicyi. Młoda, skromna i pokorna z początku, stała się wnet szatanem i cały dom zamieniła w piekło. Niktby mi nie uwierzył, gdybym opisał wszystko, do czego kobieta ze starym, z natury powolnym mężem dojść może. W przeciągu kilku lat była ona postrachem nietylko domu, ale całéj wsi i sąsiadów. Pijaństwem podżegane najgwałtowniejsze pasye, brak wszelkiéj przyzwoitości, obok nieznośnéj wielomowności, chciwość robienia majątku niegodziwemi sposoby, obok okazałéj wystawności, duma z swego rodu, od którego była znienawidzona, były to jeszcze najlżejsze jéj ułomności. Mój ojciec skąpy, ale nie gospodarny, ceniący nadewszystko spokojność, choćby z ofiarą własnego dobra, w domu nic nie znaczący, łagodny i względny dla każdego, a z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę przebył u swojéj Xantyppy. Umiała ona przywłaszczyć sobie zwolna całą intratę z dóbr i z niéj osobny dla siebie tworzyć majątek: procesa z gromadą, z plebanem, z sąsiady, zgoła z każdym, o kogo tylko zahaczyć mogła, prowadziła najza-

pamiętaléj. Dom jéj był stekiem owych nikczemnych pieniaczy dawnych czasów, którzy ją tak dalece w pieniactwie wyuczyli, że ich potém samych w prawnicze kruczki chwytała. Peryody jéj wściekłości, które ją dość często napadały, wystawiały obraz piekelnéj furyi: nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy domownik, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym, umiała równie krzykiem każdego zagłuszyć, jak razami dać się we znaki. Sędziwy ojciec nacisnąwszy w takim razie czapkę na uszy, uchodził w pole, śpiewając łacińskie psalmy; myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową kończyły zwykle palpitacye serca i zapamiętałe krzyki, które się po całéj wsi rozlegały, bicie służących i wieśniaków, rzucanie talerzami, szklankami za ojcem, pakowanie rzeczy do pojazdów, w celu niby porzucenia nas na zawsze lub przynajmniéj przenoszenie jéj pościeli z małżeńskiego łoża do innego pokoju, były to jéj pospolite dzienne i wieczorne zabawy.

„Łatwo sobie wystawić, jakie wychowanie taka matka mogła dać swoim pasierbom. Siostrę moją najstarszą wysłał ojciec z domu do krewnych, my cztery mali chłopcy musieliśmy w domu pozostać. Rzadko kiedy wpuszczono nas do pokoju rodziców; izba czeladnia, chaty wieśniacze, to był nasz zwyczajny pobyt. Gdyśmy chorowali na chrosty, leżeliśmy wszyscy w małéj izdebce kuchennéj i nikt ze służących bywających w pokoju, nie mógł się do nas zbliżyć, aby nie zarazić siostry z powtórnéj żony. — Starszy mój brat umarł, my wyzdrowieliśmy staraniem wieśniaczek, które litując się naszego sieroctwa, same nas przychodziły ratować i pielęgnować.

„W ubogiéj historyi mego życia zasługuje na wspomnienie jedna z najpoczciwszych kobiet, którą tylko pod nazwiskiem Róży pamiętam. Była to stara wieśniaczka, można powiedzieć, nasza jedyna matka, która już za życia naszéj matki nas wszystkich wypiastowała. Ta znosiła od macochy mojéj łajania, obelgi, a często i kułaki, miała najprzykrzejszą służbę, jedynie z przywiązania do nas, gdy jak mówiła, matka nasza uprosiła ją w chorobie, aby nas nie opuszczała; jakoż czyniła ona wszystko, co tylko w swym stanie i przekonaniu dobrego

dla nas uczynić mogła. Pokój twojéj duszy zacna kobieto, godna szacunku u zacnych ludzi!

„Lubo doznawałem od macochy wszelkiego rodzaju niegodziwości, lubo nie znałem słodkiéj rozmowy z ojcem, który choć nie surowy, ale zawsze był małomowny i daleki od dzieci; lubo byłem w wychowaniu zupełnie zaniedbany i nieśmiały (byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do 11go roku), przecież, jeżeli wspomnienie chwil lat dziecinnych jest każdemu przyjemne, dla mnie jest najmilsze. Zostawiony zupełnie sobie samemu w wieku, w którym ta wolność mniéj szkodliwa, używałem świata, który mnie otaczał, to jest błogości życia wiejskiego. Byłem zupełnie wolnym w używaniu mego czasu, gdyż się o mnie nikt nie pytał; a znałem cenę méj wolności, gdyż ona była ucieczką od srogości macochy. Lipnica murowana, jak wszystkie okolice w górach, ma dziwne, piękne położenie. Dworek leżał w dolinie przerzniętéj nie wielką rzeczką, która z gór spadając, za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistym łożu z podnóża gór i skał płynąc, szum wielki czyniła. Chaty rozrzucone po górach między sadami, czarujący na wiosnę sprawiały widok; za podwórzem i stawem zieleniła się obszerna łąka, na któréj mała krzewina zapełniona świegotliwém ptastwem. Młyn wodny za tą łąką ożywiał swym regularnym kołatem to ciche ustronie, a rozległe za nim trawniki, rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których piszczałki i wesołe śpiewy rozlegały się w koło. Zamykały horyzont pasma gór, coraz wyżéj wznoszących się, a w pogodny poranek niebotyczne Karpaty siniały w oddali. Droga grzbietem gór idąca, piękny czyniła widok przeciągających wozów; za polami ponury las jodłowy w nizinie się gubił. Po drugiéj stronie dworu dwa odwieczne i ogromne dęby panowały całéj osadzie. O kilkanaście stai widać na wzniesieniu miasteczko, murowaną Lipnicę z trzema starożytnemi kościołami, dokąd droga wierzbami wysadzona i ścieżka przez łąkę na cmentarz prowadziła. Widok tego miasta miał dla mnie zawsze jakąś odrazę. Była tam szkółka elementarna, do któréjśmy z bratem uczęszczać musieli. Ulewy, zaspy śniegu nie mogły nas od przykréj podróży uchronić; w zimie była to wyprawa na cały dzień z ka-

wałkiem chleba, w którego wykrojony środek włożono kawałek masła.

„Nie znam straszniejszego człowieka, jak był nasz nauczyciel; włosy pudrowane, krótko z przodu wystrzyżone, ogromny warkocz z tyłu, długie fryzowane loki przy śpiczastem czole, czyniły szczególniejszą figurę tego osobliwszego człowieka. Długa wyszywana kamizelka i surdut do kostki, z klapami u boku, od pudrowanego warkocza cały wtyle zbielony, oczy duże, wargi wypukłe, chód wolny i pedancki, wszystko to jednało mu u nas uszanowanie prawie nad-ludzkie. Żona zaś jego była jak śmierć chuda i blada, nosiła zawsze białą suknią ze stanem, który jéj wychudłą figurę tym wydatniejszą czynił. Okropny byłto widok, gdy ta żywa śmierć w pogodny dzień siedząc na progu, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk napełniony wodą składała. Brzezinę tę sam pedagog zwykł był ze spaceru do domu przynosić, gdyż brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki. Sprzęty szkólne odpowiadały temu systematowi. W środku na ścianie wisiał wielki drewniany krucyfix; za ręce i za nogi Chrystusa zatknięte były świeże rózgi, kilka prętów i dyscyplina. Byłto wizerunek szkolnéj passyi. Pan pedagog wszedłszy do szkoły zawsze z groźną miną, najprzód do owego składu rózg przystępował, wybierając sobie najgiętszą. Wprawne próbowanie rózg wydawało świst przerażający; poczem uzbrojony tém berłem swego urzędu, zaczynał z nami modlitwę, którąśmy, jak się łatwo domyślić można, z największą skruchą odbywali, modląc się o oddalenie niebezpieczeństwa. Miewał on niekiedy szczególniejszy bijący humor i wtenczas za każde zająknienie bił rózgą, za każdą omyłkę w pisaniu wymierzał każdemu wiernie oznaczoną liczbę plag. Szczęściem dla nas, że nasz dręczyciel, będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcyi był od nas odrywany. Byłto czas dla nas odetchnięcia i największéj swawoli. Szkoła składała się z dzieci miejskich i wiejskich płci obojéj; partya miejska była silniejsza i najswywolniejsza. Dzieci wiejskie musiały cicho siedzieć, a my najbardziéj, gdyż nas jako szlachciców prześladowano. Dniem sądnym dla nas była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczony był katechizm, dawany po niemiecku, któregośmy ani

treści, ani języka nie rozumieli. Mało kto się ostał, żeby za katechizm chłosty ujść zdołał. Trwoga była powszechna, a cichość grobowa. Każdy zapytany po pierwszém zająknieniu występował klęczyć na środek, a tak całe ławki się wypróżniały; wszystko rzędami klęczało, czekając w największéj trwodze ostatniéj ofiary, mającéj nastąpić exekucyi. W jednéj chwili rozległ się powszechny płacz i lament, głuszony świszczącemi razy nieubłaganego pedagoga, który każdemu przypadającą liczbę bez litości zwykł był wydzielać. W czasie téj exekucyi zamykano pospolicie okna i płakać głośno broniono; zdarzało się albowiem, że matki przechodzące lub w pobliżu mieszkające, wypłoszone przeraźliwym krzykiem dzieci, exekucyą szkólną przerywały.

„W takiéj to szkole przez 4 lata będąc prócz czytać i nieco pisać po polsku i po niemiecku nic więcéj się nie nauczyłem. Należąc do partyi chłopców wiejskich, zabrałem z niektórymi prawdziwą przyjaźń i im winienem najszczęśliwsze na wiejskich zabawach spędzone chwile. Co to była za roskosz po skończonéj szkole puścić się z nimi między góry, wdrapać się po kilkogodzinnym głodzie na drzewo wiśniami lub gruszkami okryte, dosiadać owych maleńkich koników, prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się i brodzić bosą nogą środkiem piasczystego ciekącego strumienia. W tych najmilszych mi zabawach, z prostymi wieśniakami byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył, choć się jak najdłużéj spóźniłem. Życie takowe uczyniło mnie nieśmiałym do ludzi wyższego stanu; ale krzepiło moje słabe z urodzenia zdrowie. Z jakąż roskoszą przypominam sobie chwile, gdy te chłopcy uczyły mnie dosiadać konia, iść za broną i na końcu na inny zagon nawracać. Podczas mglistéj jesieni trawiłem późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy ognisku pasterzy, którzy piekąc na polu kartofle, przeróżne opowiadali gadki, składające wówczas całą moją i jedyną literaturę.

„Przez zabranie szczególnéj przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem ochoty do tego rzemiosła; ojciec jego nie bronił mi téj zabawy, owszem widząc we mnie chęć do pracy, zachęcał mnie do tego rzemiosła prostemi i prawdziwemi wyrazy: iż lepiéj swobodnie pracować, niż być na łasce maco-

chy, która się dziś o mnie nie pyta, a po śmierci ojca z domu wypędzi.

„Wieśniacy tych okolic obok naturalnego rozumu i wrodzonéj naszemu ludowi dobroduszności, więcéj mają oświecenia i są porządniejsi i trzeźwiejsi, niż w innych stronach. W górach mniéj doznają klęsk wojny, nie mają inkwaterunków, niszczących prostotę obyczajów i moralność, są powiększéj części zamożni, opłacając mierny czynsz z gruntu, tak że majętniejsi liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój mało zasiewał gruntu, ubogim wyrobnikom i oddalonym ze służby żołnierzom przeznaczał pole i chaty na swojém wójtostwie z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie do ojca i do nas były bez granic. Żadna wieśniaczka, żaden chłop nie powrócił z jarmarku, żeby i dla nas nie przyniósł kukiełki; żniwiarki obsypywały nas jabłkami i orzechami. Dla sierót i dzieci opuszczonych w tém wielkie jest szczęście, że obudzają współczucie innych osób.

„W lecie była naszém mieszkaniem stodoła, obok któréj mieszkał staruszek ze żoną, zwany gospodarzem, do którego wszelkie gospodarstwo dworskie należało. Mała ich izdebka, ogrzana zawsze w zimie palącym się ogniem na kominku, przy którym ci staruszkowie jak Filemon i Baucis siedzieli, była naszem zwykłem mieszkaniem. On był starym żołnierzem, ona dworką: mieli więc o czém pogadać. Jakoż przyjemne to były wieczory, gdy przy pieczeniu kartofli opowiadał nam stary wojak o francuzkich i włoskich krajach, gdzie jeno biały chleb jadał i pijał wino; a ona rozwijała niewyczerpany zapas cudownych gadek i przepowiastek.

„Jedna zima, w któréj wieczory na podobnych trawiłem rozmowach, nabawiła mnie pierwszy raz w życiu owéj niespokojności i tęsknoty, jakiéj podobno każdy młodzieniec mniéj więcéj doznaje. Opowiadanie tego prostego człowieka o rozkosznych krainach włoskich i francuskich, dziwném marzeniem napełniło mą duszę. Żona jego niemniéj niecila we mnie niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach polskich: jak młodzieńcy ubodzy wychowują się z paniczami, jak dalekie z nimi odbywają podróże. Było to przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły; ale ja myślałem, że ten świat

za górami tak jest szczęśliwy i błogi, jak mi go opisywano i jak go sobie w niewinnéj duszy wystawiałem. Życie moje przy macosze od wszystkich znienawidzonéj, przy ojcu, który mało co o mnie wiedział, tym bardziéj tę moją chęć do szukania szczęścia w świecie zwiększyło. Zdaje mi się, że gdybym był wtenczas czytał Odysseę, lub przynajmniéj Telemaka, byłbym się niechybnie na awanturnika wykierował. — Szczęściem, że wtedy żadnych książek prócz szkolnych nie miałem, że całą krainą mojéj imaginacyi były powieści wieśniacze, które lubo się do mojéj tęsknoty nie mało przyczyniły, nie mogły mnie jednakże całkowicie obłąkać. Jednak byłem coraz bardziéj smutnym i zamyślonym, i to były pierwsze błogie łzy moje, których boleść z rozkoszą złączona jest urojoną. Im więcéj miało się ku wiośnie, tym bardziéj powiększała się moja wewnętrzna niespokojność. Nakoniec z bratem zaczęliśmy istotnie układać projekt tajemnego puszczenia się w świat na Opatrzność boską. Często wlazłszy na dach folwarku, dumałem o szerokim świecie i przeglądałem widnokrąg, jak daleko go okiem zasięgnąć zdołałem. Nabierając co dzień większéj ochoty do naszéj wycieczki, czuliśmy jednak potrzebę zwierzenia się komuś. Za mentora naszego obraliśmy starego gospodarza, który w prostocie serca, pochwaliwszy nasz zamiar, jeszcze nas bardziéj do wykonania go zachęcił. Nadmienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy i podał nam środek do ich nabycia. Ojciec odbierając co kwartał raty czynszowe, składał w osobny kufer trzygroszniaki węgierskie z obrazem N. Maryi Panny. Było téj miedzi do pół kufra, stojącego w osobnym niezamieszkałym pokoju, dokąd znosiliśmy opałeczki uzbieranéj miedzi. Gospodarz uczynił nam uwagę, iż właśnie te pieniądze są dla podróżujących szczęśliwe; lecz że ojca prosić o nie niemożna, boby się nasz zamiar zaraz wydał: domyśliliśmy się wkrótce, jakby ich dostać. Za każdą zdarzoną sposobnością braliśmy po garstce cudownych pieniędzy, któreśmy tajemnie w ręce gospodarza składali; ten zaś im więcéj dostawał, tym żywiéj nam przyjemności naszéj przyszłéj podróży opisywał. Nie pamiętam, ileśmy mogli funduszu uzbierać, gdy układy nasze smutny koniec wzięły. Nasz gospodarz zwykł był pewien czas spędzać na pijatyce; wysłany jeden raz na jarmark o parę

mil, zabrał nasz cały podróżny fundusz, i dopóty pił, aż wszystkiego przez trzy tygodnie nie przepił, włócząc się od jednéj karczmy do drugiéj. Wydało się wszystko; ojciec nas łagodnie ukarał i nasze stosunki z gospodarzem zerwał.

„Domyślić się także można, że w towarzystwie w jakiém żyłem, najwięcéj między prostemi kobietami, nasłuchałem się różnych baśni o duchach, zabobonach i czarach, co tyle wpływu wywarło na moję imaginacyą, iż dotąd puściwszy wodze wyobraźni na te czarne kraje, jak dziecię własnego cienia się lękam. — Przyłożył się do tego bliski cmentarz, przez który zwykle do szkoły przechodziłem. Kościołek drewniany w środku tego cmentarza nie wystawiał mi się inaczéj, tylko jako siedlisko duchów. Zwyczaj chowania ubogich ludzi bez trumien i składania ich na cmentarzu pod parkanem dniem przed pogrzebem, którędy przechodzić musiałem, nabawił mnie tym większéj trwogi. Temu także życiu z wieśniakami winienem, o co się winić muszę, iż dotąd daleko łatwiéj umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych, z jakimi późniéj żyłem; więcéj w stanie kobiet, niżeli mężczyzn, chociaż z niemi nie żyłem w ściślejszych stosunkach.

„Jedném z najprzyjemniejszych wspomnień moich lat dziecinnych są wiejskie wesoła, które bardzo lubiłem. Pracowity i prosty lud nasz nie ma nad nie większéj uroczystości. U ludu to wiejskiego dochowały się ślady dawniejszych słowiańskich obyczajów, które w stanach wyższych już dawno zniknęły. U wieśniaków w naszych stronach trwa wesele prawie przez cały tydzień, a każdy dzień ma inne obrządki. Dawniéj każde wesele przez jednę noc bawiło we dworze, gdzie nowożeńcy z wszystkiemi godownikami doznawali pańskiéj gościnności i zarówno z panami ochotowali. Muzyka, złożona z dwóch skrzypków i basisty grywała co dzień przy rannéj i wieczornéj zorzy na dobry dzień i dobrą noc, a jeden z dróżbów miewał pocieszne oracye o małżeńskim stanie. — Widzieć te wesołe druchny w kwiatach na głowie, z powiewającemi różnokolorowemi wstęgami, różczkę starosty, to jest pięciogałęzią jodłę umajoną rutą, stokrocią, jabłkami i orzechami, była to dla mnie niewypowiedziana roskosz. Nie znałem wtedy innych zabaw i uroczystości, dla tego widok orszaku weselnego, wy-

wijającego na wzgórzach chustami, odgłos muzyki wiejskiéj, unosił me serce do najżywszéj radości.

„Do takich wiejskich uroczystości należało także święto Bożego Narodzenia, w którém o saméj 12téj w nocy przemawiać miały zwierzęta, gdy barłogiem potrząsano podłogę i stoły, a po wsi wszędzie brzmiały wesołe kolędy, Boże Ciało, Matka Boska Zielna, a szczególniéj Dni Krzyżowe, w których obchodziliśmy z processyą stare po górach rozproszone kaplice, śpiewając litanią do wszystkich świętych, a każde: zmiłuj się nad nami! echo nam oddawało.

„W Lipnicy urodził się błogosławiony Szymon, sławny w zakonie Bernardynów krakowskich. Na jego cześć wystawiony jest w jego rodzinném miasteczku murowany schludny kościołek, gdzie się kilka razy do roku nabożeństwo odprawiało. Ten święty, który uczniom bosemi nogami po węglach chodzić kazał i różnemi cudami słynął, zajął moję imaginacyą i zwrócił umysł ku religii, tym więcéj, gdy przypadkiem w szafie znalazłem żywoty śś., które po stodołach i strychach czytywałem, z gorącem pragnieniem, abym mógł dosięgnąć podobnego stopnia świętobliwości.

„Szkoły tak były wtedy w Galicyi urządzone, iż młodzieży ani głowy obciążać, ani zabałamucić nie mogły. Dziecię polskie w domu albo w elementarnéj szkółce cokolwiek po polsku czytać poduczone, przechodziło do szkół tak zwanych normalnych, gdzie wszystko już po niemiecku wykładano. W tych szkołach zostawało tak długo, póki nie przysposobiło się o tyle w niemczyznie, iż mogło uczyć się po łacinie z niemieckiego języka. Ale że całą naukę zakładano tylko na opowiadaniu lekcyi na pamięć, przeto znajomość języka była tylko pozorna. Tak w tych jak i w innych szkołach nauczyciele nie zadawali sobie pracy w wykładaniu lekcyi i rozwijaniu pojęcia. Zadano tylko z książki ztąd dotąd; raz przetłumaczono na polskie, jeźli nauczyciel był Polak, kazano się nauczyć, a kto chybił, odebrał karę i na tém koniec. Sama więc pamięć była nielitościwie mordowana; każdy się uczył, zwykle nie wiedząc czego, tylko na jeden dzień. Dzieci Niemców miały nad nami tę wyższość, iż rozumiały, czego się uczą, a w nas przez zazdrość wzrastała nienawiść do nich

i do ich języka, będącego przyczyną naszego upośledzenia i mozołu. W szkołach łacińskich, czyli tak nazwanych gimnazyach, jeszcze więcéj było trudności. Dzieliły się one na pięć klas, których głównym a prawie wyłącznym przedmiotem był straszliwy Alwar, na pięć grubych a w miarę klasy coraz grubszych tomów podzielony. W trzech pierwszych klasach jeden professor przez 3 lata prowadził swych uczniów, a po tym kursie od 3ciéj wracał znowu do najniższéj. Ostatnie dwie klasy, retoryka i filozofia, miały już osobnych swych profesorów, którzy w nich sami wszystkie nauki wykładać musieli. Ogromny zbiór reguł Alwara w tych dwóch ostatnich klasach powtarzany, skracany był tym sposobem, iż między uczniami przez tradycyą utrzymywały się eksemplarze téj książki, w których słowa do nauczenia się na pamięć przeznaczone, podkreślone były czerwonym ołówkiem, tak że nawet całe peryody do właściwéj zwięzłości przywiedzione były. Pierwsza więc czynność była nowicyuszów do tych klas posuniętych, tak sobie swego Alwara ołówkiem przykroić. W szkołach tych już nikt słowa polskiego nie słyszał. Trudność uczenia się języka obcego za pomocą drugiego także obcego i niezrozumiałego była nadzwyczajna. Wszystko więc i tu odbywało się mechanicznie. W 2giéj klasie już trzeba było mówić po łacinie, z wolnością wyrażenia po niemiecku słowa, którego się nie wiedziało. Dla utrzymania między nami kontroli, abyśmy po polsku nie gadali, zaprowadzone było tak zwane Signum linguae, to jest mała, z drzewa ustrugana książeczka. Urządzenie było takie, że ten karę odbierał, kto ten znak nieszczęsny przez godzinę 12tą w południe miał przy sobie. Ostrożni starali go się wcześniéj pozbywać, inni na ostatnią godzinę postrachem terminu nagleni, używali wszelkich środków do podejścia kolegów, właśnie w tym czasie mających się na ostrożności. W ostatnim razie kończyło się na tém, iż niespodziane mocne uderzenie kolegi w kark zmusiło go naturalnie z bólu do odezwania się przyrodzonym językiem, a następnie do przyjęcia nieszczęsnego Signum na ową niebezpieczną godzinę, zkąd wypływały zatargi, nieprzyjaźń, a często krwawe bitwy.

„Gdy w najniższéj normalnéj klasie wykładano naukę re-

ligii po polsku, rozumiałem przecie cokolwiek, czegom się uczył; lecz to właśnie na złe mi wyszło. Gdy nam zadano rozdział o otchłani, w któréj dusze bez chrztu zmarłych pozostawały; przyszedłszy na lekcyą wynurzyłem naszemu katechecie moję wątpliwość w téj mierze, bo mi się to wtenczas niesprawiedliwością wydawało, z wielkiém zadziwieniem kolegów, gdyż nie wolno było odzywać się na lekcyi bez rozkazu nauczyciela. Ks. katecheta wysłuchał wprawdzie cierpliwie moich dziecięcych zarzutów, lecz zmierzył mnie wzrokiem, z którego doświadczeńsi koledzy źle mi wróżyli; gdy jednak nic mi nie odpowiedział, ja w dobréj wierze obchodziłem przez pare dni mój tryumf. — Razu jednego spostrzegamy w szkole nadzwyczajne zebranie wszystkich profesorów, na których czele rektor po długiéj perorze mnie, który się ledwo domyślałem, o co rzecz idzie, wywołał na środek, gdzie odebrałem publicznie chłostę i musiałem się własnoręcznie zapisać w czarną księgę jako bluźnierca. Pióro i kałamarz, których się dotknąłem, wrzucone zostały do wody; a jako odszczepieniec siedziałem przez trzy miesiące na lekcych na osobném miejscu. Ten przypadek zrobił mnie ponurym i tym lękliwszym, zwłaszcza że od niewyrozumiałych i swywolnych kolegów długie wycierpiałem prześladowanie.

„Do nauk mało miałem ochoty, skłonniejszy będąc do dumania, mianowicie w rzeczach religijnych; przejmowałem się błogą sercu miłością Boga, stojąc zawsze przy swojém, że niewinnych nie potępia na wieki.

„Mieszkaliśmy z bratem Andrzejem u wdowy, podupadłéj szlachcianki, która miała dwóch synów nadzwyczajnie rozpustnych, uczęszczających do klas wyższych. Gospodyni nasza przeszło 50letnia, w najwyższym stopniu przejętą była szlachectwem swego rodu, a jeszcze bardziéj swoją pięknością. Powtarzała nam bardzo często, że pochodzi z książąt Spicimirów, a z miasta nieraz zadyszana wracała w srogiéj trwodze, twierdząc, że przez całe miasto ściganą była od księcia Hieronima Sanguszki, dziedzica Tarnowa, znanego zresztą w całéj okolicy rozpustnika, równie jak nasza gospodyni słynęła z dziwacznéj pretensyi w ubiorze, przypominającym niezmier-

nie dawne czasy; chodziła zawsze upudrowana z partesem, wachlując się wachlarzem.

„Codziennymi gościami bywali u niéj dorośli studenci, powiększéj części instruktorowie młodszych, noszący zawsze gibkie pręty, jako niezbędne narzędzia do ich metody nauczania, z któremi nawet w jéj obecności lubili się popisywać, próbując sił swoich i przecinając libry papieru. Uprzedzenia synów szczepu książąt Spicimirskich stawały się dla nas coraz nieznośniejsze, zwłaszcza gdy im matka zdawała się całkiem pobłażać; każdy nieszlachcic był od nich prześladowany (bo w naszych szkołach odróżniano szlachtę wyrazem *de*) a szczególniéj wieśniacy, przybywający z jarzyną i drewkami, których oni inaczéj nie nazywali, jak chamy. Służąca jedyna w domu, obarczona uciążliwą pracą i ustawiczném dokuczaniem, codziennie prawie płakała. Nieszczęście mieć chciało, że kuzyna naszéj szlachcianki zgodzoną była za pannę służącą do mojéj macochy. Naturalnie dwa tylko miesiące przy niéj wytrzymać mogła; żal i pomsta spłynęła także na mego dobrego ojca i na nas synów. Ponieważ macocha dogryzając ojcu często czyniła mu wyrzuty, nasuwając niemałe podejrzenie, że nie jest szlachcicem; przeto nasi gospodarstwo pochwycili te poniżające przymówki i dopominali się u zwierzchności szkolnéj, żęby nasze *de* z katalogu wyrzucone zostało. Najczęściéj więc z bratem uciekaliśmy w pole i tam się zadanych lekcyi uczyliśmy.

„Po dwóch leciech uznał ojciec konieczność umieścić nas gdzieindziéj. Nastręczono mu krawca, który się tanio zgodził; nie najgorsze miał mieszkanie, lecz w parę tygodni wyprowadziwszy się z niego, mieścił się z żoną, dziećmi, czeladzią i z nami w większéj jednéj izbie od tyłu. Byłto zawołany pijak; do szynkowni idąc, zwracał na siebie uwagę, głośno w rękę trąbiąc; w domu zaś za powrotem wszystko wywracał, tłukł, bił, a dane do roboty sukno na zastaw wynosił; trafiało się, że i nasza garderoba nietylko z kuferka, ale i ta którąśmy na noc zdjęli, tego losu doznawała. Tym sposobem nieraz po kilka dni nie chodziliśmy do szkoły, mrząc głód, znosząc zimno, przekleństwo nieszczęśliwéj żony i skwierk zgłodniałych dzieci. Przymuszony będąc zostać w zimie czę-

sto przez cały dzień w pościeli, nie mając co wdziać na siebie, z szczególném zamiłowaniem odmawiałem modlitwy ze staréj znalezionéj książki za dusze w czyszczu cierpiące i prowadziłem formalny rejestr dusz przezemnie podług napisów nad modlitwami z czysca wybawionych.

„Szczęściem przybył ojciec i wyrwał nas przecie z tego naszego czyszca. Przenieśliśmy się do jedngo z kancelistów Fori nobilum, którego mieszkanie po opuszczoném, zdawało nam się niebem. Miał on żonę dwa razy od siebie wyższą, brzydką i krzykliwą, ale przywiązaną do męża i dobrego serca. On był rodem Węgier, niezmiernie powolny i z duszy także butelkę lubiący. Dla tego trzymany był krótko, porówno z nami dziećmi, na rękę żony we wszystkich potrzebach tak jak my patrzący. Ona zaś, zabiegając tylko, aby się mąż nie upił, była nad możność hojną. Po kwartale kiedy ojciec za nas raty zapłacił, lub po pierwszym każdego miesiąca mieliśmy wszystkiego do zbytku; za to koniec kwartału gdy się dały czuć w kieszeni pustki, był zawsze smutny. Szły znowu na zastaw rzeczy, nawet nasze suknie. Wtedy nasz gospodarz miał więcéj wolności wychodzić z domu i za cudze pieniądze upijać się bezkarnie. Gdy podchmielony wracał w najlepszym humorze do domu, łajany od żony odpowiadał: co ty znasz głupia, gdybyś ty tylko wiedziała, jak my tam dzisiaj pili! Raz późno w noc przyszedłszy, postrzegł przy świetle księżyca stós garnków porządnie aż do sufitu za piecem po świeżem wyszorowaniu ułożony. Zdało mu się, że to jakiś djabeł. Podżegany przez nas z pustoty, nuż machać kijem począł tak dobrze, że wszystkie skorupy potłukł. Nazajutrz był w domu wielki kłopot i my nie dostaliśmy obiadu, którego nie było w czém gotować. Nie wiem zkąd mi się dostał przywiléj chodzenia z moim gospodarzem do szynkowni; była to brudna komora u żyda, gdzie pito miód albo wino węgierskie. Szczęściem, że do szklanek nie miałem ochoty, lecz za to bułki na przekąskę dawane, o które pijacy nie dbali, zjadałem, ciesząc się wewnętrznie, że ci panowie wolą wino, niż bułki.

„Jeździliśmy kilka razy na wakacye do domu, gdzie coraz było gorzéj i smutniéj. Całe dni trawiliśmy wtenczas po polach i lasach, nie pokazując się prawie na oczy macosze,

która do zwykłych krzyków, hałasów, bicia sług i chłopów, nawykła jeszcze do pijaństwa, dom nasz zamieniła w piekło.

„Jednego razu w zimie ojciec nasz niebezpiecznie zachorował i sąsiedzi bez wiedzy macochy przysłali po nas do Tarnowa furę, abyśmy umierającego ojca pożegnać mogli. Zastaliśmy księdza w domu przy łóżku chorego; obok krucyfiksu świece gorzały. Byłto właśnie moment, w którym ojciec podpisał testament. Treść testamentu obudziła zjadłość téj okropnéj kobiety do tego stopnia, iż wyzuwszy się z wszelkich uczuć ludzkości, zapisane jéj kopersztychy i obrazy w obec księdza, pisarza i świadków z największą wściekłością ze ściany zdzierała i na ojca miotała. Wszyscy przytomni na ten widok struchleli. Ojciec rzucił na nas żałosnym okiem; widać na nim było mocne wewnętrzne wzruszenie i kazał nam się oddalić. Wśród płaczów i łkania przepędziliśmy noc całą w izbie czeladniéj. — Uzyskawszy na chwilę wolny przystęp do ojca, otrzymaliśmy od niego błogosławieństwo z rozkazem powrotu do szkół. Płakali nas domownicy, szczególniéj poczciwy żyd arendarz, koło któregośmy przejeżdżali. Ten litując się naszéj doli, obdarzył nas łakotkami i dał po 2 złote w trzechgroszówkach, summę, jakiéj jeszcze nigdy nie miałem.

„Że mój brat Andrzéj ukończył był gimnazyum w Tarnowie, przeniósł się na uniwersytet do Krakowa, gdzie i ja także w drugiéj gimnazyalnéj klasie umieszczony zostałem. Nieszczęście było zawsze przywiązane do naszych stancyi studenckich. W Krakowie umieszczono nas u stolarza na końcu ulicy Wrocławskiéj, w izbie, gdzie heble i piłki w nieustannéj były robocie. Stolarz ten był razem i tokarzem, mającym swój warsztat w małym sklepiku na ulicy Grodzkiéj. Tam musieliśmy chodzić na śniadanie i na obiad, czekać całe godziny, jeść najniegodziwiéj, a najczęściéj kończył się obiad na tém, że godne małżeństwo łyżki i półmiski rzucało sobie na łeb, a my przestraszeni i zbryzgani wychodziliśmy głodni na ulicę. Byłto znowu doskonały eksemplarz pijaka i hultaja, który wzięte za nas pieniądze stracił, a nie mogąc nas wyżywić, od żony za hultajstwo swoje był łajany. Tak włóczyliśmy się przez jesień ze szkoły do tokarni, ztamtąd do stolarni, głodni i przemokli dzwoniliśmy zębami. Dopiero obcy człowiek

wpodle nas mieszkający, przez szczególną ludzkość wywiedział się o stanie naszego ojca, przyszedł do nas i podjął się umieścić nas gdzieindziéj, pewny będąc, że mu ojciec tego wmięszania się za złe nie weźmie. Uściskaliśmy dobroczyńcę naszego i niebawem przenieśliśmy się na ulicę św. Anny, blisko szkół, do porządnego gospodarza, utrzymującego już kilku innych uczniów. Rajem zdało nam się to mieszkanie; stancye były porządne, stół dostatni, ludzie dobrzy, o nas troskliwi, koledzy weseli.

„Wkrótce nadeszła wiosna; we mnie obudziła się na nowo miłość dawnéj swobody biegania po górach, łąkach, najczęściéj samotnie. Brat mój miał swoich przyjaciół, swoje prace; oddawał się z zapałem poezyi; ja zostawiony samemu sobie, w naukach się opuściłem; celowałem tylko w wypracowaniach piśmiennych łacińskich, które sam niewiem, jakim sposobem łatwo mi przychodziły. Najulubieńszą moją zabawą było zbieranie i zasuszanie ziół i kwiatów i na tem całe przedpołudnia bawiłem często na górze Bronisławy. Książki, będąc już kilka lat studentem, żadnéj nie czytałem. Lubiłem i umiałem różne pieśni, ale nigdy mi jeszcze przez myśl nie przeszło, żeby można jakowe wiersze czytać. Historyczne pomniki Krakowa były mi najobojętniejsze, gdyż żadnego o historyi polskiéj wyobrażenia nie miałem.

„Ojciec po długiéj słabości zdołał przecie do nas przybyć. Zapłacił poczciwemu gospodarzowi, który bez żadnéj ugody i znajomości tak długo nas żywił. Wkrótce po odjeździe jego doszła nas wiadomość, że już nie żyje. Nie przypominam sobie z tych czasów udatniejszéj postaci nad mego ojca, dla którego więcéj mieliśmy uszanowania, niżeli dziecinnéj miłości. Starzec 60letni, po polsku się nosił, z tym tylko wyjątkiem, że zamiast podgolenia włosów, zaczesywał je wtyl od czoła, spuszczając siwe kędziory na plecy; powolny, milczący, wtenczas się tylko do nas odzywał, gdyśmy na połajanie zasłużyli. Codzień o ćwierć mili chodziliśmy z nim na mszą św.; w niedzielę tylko kazał zaprzągać do małego wózka, zwanego wanienką. Był nadzwyczaj oszczędnym, zkąd pochodziło nieszczęśliwe umieszczanie nas po ladajakich stancyach. Wymyślny sam w polskim ubiorze, nam bardzo rzadko sprawiał

nowe suknie, lecz z ogromnéj swéj garderoby przerabiać kazał kapotki. Co rok w czasie wakacyi wietrzono na dziedzińcu do stu kontuszów i żupanów; czyniono z krawcem lustracyą, które z nich dla dzieci przerobione być mają; mieliśmy przeto sukienki najczęściéj w najdziwaczniejszych kolorach.

„Było zwyczajem, że do 3ciéj klassy łacińskiéj młodzież nosiła się po polsku, w ostatnich dwóch po francuzku, na oznakę niejakiéj wyższości. Memu bratu starszemu przypadła jakaś suknia z żółtemi pasami, z któréj mu frak zrobiono, wyśmiany od wszystkich uczniów.

„Oprócz starostwa Lipnickiego, które nasz ojciec lat 20 dzierżawił, miał dożywocie na jednéj wiosce. Że sam nie byl zawołanym gospodarzem, wypuszczał grunt abszytowanym żołnierzom, budował im chaty, i ci byli do niego najprzywiązańsi. Sprawiedliwy, rozsądny tak był kochany i poważany, iż na pogrzeb jego do kilka tysięcy osób się zjechało; utrzymywał wiele korespondencyi, do Krakowa regularnie dwa razy w tydzień posłańca wysyłał.

„Trzy miesiące od śmierci ojca upłynęło, nasz najem się kończył, do nas nikt się nie zgłosił. Brat Andrzej zyskał sobie niejaki zarobek pisząc u adwokata, mnie jak mógł, dopomagał, lecz wyżyć dłużéj obudwom było niepodobno. Przedsięwziąłem więc udać się do macochy, a w razie najgorszym szukać u sąsiadów porady i wsparcia. Uszyłem sobie potajemnie z prześcieradła torebkę, dostawszy od żydów za niepotrzebną czapkę kilka czeskich, zabrałem moje manatki i puściłem się pierwszy raz w podróż o 8 mil do miejsc rodzinnych, zdawało mi się, że na koniec świata; wiek, słabe zdrowie i brak wprawy ledwo mi dały tę podróż ukończyć; spoczywając co chwila po lasach i górach, zostawiałem coraz więcéj po drodze moich manatek, najprzód książki, potém i sukienki, co mi wszystko nieznośnie ciężyło, tak dalece, że prawie z niczém przyszedłem na miejsce. Stanąwszy w Lipnicy, z drżeniem serca zbliżałem się do domu, który dla mnie tyle smutnych miał wspomnień. Nie zastałem w nim nie tylko macochy, ale nawet i żadnego z czeladzi. Po śmierci ojca Niemcy, według prawa, natychmiast starostwo objęli, gdy starosta Roszycki dożywotni, w jednym czasie z mym ojcem umarł.

„Poznała mnie jedna z wiejskich kobiet, zaprowadziła do domu swego, gdzie noc smutną spędziłem. Dowiedziałem się, że macocha zaarendowała polne dochody plebanii w Rajbrodzie, w jednéj z wiosek do starostwa należących. Mąż téj kobiety odprowadził mnie do Rajbroda, pół mili tylko od Lipnicy odległego. Po drodze wstąpił ze mną na cmentarz, pokazał grób ojca, pomodlił się ze mną, przechodząc przez miasteczko (murowaną Lipnicę) zaprowadził na piwo i bułki. Zeszło się do szynkowni wiele ludzi, najwięcéj mieszczanek, byłem głaskany, żałowany, mówiono niezmiernie wiele o majątku ojca, co macocha zabrała, co Niemcy zajęli i tym podobnie; wszyscy podawali mi szklanki nawet i kieliszki z wódką.

„Przyjęcie u macochy nie było takie, jakiego powinienem się był obawiać; nagła zmiana losu i w nim upokorzenie, głos sumienia, a najwięcéj chęć zyskania opinii, sprawiły zapewne, iż mi nie odmówiła przytułku, po który tylko ślepym instynktem wiedziony przybyłem. Mieszkała w szczerem polu, w nowym zupełnie domku, o dwóch izbach z jednéj, a kuchni i śpiżarni z drugiéj strony; zresztą żadnego drzewka ani przybudowania; droga nawet w to miejsce ledwie była cokolwiek utartą. Miała przy sobie dwoje małych dzieci i jednę tylko służącą. Przyjęty byłem do czasu, póki opiekun i forum nobilium nami nie rozrządzą.

„Wieśniacy Rajbroda różnili się od włościan okolicznych obyczajami, wymową, a nawet strojem zupełnie prawie odmiennym. Liczne chaty rozproszone po dwóch pasmach wzgórzystych, około niespokojnéj często wylewającéj rzeki, przez samych tkaczów były zamieszkane. Trzaski warsztatów rozlegały się od świtu do zmierzchu, a wielkie wzgórza i trawniki pokryte blichującem się płótnem. Pola mało zasianego, natomiast cała prawie wieś składała się z sadów, w których najwięcéj włoskich orzechów. Na małym placu równym, w dolinie, stary drewniany kościołek Maryi Pannie poświęcony. Plebania była na cmentarzu, tak że pod oknem prawie chowano.

„Nie mając żadnego towarzystwa i zatrudnienia, żadnéj a żadnéj książki prócz łacińskiéj i niemieckiéj gramatyki, jedyne towarzystwo znalazłem w drzewach, ziołach i strumy-

kach, nad któremi czas mój pędziłem. Niczém prawie ze szkół, oprócz trochę tych dwóch języków nie uposażony, nie miałem w téj samotności żadnego żywiołu dla myśli. Obyczaje wieśniaków zdały mi się zbyt grube w porównaniu z sąsiedniemi, i nie miałem z nimi prawie żadnéj styczności.

„Dumania po polach były mi zawsze jakś roskoszą, połączoną z tęschnotą. W szczupłem mieszkaniu macochy, którą moje próżniactwo bynajmniéj nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabienie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć i pisać, lub czytać gramatykę. Tam między innemi rzeczami postrzegłem wór papierów po ojcu moim zabranych. Między listami, rejestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i półarkuszach, mowy sejmu 4letniego, wiersze, najwięcéj na imieniny różnych panów, lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne rzeczy osobno drukowane po wszystkich domach się rozchodziły prędzéj niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojéj lektury od papierów na nic nie przydatnych, a biorąc po świstku w pole, czytałem głośno to mowy to wiersze. Tamte mało mnie zajęły, nie zrozumiałem, o co w nich idzie, wiersze sprawiły mi roskosz, jeżeli w nich jakie porównanie, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo powinszowań Naruszewicza, Ks. Jakubowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższemi zdawały i w pamięci utkwiły.

„Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestósowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniéj naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza: przetrząsłem jeszcze raz wszystkie papiery w worku segregowane, powycinałem białe kartki, zszyłem sporą książkę, i póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach, układałem w rymy, co mi do głowy przyszło. Byłem jak pisklę w gnieździe, któte instynktem samym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje. Najczęściéj śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodia naprowadzała mnie na wyrazy, którem zaraz śpiewał. Były to wyrazy tęsknoty za matką, któréj nie znałem, i więcéj jeszcze piosneczki miłosne, proste naśladowanie dumek od żniwiaczek słyszanych. Byłem

wtedy szczęśliwy i cały dzień zajęty, a bez żadnych zapasów wiadomości, układałem projekta do dużych poematów.

„Nadeszła zima najsmutniejsza dla mnie, bo już nie tylko towarzystwa, ale i natury pozbawiony, bez żadnych książek przepędzić ją musiałem; wieczorem chodziłem do czeladniéj izby plebana, szczęśliwy, jeżeli trafiłem na dzień, gdy parobki i prządki opowiadały tak zwane gadki, historyjki, lub kiedy śpiewano pobożne pieśni, czém się zwykle nasi wieśniacy przy pracy zajmowali. Bywałem także u organisty, który miał w domu lichy klawicymbalik. Czasem zagrał na nim pieśni pobożne, bo innych nie umiał, pragnąłem w najwyższym stopniu uczyć się na tym instrumencie, lecz ujrzałem niepodobieństwo skłonienia organisty, który nie chciał udzielać tajemnicy swéj sztuki, może i dla tego, że żadnéj nagrody spodziewać się nie mógł. »Pan jesteś i będziesz panem, i nie potrzebujesz być organistą,« odpowiadał mi, nie wiem, czy w prostocie serca, czy też żartując z biedaka. Macocha moja pogniewała się z plebanem, ztąd przez całą zimę towarzystwa nie było; oboje w samotności, pokątnem nachylaniem kieliszka wieczory długie odprawiali.

„Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą, w czasie któréj już czerwone prątki krzewin, pączki obiecywały, a cmentarz był pełny fijołków. Zajmowało mię wielce nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą, należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mnie szczególniéj psalmy, śpiewałem je za nim samym, późniéj kolejno, nazajutrz rano i po południu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida. Po skończeniu uroczystości Wielkanocnych potrafiłem uprosić od organisty książkę, któréj używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc daléj, żeby mnie ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą gramatyką, i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyckie, ale i religijne, a od smutku i tęschnoty do błogiéj wesołości i nadziejnych marzeń przeszedłem.

„W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mają-

cego znaczne probostwo w Wojniczu, o 4 mile od Rajbroda. Co była za radość moja, czytać list cały o poezyi, któréj się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza z Kempis, a nawet całéj tragiedyi przez niego napisanéj pod tytułem Ludgarda! Doniósł mi o książkach, jakie czyta, o księdzu Juszyńskim, który się trudnił bibliografią polską: że go poznał, bywa u niego i rady zasięgał. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiéj i poezyi. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda, nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęschnoty do brata, do jego książek, a co większa, widzieć jeszcze trzeciego człowieka, księdza, chcącego się zajmować poezyą. Nikt się o mnie nie pytał, w zaniedbaniu nie wiedziałem, na co żyję; w domu byłem widocznie tylko cierpianym; umyśliłem więc, puścić się w drogę do stryja, który był i prawym moim opiekunem. Szło tylko o to, że byłem zupełnie odarty, a tak nie śmiałem się pokazać w domu stryja, gdzie jak słyszałem, bywali goście. Wynalazłem na moim strychu walający się surdut, niegdyś lokajski, po poczciwym Macieju, który go po śmierci ojca mego zrzucił i został na powrót parobkiem. Prosiłem o niego macochę, otrzymałem, a po różnych naradach z krawcem wiejskim, który się długo wahał jąć téj roboty, przechodzącéj jego umiejętność, sklecił się surdut dość poczesny, po odjęciu wszelkich znaków lokajskich. Tak wystrojony, nie wahałem się wystąpić na świat za granicę Rajbroda. Udałem się o pół mili do Lipnicy, do księdza wikarego, który znał mego stryja, z prośbą o poradę. Widząc mój stan próżniactwa, moje łzy, skłonił się, iż miałem być wyprawionym konno z przewodnikiem do Wojnicza. Macocha wyjechała na dłuższy czas — nie mówiąc nic nikomu, puściłem się w moję drogę, pełen najświetniejszych nadziei. Mój stryj i opiekun był przykładnym i oświeconym kapłanem, dobrym oraz i hojnym dla gości sąsiadem, miał piękne dochody; lecz za to nie miał ducha ekonomicznego, — nadto obciążony był familią, oprócz nas, czworga dzieci po jednym bracie bawiło przy nim, po drugim matka z córką. Mniéj czule przyjąłem niezbyt uprzejme przyjęcie, szczęśliwy, żem się połączył z rodzeństwem, szczególniéj z bratem starszym.

„Wojnicz leży w przyjemnem położeniu blisko Dunajca, owéj rzeki porywczéj, gwałtownie często wzbierającéj, tak, iż często drzewa, trzody i szopy pasterskie w górach zerwane pędziła. — Probostwo składało się z obszernego, bardzo porządnego mieszkania z drzewa po staroświecku, i z przepysznego ogrodu włoskiego, którego czołem był sad, mający najwytworniejsze owoce; kilka miesięcy pobytu mego w tém mieście, liczę do dni najszczęśliwszych młodości mojéj; wszyscy czworo, to jest dwie siostry i dwóch braci, mieliśmy jedne skłonności, lubiliśmy czytać wiersze i po spacerach między wzgórzami piękne wynajdywać okolice. Ksiądz stryj dzielił z nami po części to usposobienie. W jednéj altanie ogrodu leżała spora księga, gdzieśmy wszyscy zapisywali różne wiersze, koncepta i powiastki. Jędrzej celował dowcipem i pracą, od wszystkich najwięcéj kochany. Najgłośniejszą lekturą naszą były sielanki Gesnera, wierszem przez Ks. Chodaniego przełożone. Wszyscy nie tylko pisaliśmy sielanki, na wzór Gesnera, ale nasze rodzinne dziecinne życie było prawdziwą sielanką. Ja najwięcéj się przywiązałem do Szczęsnéj, stryjecznéj siostry, która zupełnie była równego ze mną wieku i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściéj na łąki zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów. Ona wkrótce wraz z matką wyprowadziła się o pół mili do wsi Więckowic, gdzie bawiła przy państwie Miroszewskich, w pałacu pięknie umeblowanym, a raczéj trudniła się dozorem domowego gospodarstwa. Tam niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu pod umówioną murwę, gdzie wybiegała do mnie, przynosząc mleka kwaśnego i chleba, tudzież książki, jakie z biblioteki porwać mogła. Jeżeli dzień minął, gdzieśmy się nie widzieli, nie obeszło się bez listu; kochaliśmy się najczulszą braterską miłością, weseli w zabawach, a zbyt może sielankowi i gesnerowi w naszych listach. W ogrodzie stryja zrobiliśmy oboje mały ogródek, nad którym najwięcéj pracowałem; kanapkę z darni zrobiłem, i starałem się przesadzać do niego najwięcéj polnych kwiatków, które się rzadko przyjmowały; tam było nasze ulubione siedzenie.

„Nigdzie, gdzie stryj i siostry bywały, pokazać się nie

mogłem, bo oprócz zbyt lichéj garderoby, byłem w najwyższym stopniu nieokrzesany, nieśmiały, lubo w gronie czułem słodycz ugrzecznienia obyczajności wyższego świata, o jakim tylko z daleka słyszałem i pragnąłem poznać. Kiedym przechodził koło pięknych dworów, których w téj okolicy pełno było, wystawiałem sobie, że wewnątrz nich jest raj prawdziwy. W imaginacyi stawiałem się pośród dam, byłem zręczny, przytomny, a nawet układałem dowcipne odpowiedzi i komplementa, na różne zajść mogące pytania i okoliczności. Nieraz znakomita dama, mijając brudnego chłopca, nie wiedziała, że tenże układa właśnie do niéj najsubtelniejsze wyrazy uczuć i dowcipu, jedynie od saméj natury czerpane. Nawet późniéj nigdy w życiu nie umiałem zrealizować czułych w sobie zdolności i chęci. Zawsze nieśmiały, nieprzytomny, dopiero wracając od dam, po drodze ślicznie i dowcipnie odpowiadałem, rumieniąc się i niepokojąc, że tak niezgrabny być mogłem. Raz istotnie starościna Dąbska, o któréj wykształceniu największe sobie snowałem wyobrażenie, raczyła do mnie na spacerze przemówić. Traf ten niespodziany tak mi odebrał przytomność, że coś niezrozumiałego mruknąwszy, w największym pędzie uciekłem i już z każdego odtąd miejsca uciekać musiałem, gdzieby mnie ujrzeć mogła. Taką moję nieśmiałość czułem głębiéj nad wszystkie cierpienia; ona mię prześladowała i prześladować będzie do końca życia, i jest główną przyczyną wszelkich we mnie innych niedoskonałości i niefortunnych kolei. — Nie widząc nigdy towarzystwa, jak mówią, wyższego świata, najwięcéj o niém lubiłem marzyć, i nic dla mnie naturalniejszego nie było, jak dobrą, grzeczną damę uważać za bóstwo prawdziwe. Tém wyobrażeniem nie upoiły mnie romanse, bom dotąd żadnego w życiu nie czytał, ani poezye, bo najwięcéj i jedynie miałem na pamięci pasterki Gesnera; lecz sądziłem, że słodycz obyczajów, cnoty, jakie tenże w pasterkach malował, znajdują się rzeczywiście w towarzystwie wyższego świata. — Gesnera Idylle, mające za przedmiot naturę, są jak to każdy dziś czuje, najmniéj naturalne i już zapewne nikt ich nie czyta; lecz właśnie ta idealność Gesnera jest podług mnie jedyną poezyą dla wieku dziecinnego, który jak swojéj własnéj, tak i w sztuce oddanéj, szczeréj niewin-

ności i uczuć dziecinnych nie zdoła czuć, bo ich z niczém porównywać nie umie, bo nie wiedząc o tém, sam ich jest pełniejszy, niż wszyscy poeci. Właśnie więc dla tego Gesner podoba się młodości, że nie maluje rzeczywistéj natury, że wystawia świat idealny, w jaki tylko wiek dziecinny wierzyć może i do jakiéj najwięcéj jest skłonny.

„Dla tego téż może Gesner od wykształconéj społeczności we Francyi więcéj, niż wszędzie był uwielbiany, bo téj prawdziwie idylicznéj natury czuć już nie był w stanie tak, jak umysł dziecinny czuć jéj jeszcze nie może. Szczęsna siostra widziała nierównie więcéj świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała u znakomitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrzesanie wcale jéj nie uderzało i często wymykając się od zabaw i gości, wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, który nawet okna unikał, gdzie widział gości. Każdy przysmaczek, jaki się jéj dostał, był wspólnie ze mną zjedzony, a z rozmowy nasze, rozumowania były, jak mówiła, więcéj nauczające, niżeli towarzystwo, które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie; wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jéj wyższego poloru miałem taki, iż nigdy nie odważyłem się dać jéj braterskiego pocałunku; żyliśmy z sobą jak bracia, i po niéj uważano, że ma więcéj męzkich skłonności.

„Brat mój Andrzej umieścił się tymczasowo u starosty Dąbskiego, jako sekretarz. Mieszkanie starosty było jedno z najwspanialszych w okolicy; wkradłem się często do niego z największą obawą, równie aby mnie pies, starościna lub dama jaka nie spostrzegła. W całym tym pięknym dworze polskich książek prawie nie było, lecz tylko francuzkie, którego języka obadwaśmy nie rozumieli. — U doktora dworu wynalazł brat poezye niemieckie Hallera, zdobycz dla nas obudwu niezmiernie ważna; ja mało mógłem go rozumieć, brat mi tłumaczył, piękniejsze miejsca nawet wierszem przekładał. Wiersz do wieczności szczególniéj nam się podobał. Wkrótce byłem w stanie rozumieć całego Hallera, niezmiernie uradowany, że są rzeczy głębiéj zajmujące, jak sielanki Gesnera Hodaniego. — Gdy raz starostwa wcale w domu nie

było, miałem sposobność obejrzeć pięknie umeblowane pokoje; widok ten sprawił we mnie zadziwienie. Na obrazy żadnéj nie zwróciłem uwagi, lecz alabastrowe wazony, szczególniéj zaś figury gipsowe, pare marmurowych czy mozaikowych kolumn, nęciły mnie tyle, iż się im napatrzeć nie mógłem. Snycerskie roboty ołtarzów i rzeźby, których tyle w kościołach krakowskich, mało mię niegdyś zajmowały, ale te rzeźby z antyków naśladowane, już dały mi poznać, że w ludzkiéj postaci coś nadludzkiego mają.

„Nie mógłem odtąd patrzeć na żadne tłuste, złocone po kościołach aniołki. Dotąd nad wszystkie sztuki najwięcéj mię zajmuje rzeźba starożytna; ona jest wyobrażeniem spokoju i duszę pokojem zapełnia.

„Gdy się pozostałością po ojcu zajęto, pokazało się, iż jako tako parę lat jeszcze w szkołach pobyć możemy. — Brat Jędrzej udał się do Krakowa, ja napowrót do Tarnowa do mego Węgrzyna Wrenera. Jednakże fundusz na moje utrzymanie w Tarnowie, lubo najskromniejsze, na rok tylko wystarczał, gdy mi 3 lata koniecznie do ukończenia szkół było potrzeba. Zmuszony byłem dzieci uczyć po domach, lubo najmniéj miałem do tego usposobienia, a to szczególniéj z powodu powolności, która dla zbyt żywych w tych stronach dzieci nie była stósowną. Mój zawód pedagogiczny, wypadało mi zacząć od synków żyda zamożnego, który nie chodził w zwykłym ubiorze żydowskim, i pragnął szczególniéj, aby dzieci po polsku umiały. Wybór do tego zdarzyły nie moje zdolności, ale pokora i powolność, która mnie z oczu i ubioru oznaczała. Dla żydków bojaźliwych, od młodzieży prześladowanych, takiego było potrzeba. Jakoż dobrze obie strony wyszły, bo te dzieci były niezmiernie posłuszne, a przytém pokorne, i ja nie potrzebowałem dodawać sobie powagi pedagogicznéj. Postęp był coraz lepszy, ojciec po dwa razy podwyższył mi wynagrodzenie, a matka rozpłakała się z radości, gdy dziecię najmłodsze płynnie czytało. W dzień sabatu miałem zawsze wyborne ciasta dane mi w chustkę, które pożywałem z kolegami, a ci powoli przestali mnie prześladować, żem jest żydowskim belforem. Miałem za te godziny 3 reńskie na miesiąc, co było płacą nadzwyczajnie hojną, gdy gdzie-

indziéj po jednym i pół tylko dawano. Nabierałem powoli wprawy w nauczaniu, lecz za to uczenie się szło bardzo niepomyślnie.

„Gimnazyalne szkoły w Galicyi wówczas urządzone były tak, że prócz języka łacińskiego i niemieckiego, żadnéj prawie nauki powziąść w szkołach nie można było, sintaxis, retoryka i poetyka, w najdrobniejszych szczegółach zawikłane, nużyły umysł i obciążały pamięć; miałem do nich wstręt najwyższy; natomiast wolałem tłumaczyć autorów; w pierwszym roku mieliśmy profesora, pod którym cały rok zszedł na niczém. Był to pijak i cynik w najwyższym znaczeniu wyrazu; cała przestrzeń jego płaszcza między podszewką a suknem, zapełnioną była kajetami naszemi, które stanowiły pościel tego filozofa, jak go nazywano. W mieszkaniu jego żadnego, co się zowie, sprzętu nie było, natomiast cała podłoga osuta barłogiem, która stanowiła obszerne łoże, a kajeta za poduszkę służyły. W płaszczu mieściły się czasem butelki węgrzyna, z których popijał bez względu, gdzie myśl do tego przyszła, czy na ulicy, czy w szkole. Lekcye swoje przekrzyczał z całéj siły głosem olbrzymim. Rzucaliśmy wtedy na niego gałki z papieru i piasku, które z stoicką wytrwałością chwytał i do innych zasobów w swym płaszczu wsuwał, wciąż deklamując. Gdyśmy odbywali pobożne procesye parami, komenderował nami głosem piorunującym, jak dywizyą dragonów, na widowisko ludowi. Nie pojmuję jakto wszystko cierpiano; ten nieszczęśliwy skończył przecież utratą rozumu, gdy krótki kożuch i karabelę przywdziawszy, podczas kazania wszedł na ambonę, kaznodzieję za kołnierz porwał i chciał mieć naukę. Ten wypadek zdał się bacznéj zwierzchności dostatecznym do usunięcia tego nauczyciela, jakoż jużeśmy go potém nie widzieli.

„Był drugi profesor Niemiec, nazwiskiem Schmidt, którego zawsze zachowam w pamięci. — Proszę córki, dla któréj domowéj rozrywki godziny spoczynku pisaniu tych kartek poświęcam, aby kiedy i za niego westchnęła do Boga. — Stan poczciwego nauczyciela jest zawsze stanem męczeńskim, zasłużonym ludzkości, który niezawdzięczany cierpieć musi niesforność, jakie dzieci bądź od natury, bądź od rodziców przy-

noszą, który jak najemnik za lichą zapłatę co rok nowe pola obsiewać i plewić musi. Był to człowiek rzadki, wolny od pedantyzmu, łagodnie i z przywiązaniem około swojéj winnicy chodzący. Postrzegł on niejakie naturalne zdolności moje w pismach, jakie mu po łacinie i po niemiecku podawałem. Gdy raz moję robotę rozbierał, powiedział wręcz, iż ją przepisałem zkądinąd. Pochlebiało to mojéj miłości własnéj, lecz razem napełniło żalem, iż o nauczycielu, któregom kochał, mieć nie mogę dobrego mniemania, który sam dał poznać, iż na nie zdołałem zasłużyć. — Zaprosił mnie raz na podwieczorek, (były to dla mnie pierwsze w życiu zaprosiny), zręcznie i łagodnie począł wybadywać, lecz nieszczęściem nie poznał we mnie nic więcéj, jak zaród poety w języku, który uważał za niewdzięczny i już z narodem umierający. Zachęcał mnie do poezyi niemieckiéj, pożyczył mi pism Utza, Kleista, Hagedorna. Pożerałem szczególniéj Kleista, lecz zamiast próbować sił w wierszach niemieckich, przynosiłem mu przekłady polskie z tychże poetów, a jako wynagrodzenie za posłuszeństwo, oddawałem robotę w prozie niemieckiéj. — Obojętny był na to, że ze wszystkich współuczniów najmniéj się uczyłem obszernych przepisów o syllogizmach, a gdy się przekonał o zupełnym wstręcie moim do matematiki, któréj początki dopiero w téj klasie dawano, całkiem mnie od niéj uwolnił. To jednak zupełne zaniedbanie téj nauki, wiele mi późniéj przykrości sprawiło.

„Chciwy na książki polskie, nigdzie ich dostać nie mogłem, prócz niektórych romansów, które mnie wcale nie zajmowały. Z niemieckich, prócz wspomnionych wyżéj poetów, udało mi się dostać Goethego i Wilanda niektóre poemata. Pierwszy długo był moim ulubieńcem i najwięcéj odpowiadał memu usposobieniu. Pisałem i tłumaczyłem po polsku, bez żadnego wyobrażenia o gramatyce języka, nawet pisowni polskiéj.

„Uzbierawszy sumkę przeszło złt. 10, znalazłem sposobność sprowadzić sobie parę książek z Krakowa. Niecierpliwość moja w wyglądaniu sąsiada, który miał z niemi przybyć, była taką, iż przez tydzień może wychodziłem pół mili na gościniec, ażali go nie spotkam. — Zakazane było czytanie polskich książek z powodu, jak mówiono, aby nie zaniedbywać obcych ję-

zyków. Prefekt szkół dowiedział się o tym transporcie dla mnie, przybył do stancyi, i bez wszelkiego względu zabrał tę kontrabandę; książki te były: Wybór poezyi dla szkół przez Pijarów w Warszawie wydany, — Paweł i Wirginia, przez B. de Saint Pierre po polsku i jakieś dzieło Floryana. Obciążonego tym łupem księdza musiałem odprowadzić do domu, gdyż mieszkałem na wzgórku, z którego zejście podczas odwilży było ślizkie. Prośby moje o oddanie tych książek były daremne. Często nawet odbierałem wyrzuty, iż czytam książki zakazane, co już wtenczas burzliwością nazywano.

„Jednego razu, kupując u przekupki jagody, postrzegłem, iż dla zrobienia trąbki dla ich wsypania, udarła z dawnéj książki kartkę z gockim drukiem, na któréj dostrzegłem napis: Rytmy Jana Kochanowskiego, którego tylko niektóre psalmy z książek nabożnych znałem. Zachwycony tym skarbem, bez żadnego namysłu porwałem książkę, a raczéj to, co jeszcze na trąbki nie poszło i najśpieszniéj z nią uciekłem. Przekupka, a za nią wszystkie towarzyszki narobiły hałasu, prefekt jakoś znalazł się na rynku, i tak zdobycz moję, jako niegodziwy winowajca oddać musiałem, a sam na kilka godzin poszedłem do kozy, gdzie miałem dosyć czasu dumać nad moją nieroztropnością, iż z właścicielką nie poszedłem w układy, któraby zapewne rytmy Jana Kochanowskiego, zamieniła na jakie studenckie kajeta. — Uwolniony nie śmiałem się jéj i towarzyszom pokazać.

„Wśród tych przeszkód, przywiązanie moje do poezyi coraz więcéj wzrastało, najwięcéj czułem przyjemności ukryć się w zbożu i tam ołówkiem pisać, co mi na myśl przyszło i deklamować. Na pięknéj górze św. Marcina, przy gruzach zamku Tarnowskich, w ogrodzie Puślik, ćwierć mili od miasta, do księcia Sanguszki należącym, poddawałem się zewnętrznym wrażeniom i używałem. Roskoszna była blisko miasta dolina, prowadząca do drewnianego kościoła św. Trójcy, środkiem któréj płynął potok pomiędzy olszynami, miejsce miłéj wrzawy różnego ptastwa. Lecz najmilsze były mi przechadzki do brzegu rzeki Biały, lub po gościńcu; — woda z daleka płynąca; — spotykanie dalekich podróżnych, mianowicie furmanów niemieckich, których kraj przez poznanie poetów

był dla mnie poetycznym; oto, co daleko żywiéj do marzeń skłaniało, niż spokojne góry i doliny. Stawać przy oberzach, przypatrywać się podróżnym zakurzonym, brykom furmańskim, i przenosić się myślą w odległe miejsca, było to dla mnie niejako odbywać podróż w dalekie, urocze strony, do których tęschniłem. Długo nie miałem o szczęściu wyobrażenia wyższego, jak jechać i jechać najdaléj.

„Brat Jędrzéj pisywał do mnie ze Lwowa, przesyłając swoje poezye i udzielając rady nad mojemi. Czyste jego serce gorzało poezyą dla saméj cnoty, i wszystkie jego listy dążyły najwięcéj do obudzenia we mnie moralnych uczyć. Nie miałem podówczas ważniejszéj chwili życia, jak gdy mi przysłał drukowany tomik swoich poezyi, w którym, miłością braterską powodowany, umieścił parę mych wierszy. Radość ze sławy brata i mojéj była trudną do wyrażenia: to tylko nieprzyjemnie mi było, iż czyniąc wzmiankę o mnie, który już retoryki słuchałem, małym chłopcem mnie nazwał; w saméj rzeczy pochwała ta mogłaby mieć na mnie wpływ szkodliwy, gdybym był otoczony ludźmi, coby na studenta jakąkolwiek uwagę zwrócili. — Z honorarium, jakie za to pismo otrzymał, udzielił mi 5 zł. reńskich; wiadomość o tém więcéj, niżeli o książce rozeszła się między kolegami, z którymi tę summę upojony radością w większéj części straciłem.

„W ogólności nie znalazłem koło siebie ani jednéj istoty, którąby moje zamiłowanie dzieliła, a właśnie w tym czasie uczułem potrzebę, nie tak obcowania z poezyą jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywo zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana, trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniem. Młodzieniec jeden, Karpiński, samem nazwiskiem zwrócił na siebie moję uwagę, choć nie był krewnym poety, i do poezyi najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce i ztąd tylko ten zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby odpowiednie imieniu był poetą. Dobroć jego czyniła co mogła, jam zachęcał, pomagał; ale to nie szło — ubogi i słabowity, przestał do szkół chodzić i więcéj o nim nie słyszałem.

„W Adamie Chłędowskim spodziewałem się znaleść skarb, któregom pragnął; wychowanie jego było staranne w domu;

miał wiele książek, map i rysunków; był jednym z najzdatniejszych i najciekawszych, ale przesadzonéj mojéj sentymentalności wcale nie odpowiadał. Pisałem do niego wiersze pełne uniesień przyjaźni, kochałem go tém więcéj, że wzajemności nie widziałem; jego ton zawsze żartobliwy, dobry byt w porównaniu z mojém ubóstwem, czyniły mnie do niego nieśmiałym, i często w samotności płakałem nad moją nieszczęśliwą przyjaźnią. Bywałem jednak u niego, aż do czasu, gdy stryj jego z prowincyi przybył, i ujrzawszy mnie i po moich ubogich sukniach osądziwszy, chcąc synowca swego od złego towarzystwa uchronić, groźnym tonem kazał mi się oddalić, co na mnie takie sprawiło wrażenie, że z Chłędowskim wszędzie wszelkiéj unikałem rozmowy i poznałem, iż to zdarzenie było dla niego obojętném. Do dziś dnia łączyły mnie z Chłędowskim różne stosunki, ale żaden ślad dawnéj przyjaźni odnowić się nie mógł.

„Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie tylko egzaltowana moja wyobraźnia wystawić mogła. — Był to syn profesora, Parczewski Karol, o parę i więcéj lat odemnie młodszy, pobożny, pracowity, w mych czasach piękny jak anioł, zawsze uniesiony, pełen do poezyi skłonności. Zdarzenie zbyt smutne było początkiem naszéj najgorętszéj przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się oddalił i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilkanaście dni już znaleziono jego ciało okropnie oszpecone i przywieziono do domu. — Całą noc po tym widoku nie spałem i łzami papier polewając, napisałem elegią na śmierć nieszczęśliwego, jedyna poezya, którą spółkolegom przeczytałem, która ich wszystkich zajęła, jako wynikła z zdarzenia, które na wszystkich uczyniło wrażenie. Nawet professorowie pochwalili tę moję pracę, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje obięcia, nie mogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincyi przybyła. Ona rzewnie płacząc, ściskała mnie, według jéj wyrazów, jak syna, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które jéj doszły. — Mało kto może uwierzy, że to był dla mnie pierwszy uścisk kobiety i matki, że to było u mnie rzeczą

nadzwyczajną, i żem płakał jak małe dziecię, myśląc, że nie mam matki, którąby na mój zgon była podobnie tkliwą.

„Ani Parczewski, ani ja, nic nie wiedzieliśmy o sławnéj przyjaźni u Greków, ale wzajemne nasze przywiązanie było nadzwyczajne, i śmiem powiedzieć, przypomniało przyjaźń grecką. Pisaliśmy do siebie nawzajem wiersze pełne naszych najżywszych uniesień przyjaźni, przy powitaniu i żegnaniu na parę godzin nie mogliśmy się od ust oderwać, niceśmy nie mieli skrytego, nic osobnego dla siebie. — Uczucie religii wzbiło nas do takiéj pobożności, żeśmy po kościołach, po cmentarzach razem chodzili, na klęczkach się modlili: on za mnie, ja za niego, on za moich zmarłych, ja za jego żywych rodziców. Płakaliśmy razem z rozrzewnieniem, jak ludzie najszczególniejsi i kryli się przed płochą młodzieżą, któraby nas z tych uczuć wyśmiewać mogła. Z nim zapomniałem o wszelkiéj sztuce w poezyi: i tylko wzajemne dla siebie uczucie, nas zajmowało. Płakaliśmy, ściskali się, gdyśmy co razem swojego lub obcego czytali. Martwiłem się skrycie, żem jego niegodny; postać jego była ujmującą: rumieniec przy białości i przy krętych włosach płowych, ubiór staranny, a najwięcéj piękne polorowne ułożenie, czyniły go w moich oczach czemś niezmiernie wyższém nademnie. — Ja dzikości mojéj dotąd nie pozbyłem się, i ubiór był ułożeniu memu odpowiedni; sam jeden chodziłem w surduciku z płócienka z czarnemi prążkami, co mnie dziwnie oryginalnym czyniło. — Po długich prośbach i wahaniu się, ośmieliłem sie wejść do jego rodziców. Ojciec prosty i poczciwy, zalecił mi uczyć się pilnie języków, i przyjął bezpłatnie na lekcye języka francuskiego, który on jeden prywatnie w Tarnowie wykładał. Matka wdała się w moje domowe potrzeby, które jak dla mnie były istotném dobrodziejstwem, tak truły we mnie dotąd tak czyste uczucia przyjaźni; tłumiłem je w sobie, jątrząc się myślą, czy podejrzane nie będą.

„To zaczęcie życia prawdziwie dla mnie elizejskiego, przerwane zostało oddaleniem się mojem na wieś do Służewa, gdzie ugodzony byłem do czterech synów, których miałem być instruktorem. Służewski był obywatel na jednéj małéj wiosce, mający siedmiu synów, dla których całe życie poświęcał.

Sześć tygodni tylko w tym domu przepędziłem, gdzie panowały staropolskie obyczaje, prostota i zgoda domowa; byłyby dla mnie przyjemne, gdybym był w stanie podołać moim obowiązkom, prowadzenia czterech niezmiernie żywych wyrostków, z których dwaj nie o wiele młodsi odemnie byli. Na szlachectwie tu także bardzo wiele zakładano, i dla tego obiecywałem sobie nieprzyjemność, gdy tamże zastałem moję dawną wdowę panią Putiatycką, która podupadła na biednéj swojéj fortunie i na zdrowiu, i w tym domu jako krewna przytułek znalazła; lecz ujrzałem ją nader uprzejmą i pełną dla mnie dobroci, ku czemu posłużyła szczególniéj następna okoliczność.

„Uboga moja garderoba dochodziła do tego stanu ostateczności, że zmuszony byłem, jedyny mój surducik igłą od zupełnego rozprzężenia jego części ratować, zwłaszcza na dzień imienin gospodarza domu. Dla spokojnego odbycia téj operacyi udałem się w gęstwinę nad strumykiem, gdzie się lubiłem z moim ołówkiem przechadzać. Kiedy w największéj spokojności dzieło moje do połowy doszło, z niemałem pomięszaniem ujrzałem przed sobą panią Putiatycką. Niepodobna mi było zarzucić sukni będącéj właśnie w robocie, ani śmiałem stanąć przed damą na wpół rozebrany. Z największą jednak łagodnością wyprowadziła mnie sama z ambarasu, unikając wszelkiego zawstydzenia; rzuciła znawczem okiem na moję pracę, uczyniła krytyczne objaśnienia, w końcu podjęła się sama restauracyi mego surduta i spiesznie oddaliła się po lepszą igłę i nici. Jakoż po krótkiem posiedzeniu dzieło zostało ukończone; wśród roboty usłyszałem dosyć dorzecznych morałów o pracowitości i znoszeniu ubóstwa; nakoniec względne przyrzeczenie, że ten wypadek zostanie między obojgiem świętą tajemnicą. Miałem dla téj damy największy szacunek, a ona była dla mnie uprzedzająca. Po ferijach udałem się z memi elewami do Tarnowa. Dla pięciu najęty mieliśmy alkierzyk u krawca, z taką ugodą, iż gospodyni obowiązana była gotować nam żywność, którą posłaniec ze wsi co sobota na plecach przynosił, z pewną sumką na mięso, cztery razy na tydzień w mieście kupowane; miałem na śpiżarnię obszerną skrzynię, któréj byłem szafarzem. Przy takiem mieszkaniu

stałe miałem wynagrodzenie 25 reńskich na rok. Tem i parą innych lekcyi opędzałem wszystkie moje potrzeby, gdyż od opiekuna i od krewnych już żadnéj nie miałem pomocy.

„Z Parczewskim żyliśmy jak dwaj bracia, i matka jego okazała dla mnie macierzyńską troskliwość. Zapobiegała różnym moim potrzebom i w przypadłéj chorobie wszelką dawała pomoc. Czytaliśmy bardzo wiele, gdyż miałem sposobność dostawania z różnych miejsc książek, między żytem, po swojemu schronieni, przeczytaliśmy Iliadę Dmóchowskiego i Wybór pisarzów polskich, których Mostowski zaczął wydawać. Więcéj jednak niż wszystko, zajęły nas Nocy Jounga prozą w Lublinie wydane; dręczyliśmy biedną jego matkę, czytając jéj jednotonnie to dzieło mimo wzniosłości dość z siebie nudne.

„Kończąc już ostatnią klasę szkół, zacząłem uczuwać niespokojność o moję przyszłość. Ile opiekuna wyrozumieć mogłem, dał mi do poznania, że najlepiéj będzie udać się gdzie do dworu za pisarza, lub wejść do wojska austryackiego, i raz mi powiedział: „żołnierzowi prostemu bardzo przystoi, gdy po mustrze przy książce spoczywa.“ — Niowola uczenia dzieci zdała mi się nieznośną; macocha ujeżdżała często 4 konie w paradnym pojeździe po rynku Tarnowskim, lecz ani o mnie kiedy się spytała, ani ja do niéj zgłosić się nie śmiałem.

„Po utworzeniu księstwa warszawskiego zaczęły nas dochodzić niektóre gazety warszawskie; coraz powszechniejsze były rozmowy o niéj i o Polsce; mnie najwięcéj zajmowały literackie wiadomości. Czytałem o biskupie Albertrandym, i ktoś wystawił mi bardzo jego gorliwość i zamiłowanie w ludziach oddających się naukom. Snowałem więc różne projekta dostania się do Warszawy, ale widziałem zupełnie moję niemożność przy takich środkach; zebrałem co mi się najlepszego z moich rymów zdało, napisałem list pełen zapału do biskupa Albertrandego, prosząc, aby mnie do jakichkolwiek usług w Warszawie przyjął. List ten niemiałby był zapewne skutku, gdyby był doszedł, lecz odebrałem go napowrót z poczty, gdyż właśnie w tym czasie Albertrandy żyć przestał Oddano.

mi go odpieczętowany z połajaniem, gdyż był pełen niewczesnych patryotycznych uniesień.

„Trudno sobie wystawić, jak mało mieliśmy wszyscy młodzi wyobrażenia o naszéj Polsce, o jéj dziejach i stanie; miłość ku niéj żyła tylko wrodzonem uczuciem, niedokładnemi tradycyami i jakąś przez zwyczaj szkolny odziedziczoną nienawiścią ku Niemcom. Ja téj nienawiści nie czułem; malowanie pięknéj natury w niemieckich poetach najwięcéj mnie zajmowało, przywiązały mnie oraz do ich kraju i ludzi, których sobie zawsze po Gesnerowsku wyobrażałem. Nawet w towarzystwie uczniów upatrywałem w ogóle więcéj przyjemności, może ztąd, iż powszechnie byli prześladowani, ale więcéj dla tego, iż mieli więcéj słodyczy i łagodności, chociaż mniéj bystrości. Młodzież polska była wtedy daleko więcéj, niż dzisiaj nieposkromioną. Bitwy z wieśniakami z okolic (nie mówię już o żydach) rabowanie w żołnierski sposób owoców, grochu, rzepy z pola, wyzywanie na kije, były to zwyczajne zabawy.

„Uczucia i rozmowy patryotyczne odzywać się zaczęły od roku 1806, i mnóstwo młodzieży przez rozmaite dowcipne sposoby umiało się przedrzeć do szeregów Napoleona, i każdy z nas zakładał sobie, iż w tym tylko celu dorasta. Zjawiły się śpiewy patryotyczne i dysputy o polityce, z któremi zawsze udawaliśmy się do lasu. O wolności, o prawach człowieka nie mieliśmy żadnego wyobrażenia; całą podnietą naszych uniesień było: imię Kościuszki i Dąbrowskiego, stroj polski i język. Księstwo warszawskie zdawało nam się krajem cudów, ziemią obiecaną; wszelkie i groźne i łagodne środki ku zwróceniu tych uczuć, były daremne. Przysłano raz z Wiednia pieśń niemiecką, to jest modlitwę za cesarza, aby w kościele śpiewaną była przez uczniów; kilku najstarszym, którzy zwykle podczas śpiewania zaczynali, zalecano wyuczyć nas téj pieśni do śpiewania w kościele. Nauka odbywała się w polu, bez świadków, wynaleziono więc do téj pieśni nutę mazurka, i tak wyuczeni, zaczęliśmy ją śpiewać z całéj mocy w kościele. Zdziwieni i nieszczęśliwi profesorowie obiegając nasze szeregi, nie mogli przerwać téj niedorzecznéj nuty. Przywódcy nasi skazani byli na klęczenie w środku kościoła przez msze całego roku, lecz wszystka młodzież umówiła się z nimi ra-

zem tę karę odbywać. Łagodny rząd austryacki całą tę sprawę w kilka dni umorzył. W roku 1809 przed rozpoczęciem wojny, sztabowy oficer delegowany do naszych szkół, odczytał odezwę, zachęcając, aby młodzież udawała się w szeregi do obrony cesarza i państwa austryackiego. Po mowie z wielkim zapałem wynurzonéj zapytał, czy jest kto gotów bronić sprawy ojczyzny i króla. Po długiem milczeniu złośliwy jeden kolega wymówił moje nazwisko, kazano mi wystąpić na środek — szczupły, zdziwiony, a więcéj jeszcze przelękniony, wzbudziłem śmiech powszechny w delegacyi, profesorach i uczniach; i w taki sposób zakończyła się ta scena patetyczna.

„W tym czasie wydał był Collin poeta, w Wiedniu pieśni patryotyczne; poezye te były pełne czystéj miłości ojczyzny, uczuć ludzkości i pięknych wiejskich obrazów, i tak mnie zajęły, iż nie wchodząc bynajmniéj, iż to Niemiec dla Niemców przeciw Francuzom, obrońcom Polski pisał, w kilka dni z łatwością, jakiéj dotąd nie czułem, wszystko wierszem polskim oddałem. Nie widziałem w tem nic nieprzyzwoitego, lub przeciwnego dobremu Polakowi; owszem zdawało mi się, że te uczucia są polskie, i nie mając myśli, żadnych wyrzutów, czytałem je przyjaciołom, którzy tylko radzili mi zmienić miejsca, gdzie była wzmianka o Niemcu, lub o domu Habsburgskim. W kilka dni, gdy się ta moja praca rozeszła, wezwany zostałem urzędownie do kapitana cyrkułu. Trzymając w ręku pięknie pisane wszystkie te pieśni, oddał pochwałę memu patryotyzmowi, z czego obecny prefekt szkół niezmiernie się cieszył i mnie w głowę ucałował. Urzędnik oświadczył nakoniec, że ten mój przekład przesłany będzie do Wiednia, że mu znajomy jest mój stan, że zatem przedstawi mnie do instytutu terezyańskiego w Wiedniu, gdzie na koszcie cesarskim wyższe nauki pobierać i ciągłéj opieki doznawać będę.

„Zadziwienie i radość moja chwilowa trudna jest do opisania. Być w Wiedniu, pobierać wyższe nauki, mieć zapewniony dalszy sposób do życia, było to szczęście, które w ostateczności mojéj jak z nieba mi spadło. — Nie pojmuję, zkąd to poszło, że z kolegów tyle tchnących nienawiścią ku Niemcom, tyle zajętych toczącą się wojną w księstwie warszawskiem, żaden nie dał mi uczuć nieprzyzwoitości mego poło-

żenia. Z tem samem niewinnem uczuciem, z jakiem tłumaczyłem Collina, składałem pieśni patryotyczne polskie, z których kilka jeszcze dotąd mi się dochowało; kilku już kolegów, mimo surowego zagrożenia szubienicą, zniknęło, udając się do wojska polskiego; mnie nikt nie namawiał do tego, bo znaną była powszechnie moja słabowitość i zupełna niesposobność do wojska. Tymczasem wszystkie moje marzenia o szczęściu w Wiedniu, przemogła tęschność do kraju, który mógł nazwać się polskim. — Całe wieczory trawiłem samotnie w Polsce, ze łzami wylewałem na papier różne uczucia, jakie mną miotały, czyniłem sobie wyrzuty, stanowiłem ujść do wojska polskiego, lecz natura moja wzdrygała się od wszelkich wojen. Parczewski odwodził mnie od myślenia o tem, ale uczucia zdawał się podzielać. — Przypadkiem zasłyszałem o jednym uczniu Niemierzycu, o 4 może lata młodszym odemnie, który miał zamiar do Polaków się udać. Jeden wieczór rozmowy ustalił nasze postanowienie, przedsięwzieliśmy nazajutrz wyruszyć. Pomógł do tego oficer polski przebrany, który przepisał nam drogę i przyrzekł pomoc obywatelów. Tego samego wieczora udałem się do Parczewskich, zwierzyć się z mego zamiaru. Ojciec chciał niby o tem nie wiedzieć, matka i syn, lubo z płaczem, przystali na to. Rano nazajutrz o świcie udałem się jeszcze do nich; od matki otrzymałem naprzód medalik z Matką Boską w skórę obszyty, który mi kazała na piersiach nosić, trzy dukaty w złocie i kilkanaście reńskich, a nawet paczkę szarpii. Po rzewnem błogosławieństwie i dziękach pożegnałem przyjaciela i dobrodziejów, i w połączeniu z towarzyszem przygód ruszyliśmy polami w naszą podróż. Staranie tymczasowe o moich elewach aż do przyjazdu ojca, przyjął na siebie Parczewski.“ —

Te wspomnienia swojéj młodości dociągnął Brodziński, jakeśmy wyżéj nadmienili, aż do roku 1830; wszakże dalszego ciągu tych wspomnień, t. j. od opuszczenia szkół przez niego w roku 1809 aż do r. 1830 nie zdarzyło nam się nigdzie czytać; nie wiadomo nam, czy są drukowane; uzupełniamy je więc wiadomościami, jakie mamy pod ręką.*)

*) Wzmianka o życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego w X.

W roku 1809, mając lat ośmnaście, ukończywszy szkoły w Tarnowie, udał się Brodziński, mimo wątłych sił ciała, razem z bratem Andrzejem najpierw do Krakowa, a ztąd do Księstwa warszawskiego i tam 20. lipca wszedł jako ochotnik do pułku artyleryi pieszéj, a potém służył jako podoficer w kompanii 12. Gdy Brodziński zaciągnął się do wojska, był jakeśmy to dopiero rzekli, bardzo wątłéj budowy ciała i słabego zdrowia. Naczelnicy to widząc i nie chcąc z tego powodu umieścić go w szeregach bojowych, poruczyli mu naprzód dozór przy ważeniu mięsa dla żołnierzy. Przykry to był zaiste szlachetnemu młodzianowi obowiązek, lecz skromny i cierpliwy, wypełniał z uległością włożoną na siebie powinność, pocieszając się tą myślą, że w każdém stanowisku, choćby mniéj dla zdolności swoich właściwém, można być pożytecznym ogółowi. Ta powolność ujęła dlań zwierzchników serca, i wkrótce przeniesiony został do służby czynnéj. W chwilach swobodnych, zwłaszcza stojąc kwaterą czas niejaki w Modlinie, zajmował się naukami i ulubioną sobie poezyą, jakkolwiek się uskarżał, że Mars ustawnie płoszy Muzę. W jednym z listów pisanych wtedy do przyjaciela (Ambrożego Grabowskiego) tak się odzywa:

Tu . . . . .
W świątyni Marsa srogiego,
Kędy na około wały,
A w bramie żołdak zuchwały
Kto idzie! wciąż pokrzykiwa:
Z kwiatami Muza pierzchliwa
Chociaż wołam, przyjść się boi,
Bo szczęk słyszy Marsa zbroi.
Choćby przyszła, spiże, działa,
I miecze gdyby ujrzała;
Uciekłaby . . . . .

Szczęściem dla młodego poety dowódzcą 12téj kompanii, w któréj służył Brodziński, był zacny i zdolny młodzieniec Wincenty Reklewski, kochający literaturę i poezyą i sam w wolnych chwilach piszący. Nie przykrą więc była dla Brodzińskiego służba pod takim naczelnikiem, który nie tylko żadnego rozwijającemu się talentowi nie stawił oporu, ale

---

tomie Dzieł K. Brodz. wydanych w Wilnie 1844; — Przedmowa do „Posłania do braci“ — „Przyjaciel Ludu“ i t. d.

owszem spółczując, oceniać go sprawiedliwie i zachęcać potrafił. Wiek rowienniczy, jednakowość skłonności, sposobu myślenia i uczuć, skojarzyły wprędce najściślejszym węzłem przyjaźni młodego podoficera z kapitanem, i ten już między nimi związek, przetrwał niezmiennie aż do zgonu Rekiewskiego. — Wszystkie godziny zbywające od obowiązków służby, zwłaszcza podczas pobytu z kompanią swoją w Modlinie, poświęcał Brodziński własnemu ukształceniu, oznajmiał się tak z literaturą ojczystą, jako téż i z obcemi, szczególniéj z niemiecką, bo dokładnéj znajomości języka niemieckiego w szkołach jeszcze był nabył; kiedy niekiedy drobniejsze tworzył poezye i spisywał dzienniczek wypadków życia swego w służbie wojskowéj.

Miał Brodziński wtedy lat 22, kiedy dzienniczek swój wojskowy pisał, który zaczyna się od końca kwietnia roku 1813, kiedy Napoleon a z nim i Polacy ponieśli już byli śmiertelną klęskę pod Moskwą i Berezyną, kiedy wojska polskie wychodziły już z kraju. Ponieważ dzienniczek ten pod wielu względami jest bardzo ciekawy, a szczególnie że nam daje bliżéj poznać najzacniejszą duszę poety, który wśród szczęku broni najczęściéj myślał o literaturze, przeto przytaczamy znaczniejsze z niego wyjątki.

Dnia 29. kwietnia. Obóz pod Krakowem.

„Ruszyliśmy z Krakowa do obozu pod Promnik; radość na wszystkich twarzach jaśniała, bo szliśmy w nadziei walczenia. Ku wieczorowi, gdy ogniska żarzyć się poczęły, wyszli niemal wszyscy mieszkańcy z Krakowa. Pożegnania, noszenie nam posiłków do obozu, czyniły nam przechadzki z nimi prawdziwie rozrzewniające, dészcz przez całą noc moczył nas do nitki.

Dnia 30. kwietnia. Skotniki.

„Na godzinę 11. dostaliśmy rozkaz wymarszu, nikt nie był pewny gdzie? Wojsko austryackie nadchodziło, zajmując stanowisko obozu naszego. Ruszyliśmy przez miasto na Podgórze, przechodu tego nikt nie był nierozrzewnionym świadkiem. Przyjaciele i krewni wychodzili przed domy ze łzami w oczach, podawali dłonie wychodzącym. Po tylu trudach i wytrwaniu, któżby nie był smutny, opuszczać ostatni szczą-

tek ziemi i iść pomiędzy obcych! Scena prawdziwie wielka i rzadka! Z Podgórza podzieliliśmy się na różne drogi. Brygada druga, w któréj jestem artylerzystą, udała się do Skotnik. Rozdzieliłem się prócz zostałych w Krakowie przyjaciół, z kilkoma dobrymi kolegami. Z półkownikiem W. stanęliśmy w małéj izdebce wieśniaka. Zeszliśmy się wieczorem z całéj brygady oficerowie na środek wsi, i późno w noc zabawiliśmy się nad różnemi uwagami o przyszłym losie naszym. Jenerał G. bardzo mi się podobał; nagradza on słabe siły fizyczne rozsądkiem i wiadomościami, powagę swoję grzecznością oswaja, a wiek podeszły wesołością w posiedzeniu odżywia.

1. *maja. Tamże.*

„Dzień najpiękniejszy! Przechadzka dzisiejsza pamiętną mi będzie. Natura wdziała dzisiaj najuroczystszą szatę, a my w tak żałobnéj chodzimy! Wszystko rozkwita: widzę przed sobą już nie nasz Kraków, za sobą już wsi zagraniczne!...

„Okolice Skotnik są w piękném położeniu, leży wieś na płaskiéj górze, którą dolina w koło jak woda opasała. Kraków rozciąga się przed oczyma, gęsta mgła tylko, jakby całun żałobny, unosi się nad nim, w około widać góry. Bielany ze śtą Bronisławą walczą tak, jak ponurość z przyjemnością; na lewo od Bielan ciągnie się płaszczyzna, przez którą Wisła kryjąc się między małe wzgórza i krzemieniste skały, jakby błąkająca się, kręto pod Wawel ucieka. Okazała góra Landskorony czerni się zdala przy wzniosłych Karpatach. Dano znać, że most na Podgórzu przygotowano do spalenia. Korpus austryacki przechodzi Wisłę.

2. *maja. Tamże.*

„Było dziś kilku przyjaciół z Krakowa odwiedzić nas, przy żegnaniu się powiedzieliśmy sobie: *Kilka iskier na most, a kto wie, kiedy się obaczymy!* Wieczorku majowy nad Wisłą! winienem ci kilka słodkich godzin. Tyniec zawieszony na skale nad Wisłą, mieści teraz nieszczęśliwych rannych, pamiętne tu złe i dobre czasy, ale nigdy tak smutne. Nocne straże roznieciły ogniska, dymy kłębami się wznoszące, brudzą lazurowe sklepienie. Grób Krakusa unosi się nad Krakowem, między obozowemi ogniskami.

4. *maja. Tamże.*

„Wojska austryackie zajęły prawy brzeg Wisły, promyk dla nas nadziei, przechodzą i Wisłę, zajmują Kraków, odbierają wszystkie poczty, a my jeszcze daléj, pomimo nadziei walki, posuwać się musimy. Oficerom naszym zakazano bywać w Krakowie.....

6. *maja. Tamże.*

„Jutro wychodzi pierwsza kolumna za granicę, według otrzymanego rozkazu księcia.....

7. *maja w Siennicy.*

„Rozkazano, aby w godzinę gotowym być do marszu. Smutno mi się zrobiło. Uchwyciłem chwilkę czasu, aby wybiegnąć na ustronie i kilka łez uroniłem, których nie wstydziłem się przed niebem; od nieba szczęście i niedola! jemu się więc oddałem, prosiłem o opiekę, przywiodłem na myśl moje nieszczęścia, a że na nie nie szemrałem, byłem w nadziei jakiéjkolwiek kiedyś za nie nagrody. Nieszczęść do dziś dnia w przeciągu roku dosyć zniosłem. Oto w nim dla mnie smutne zdarzone straty: K... młodzieniec pełen jak maj nadziei, którego ja sam wywiodłem na pole, zginął mi przy Mozajsku, kto go tylko znał, kochał tak jak ja, a wszyscy czynili mi o niego wyrzuty. O! smutne zakończenie przyjaźni! Cieniu drogi! gdybym wiedział, że ci nagrodzę życie i stratę twą przyjaciołom, gotówbym znieść większe jeszcze cierpienia nad pamięć o stracie twojéj! — R. (Reklewski), dla którego zaciągnąłem się do jednéj brygady, pod którego rozkazami, przyjaźnią i dobrodziejstwy żyłem: wielka nadzieja rycerstwu, naukom i muzom znikł i wszystko z nim znikło! Po chwalebnéj u Smoleńska czynności, zachorował; woziliśmy go w tak przykrych marszach ze Smoleńska aż milę do Rożestwa (koło Kaługi), ztamtąd w ostatnich słabościach pożegnałem go jadącego do szpitala do Moskwy, gdzie ledwo dojechawszy opuścił nas wszystkich! Strata jego prócz wiecznego żalu, miała wpływ na dalszy los mój szczęśliwszy. Dowódzca mój, Polux poprzedzającego, który losem moim starał się kierować, pożegnał nas na polu bitwy z urwaną nogą po biodro. Mój S., mój P. w niewoli. Tylu zabitych i wziętych innych! Brat mój nakoniec Jędrzej, który mi zazdrościł, że nie dzielił walk przy

Smoleńsku, Mozajsku i t. d., bo został adjutantem placu w Szkłowie, gdyśmy się cofali, złączył się z półkiem, szedł z nami dni trzy, wśród bitwy nad Berezyną dano mi znać, że jest ranny; szukam go między trupami, znajduję już obnażonego i w samo czoło karabinową ugodzonego kulą. Straciłem w nim, co miałem najdroższego na ziemi! tylko już to mnie pozostało, że mogę sobie powiedzieć, iż nic już nie mam do stracenia. — Krewny mój R., którego także do wojska zaciągnąłem, pozostał mi chory przed Berezyną, i ja, który byłem przyczyną jego straty, musiałem sam tę smutną wieść rodzicom oznajmić. Boże! czyliż czekają mię jeszcze podobne chwile! Wierny ordynans, który mię we wszelkich nieszczęściach wojny pocieszał, z końmi i rzeczami pojmany i zabity. Słabością, smutkiem i nędzą obciążony, szedłem sam jeden (kompania moja już zupełnie była rozbita) przez Kowno za Niemen, bo idąc nocą minąłem przy Wilnie naśz już nieznaczny korpus, który potém udał się w lewo; dwie już mile uszedłszy dopiero dowiedziałem się o tém, kiedy do téj drogi już wrócić nie można było. Za Niemnem dopiero spotkałem podoficera znajomego, który mnie nakarmił i pieniędzmi nieco zasilił, wziął na sanki, jakie z parą koni zdobył. Pocieszony nieco spieszyłem ku Warszawie. Ścigani od kozaków ku Maryanpolu musieliśmy się udać przez Prusy, gdzie na pierwszym noclegu okradziono nas ze wszystkiego, z koni nawet i sanek. Pieszo zatém znowu i żywieni litością szliśmy daléj. Poczciwy obywatel w Prusach zapomógł mię tyle, że przecię mogłem się dostać do Warszawy. Nieszczęsne wojny! Kiedyż mu będę w stanie za to odwdzięczyć. Wytchnąwszy i przyodziawszy się nieco w Warszawie, musieliśmy wkrótce z niéj ustąpić. Dobry M. przywiózł mię na swéj bryczce do Krakowa. Tam przysłał mi opiekun uwiadomienie, iż nic się z Galicyi majątku spodziewać nie mam. Nie strata szczupłego majątku, ale stan potrzeb moich prawdziwie mię zasmucił. Stryj mój przysłał mi cesyą na sumkę leżącą w depozycie krakowskim, ale dniem późniéj, gdy depozyt został wywieziony. Iść bez oporządzenia i konia w marsz, opuścić kraj w takim stanie, cel wędrówki tak ciemny, tyle wszystkiego! nie podobna, aby nie zasmuciło. Otóż taka to od początku roku była moja przeszłość.

„Przyszliśmy do obozu pod wioskę Siedziny, stanęły działa na pięknéj łące przy młynie.

8. *maja. Kalwarya.*

„O 4téj z rana ruszyliśmy w marsz ku Mogilanom ($1\frac{1}{2}$ mili), gdzie natenczas była komora graniczna Austryi, jeszcze widać szczyty Krakowa. Mogilany leżą u podnóża wysokich gór.

„Próżno się za swoimi stokrotnie ozierać,
Przedłużać pożegnanie i żale wywierać,
Trzeba iść i opuścić ukochaną ziemię,
Unieść męczarnie smutków i niedoli brzemię.

„Przed samą granicą odbyła kolumna nasza rewią, po któréj defilowały pułki przez rogatki. Austryacy po obu bokach gościńca pozastawiali plutony jazdy i piechoty z muzyką. Generał komenderujący wystąpił z oficerami przeciw nam, muzyka ta i parada dodawały nam rozrzewnienia. Stanęliśmy na nocleg w Kalwaryi. Klasztór w roskoszném położeniu, ma być ze wszystkiém podobny do miejsc cierpienia Chrystusa. Żebractwo po drodze wszędzie się przykrzy. Ku wieczorowi poszliśmy do klasztoru, księża przyjęli nas grzecznie, prosiliśmy o oprowadzenie nas po ciekawych miejscach w kościele, nic godnego uwagi. Kaplic i małych kościołków po wzgórzach rozrzuconych mnóstwo, domki Heroda, Kajfasza i t. p. zupełnie według wymiaru, jak na ziemi świętéj stawiane. W jednym kościołku godne widzenia cztery obrazy Bernardyna Franciszka Lexyckiego, które mimo kurzu, jaki kilka razy do roku pospólstwo czołgające się na kolanach na te obrazy wznosi, nic żywości nie utraciły. O zamku Lanckorony nie mogliśmy się nic od księży dowiedzieć. Imię tylko fundatora (Zebrzydowski) i dzień jego urodzenia dokładnie wiedzą. Zapytaliśmy o bibliotekę i namieniliśmy, że muszą być w niéj potrzebne w tym względzie wiadomości. *Musi tam być coś o tém*, odpowiedzieli, *bo mamy różne książki in folio i octavo.*

9. *maja w Choczni.*

„Nocowaliśmy ćwierć mili za Wadowicami, w chałupce u kościołka, w cieniu rozległych drzewin smętarza nad roskosznym strumieniem. Z W... wyszliśmy wieczorem na przechadzkę po deszczyku majowym, na piękną łąkę.

10. *maja w Kętach.*

„Był to ciepły po deszczu poranek, kiedy kolumna zebrała się do Kobierzyc i udała się w drogę. Gościniec bity prowadzi około pasma gór Karpat do Kęt, wodząc oko po najpyszniejszych widokach. Stanęliśmy na nocleg w mieście, prostota Górali i Szlązaków, którzy się zeszli na jarmark, przejmowała nas weselem. Prawie całe popołudnie strawiliśmy z nimi najmiléj. Stałem na końcu miasta już przy samych górach. Siedzieliśmy przed domkiem, koło którego do gór swoich wracali górale, każdy prawie podchmielony. Najmiléj nam było zaczepiać tych dobrych chłopków i rozmawiać z nimi. Ich otwartość, ich wynurzanie się z miłością ku nam, jak było ujmujące, wyrazić nie łatwo. Nie mają oni téj dzikości, którą ludzie prości, nawet koło naszych wielkich miast, okazują. Zasiadłszy z nami ławki, rozmawiali jak ze swymi sąsiady. Mojego W. zobaczyłem idącego w gronie tychże górali i góralek: zawołał tylko z dala do mnie, że jest najszczęśliwszy! i daleko ich odprowadził. Wieczorem zabawiliśmy się z kilkoma obywatelami, którzy się ze wsi pozjeżdżali dla zabawienia z nami. Wśród tkliwych, serdecznych wynurzeń, rozeszliśmy się po północy. W dzisiejszym marszu szliśmy sobie z W. razem naprzód piechotą. Wstąpiliśmy do księdza, który nas uprzejmie przyjął. Ostatni to raz już prawie bawimy z rodakami. Po wyjściu ztamtąd, spotkaliśmy pocztę bardzo spiesznie jadącą, nie wiedzieliśmy, kto był w powozie, ledwie nas minął, gdy jadąca nieco w tyle za nami jazda poczęła kilkakroć wołać: *wiwat!* Ciekawi, wróciliśmy i usłyszeli, że to był jenerał Sokolnicki z placu boju od wielkiego wojska jadący; doniósł on nam wiele przyjemnych wiadomości, a między innemi i to, że wkrótce wojsko nasze inny weźmie obrót. Cała kolumna przechodząca zatrzymywała go po kilkakroć, każdy pułk wykrzykiwał wiwaty. Chwila ta była najwyższym obrazem prawdziwéj radości, muzyka grać poczęła, wojsko śpiewało najochotniéj. Przed każdym ubogim siedzącym wtenczas przy drodze, leżały stosy chleba, który im nasi żołnierze podawali, dziękując Bogu za pomyślne nowiny. W Andrychowie mieliśmy odpoczynek, spełniliśmy najochotniéj toasty za zdrowie cesarza.

12. *maja w starym Bilsku.*

„Boże wielki! Kto w Tobie swą ufność położył,
Miléj zapewne skonał, niż nieufny ożył....

14. *maja w Borku.*

„W Ogrodzanach zebrani, przybyliśmy do Borku pod Cieszynem; gospodarz przyjął nas na kwaterze najuprzejmiéj; rządność, gościnność tego człowieka, tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się gospodarskim jego rozporządzeniom. Deszcz dzień cały kropił. Spocząwszy wspomniałem sobie na słowo Chateaubrianda: „*Szczęśliwy kto nie widział dymu obcéj biesiady, i kto tylko przy ucztach ojca swego siadywał.*“ Tak śpiewał murzyn, gdy po odmówioném mu wspomożeniu wychodził z obcéj chaty, podnosząc łuk, który tam wchodząc oparł o ścianę. Ja memu gospodarzowi nie mogę tak śpiewać, lecz mówić mogę:

Szczęśliwy kto na własnéj osiadłszy zagrodzie,
Nie chodzi w świat o swojéj i o cudzéj szkodzie,
Ten kto może obcego posilić w swym domu,
Stu zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.“

Dalszy ciąg tego dzienniczka podobno zaginął. Dodajemy tu tylko jeszcze, że Kazimierz Brodziński w kampanii 1812 roku dnia 4. listopada otrzymał stopień porucznika, że następnie dzielił z wojskiem polskiém wszelkie koleje losu aż do bitwy pod Lipskiem, gdzie został raniony i przez Prusaków w niewolę wzięty. Po kilkunasto-miesięcznéj niewoli wypuszczono go na słowo honoru na wolność. Bez funduszu, nie mogąc i nie mając po co wracać do domu, bo ojciec go był odumarł już, błąkał się tymczasowo u przyjaciół, wrócił do Krakowa, przez cały rok 1814 przebywał u ciotki swéj we wsi Sulikowie około Pilicy. Wkrótce otworzył mu się spadek po krewnych w Poznańskiém, który odebrał, połowę dla potrzeby odstąpiwszy. Następnie udał się do Warszawy, uwolnił się od służby wojskowéj i zaczął pracować w komisyi spraw wewnętrznych za 15 talarów pruskich miesięcznéj płacy.

Odtąd z całym zapałem i gorliwością oddał się Brodziński naukom, do których go wrodzona skłonność i talent nieustannie ciągnęły. Miał tedy lat 23, kiedy rozpoczął zawód literacki, kiedy zaczął drukować po pismach poezye swe i roz-

prawy, jak n. p. rozprawę: „*O klasyczności i romantyczności*,*) które niezmierny, stanowczy wpływ wywarły na zmianę literatury polskiéj. Dotąd pisali Polacy na obraz Greków, Rzymian i Francuzów; od Brodzińskiego zaczęli pisać po swojemu, t. j. podług własnego polskiego uczucia i fantazyi. Przedtém poezya polska podobna najwięcéj była do zagranicznych kwiatów sztuką na polskiéj ziemi hodowanych; od Brodzińskiego poezya polska podobną być zaczęła do kwiatów wyrosłych na własnéj naszéj ziemi; Brodziński dał poznać piękność i wartość pieśni, poezyi ludu polskiego; przedtém tą wieśniaczą poezyą gardzono; dzisiaj cenią ją wszyscy jako skarb, który przez ośm wieków zapoznany rdzewiał w ukryciu, z którego nowsi poeci nasi, jak Brodziński, Mickiewicz, Zaleski i inni wydobyli i pokazali narodowi nieznane przedtém piękności. Lecz o wartości pieśni wieśniaczych i o literackich zasługach Brodzińskiego mówić będziemy na inném miejscu, rozbierając jego pisma, tu tylko dodamy jeszcze to, co potrzebném jest do skreślenia reszty jego życia.

W ciągu pierwszych trzech lat pobytu swego w Warszawie począł Brodziński w „*Pamiętniku Warszawskim*“ ogłaszać przekłady swoje z poetów niemieckich, szczególnie z ulubionego sobie Szyllera; późniéj tak w Pamiętniku jak i w innych pismach umieszczał swoje poezye oryginalne i pieśni ludów słowiańskich; wreszcie ogłosił drukiem pierwszy wzór rodzinnéj poezyi „*Wiesława*.“ Publiczność od razu prawie pojęła Brodzińskiego i polubiła jego poezye.

Kiedy ważną swoją rozprawę „*O klasyczności i romantyczności*“ w r. 1818 w *Pamiętniku Warszawskim* wydrukował, służył wtedy jeszcze w komisyi spraw wewnętrznych za 15 talarów miesięcznie. Ubogi, cichy wchodzi raz wezwany do pysznych salonów swego zwierzchnika, który wówczas pierwszym był urzędnikiem w kraju i trzymał berło literatury w Warszawie. Wydawał dzieła, które tameczni literaci pod nieba wynosili, może i dla tego, że były dziełami pierwszego

*) Ważną tę rozprawę ogłosiło w r. 1818 pismo „*Pamiętnik Warszawski*,“ wydawany przez zasłużonego w literaturze krajowéj Felixa Bentkowskiego, autora pierwszéj „*Historyi Literatury polskiéj*“ w 2 tomach.

urzędnika w kraju. Tacy panowie zwykli z góry patrzeć na tak skromnych pisarzów, jakim był młody Brodziński. Na stoliku u zwierzchnika leżał świeży numer *Pamiętnika Warszawskiego*, w którym była drukowana rozprawa naszego poety. Zwierzchnik skończywszy mówić o rzeczach, dla których był wezwał Brodzińskiego do siebie, obrócił się ku stolikowi, a biorąc w rękę *Pamiętnik* zapytał: „*Cóż tam Waćpanowie piszecie?*“ Potém przewracał niedbale karty i pokazał Brodzińskiemu, niby nieznacznie, że w miejscu, gdzie była jego rozprawa, kart wcale nie przecięto. Prawdziwie chrześciańskiéj łagodności Brodziński twarzą nawet nie okazał najmniejszego wzruszenia. Milcząc skromnie się ukłonił i odszedł. Dzisiaj zupełnie prawie zapominano o tyle niegdyś głośnych dziełach owego zwierzchnika, a przynajmniéj nikt ich nie czyta; rozprawa zaś Kazimierza Brodzińskiego „*O klasyczności i romantyczności*“ jak gwiazda świeci w literaturze polskiéj, bo nową w niéj epokę zwiastuje i stanowi.

Po ogłoszeniu owéj rozprawy „*O klasyczności i romantyczności*“ rozpoczęła się wśród literatów polskich zacięta, długa walka, która rozdzieliła piszących na dwa wielkie obozy. W zapalczywém uniesieniu nieraz zbaczano z drogi prawdy a nawet przyzwoitości. Skromny Brodziński usunął się na stronę, nie należąc do téj polemicznéj wojny, na któréj czele stanęło dwóch wielkich przeciwników: Ludwik Osiński, profesor literatury polskiéj na uniwersytecie warszawskim, tłumacz francuskich tragedyi, wytworny, elegancki mówca, pierwszy zwolennik Greków i Rzymian, zapalony wielbiciel literatury francuskiéj (a więc zwolennik klasycyzmu); przeciwnikiem jego był młody wieszcz, genialny Adam Mickiewicz, autor Grażyny. W zaciętéj téj walce, jak mówiłem, nie brał skromny Brodziński czynnego udziału, chociaż to on rzucił pierwsze ziarno w ziemię; on to także przygotował zwycięstwo romantykom i świetny tryumf autorowi *Grażyny*.

Po ogłoszeniu wspomnionéj rozprawy wkrótce Brodziński opuścił służbę w komisyi spraw wewnętrznych i nadal obrał sobie wyłącznie stan naukowy, do którego wziętość literacka już mu była szeroką utorowała drogę. Najprzód, od roku 1818 dawał lekcye literatury polskiéj i stylu w konwikcie księży

Pijarów na Zoliborzu, w tym słynnym instytucie założonym przez reformatora szkół Stanisława Konarskiego, który oświeconych i godnych wychowywał synów kraju, od którego nowa epoka zaczyna się w literaturze.

W roku 1819 ogłosił Brodziński drukiem przekład swéj tragedyi francuskiéj Raynourda *Templaryusze*, wraz z obszerną historyczną o zakonie Templaryuszów wiadomością.

W roku 1821 wezwała go komisya wyznań religijnych i oświecenia na zastępcę profesora w lyceum warszawzkiém. Wtedy zebrawszy rozrzucone po pismach peryodycznych poezye swoje, wydał je w dwóch tomach wraz z przekładem tragedyi Ducisa *Abufar*. W owym to czasie i nieco późniéj celniejsi muzycy warszawscy, a mianowicie słynni Karol Kurpiński i Józef Elsner*) dorabiali muzykę do niektórych poezyi Brodzińskiego. Kurpiński ułożył między innemi muzykę do śpiewów jego przy ofierze mszy ś., i do téj dziwnie naiwnéj piosenki:

Gdy słowik zanuci,
A strzałę łuk rzuci,
Znika nagle śpiew.
Ptaszyna upada,
Skrzydełkiem nie włada,
Niemy stoi krzew itd. **)

W roku 1822 zaczął Brodziński wykładać literaturę polską w warszawskim uniwersytecie, gdzie w r. 1823 mianowano go pierwszym sekretarzem, a w r. 1826 stałym profesorem. Wówczas także warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk mianowało go swoim członkiem. — Dwóch profesorów razem wykładało wtenczas literaturę na uniwersytecie warszawskim: wspomniony już Ludwik Osiński, ów głośny obrońca klasyków, i skromny Brodziński. „Osiński — mówi Wojcicki — czarującą swoją deklamacyą, głosem dźwięcznym i harmonijnym, miły urok rzucał na swoich słuchaczów i zwabiał ich tłumy na swoje prelekcye. Tu wykładał bieg literatury, a w ocenieniu znakomitszych talentów europejskich, przywodził zdanie (wedle siebie) nieocenionego krytyka La Harpa. Nie miały jego

*) W roku bieżącym umarł w Warszawie.

**) Piosenka ta wraz z muzyką Kurpińskiego umieszczona była nasamprzód w *Pamiętniku Warszawskim*.

prelekcye wartości wewnętrznéj, ale je umiał z takim smakiem, i z taką elegancyą wykładać, że i sami romantycy, których był ten profesor zapamiętałym wrogiem, słuchali ich z przyjemnością, choć uśmiechem pokrywali ich czczość i płytkość krytyki. Brodziński, osłabionych piersi, cichym głosem odczytywał swe rozprawy nieocenionéj wartości i znaczenia, ale sala jego nie była tak liczna, tak napchana, jak na prelekcyach Osińskiego."

W celu poratowania ciągłemi pracami nadwerężonego zdrowia udał się za granicę, zwiedził Włochy, Szwajcaryą i Paryż. Ale od dawna dręcząca go choroba piersiowa rozwijała się zgubnie. Wróciwszy z téj podróży został w roku 1829 profesorem radnym. Następnego roku wydał swój przekład *łacińskich elegii* Jana Kochanowskiego z oryginałem i przedmową, zawierającą w sobie biografią czarnoleskiego wieszcza, oraz tom pierwszy estetycznych i krytycznych prac swoich. Wreszcie mianowany został jeneralnym szkół wizytatorem.

Ówczesny zapał młodzieży przed wybuchem rewolucyi w Warszawie nazywał Brodziński „szalonym Bajronizmem, fałszywą, anty-słowiańską exaltacyą." Kiedy wybuchło powstanie, pełną piersią zaszlochał. „Rzewnie po dziś dzień spominamy pomiędzy sobą — mówi J. B. Zaleski — budującą w owym czasie pokorę Brodzińskiego. Poważny i zasłużony mąż chodził od domu do domu, przepraszać młodych przyjaciół i znajomych, którym Bóg wie czém zawinić mógł — chyba w myśli..... Do prawdy, Brodziński przemienił nam się odtąd; — w anielskiéj białości zajaśniał do oczu.... Zwiędły już i schorzały, odzyskał żartkość Napoleońskiego wojaka. Niezmordowanie, jak mógł i umiał najlepiéj, krzątał się około sprawy: na posterunkach w stolicy, z karabinem na plecach, przedumał wiele nocy i owoce tych dumań ku pożytkowi posyłał członkom rządu i różnym wziętym osobom w sejmie i obozie. — Przedewszystkiem zanurzył się w modlitwie, z prostodusznością uciekał się do praktyk chrześcianina katolika, uczęszczał do ś. sakramentów, że był dosłownie „duszą polską płonącą w Bogu." Wynagrodził go też Pan zaraz osobnym darem, że najdaléj i najwyraźniéj przejrzał w tajnikach

jestestwa swego narodu....... Między wieszczami polskimi w roku rewolucyi, Brodziński sam jeden tylko był natchniony.“

Na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie odczytał wtenczas Brodziński, w zachwyceniu prawie, „*Głos o narodowości*,“ który tak się zaczyna: „Kiedy apostoł wiary Chrystusa pierwszy raz stąpił na ziemię Piasta, ujrzał dziewicę przy skromnym ołtarzu ogień strzegącą. „Cóż to jest za ogień, którego pilnujesz?“ — zapytał. — „Jest to ogień z nieba — rzekła dziewica — dawnym ojcom naszym spuszczony; płomień z niego rozniecili po tysięcznych ołtarzach osad, na które się rozkrzewili, u tych ołtarzy zajmują ogień na uczty gościnne, zapalają pochodnie ślubne i stosy pogrzebne; ztąd na ofiary za żniwa w pokoju, i za zwycięztwa po wojnie; bo mówią: z tym ogniem żyć, z tym ogniem ku niebu wracać nam trzeba.“ — Wtedy westchnął apostoł i rzekł natchniony: „To jest lud najczystszy do przyjęcia ognia niewidomego, jaki mu niosę. Natchnę go duchem piersi moich; on będzie sławnym dla ludzkości w Chrystusie cierpiącym, i kiedyś szczęśliwym zachowawcą ognia boskiego.“ — Zgasł powoli widzialny ogień ołtarzów, a boski i niewidomy zajął piersi każdego z ludu. I naród cały, żył odtąd jednym duchem, a ten duch był jemu tylko właściwy. — Ten to jest duch ziomkowie! który was cudownie kilkanaście wieków ożywiał, na czoło nieprzeliczonych ludów słowiańskich wyniósł, niepodobne zwycięstwa podobnemi czynił, przez ciemne grobowce przeprowadzał, po świecie rozproszył..... Ogień, o którym mówię, jest narodowość, której miłością Polak zasłynął, która sprawiła, że on w rzędzie jestestw, niczém inném być nie może, tylko Polakiem......“

„Klęski narodu w r. 1831 — mówi J. B. Zaleski — przygniotły bardzo Brodzińskiego w ciele mdłém, wątłém i wyschłém na szczepę, — ale nie znękały bynajmniéj jego ducha. Ani na chwilę nie zachwiał się w swéj wierze, pomimo niesłychanych, publicznych utrapień..... Osamotniał jednak i osmutniał bardzo w Warszawie, po przyjaciołach i uczniach co nie wrócili z pobojowisk, albo co tułali się w rozproszeniu po dalekich morzach i lądach...... Całą miłość swoją, wszystkie nadzieje, myśli i uczucia przeniół na nas, bracią rozesłańską.

Owszem, wyemigrował za nami w duchu, że godzi się uważać Brodzińskiego za spółtułacza naszego od najpierwszych dni. Jedynie codzień lichsze zdrowie i kłopota domowe męża i ojca pozbawionego nagle zasłużonego chleba, stawały mu wciąż na wstręcie do połączenia się z nami. — Jak miłował emigracyą z utęsknieniem, niech poświadczy te kilka słów pisanych z Warszawy do nas w r. 1834. „Mam wydzielony „szczupły listek — na którym trudno pomieścić się myślom „z serca się cisnącym. Pozdrowienie najprzód — i życzenie wia„ry, nadziei, i cierpliwości. I my tu wszyscy tułacze, dalecy „od promyka wszelkiéj pociechy, którego może wy bliżsi. My „tu o świecie i o was nic prawie nie wiemy! — czarną tylko „przyszłość widzieć nam wolno. Wy wszyscy natchnieni łaską, „wynieście się nad wszystkie stronnictwa i rozumienia ludzkie, „bo ludzie już rachubę stracili, a wlewajcie w te zbolałe rany „balsam ożywny, jedność w Bogu i w narodzie, który ma „powstać tylko przezeń, i nie żyć jak tylko dla niego. U ludzi „nie litości żebrajmy, ale wymuszajmy szacunek. Nieszczęśliwy „ma wiele do powiedzenia, gdy cierpi nieszczęściem ludu; gło„sem boleści Bóg czasem przemawia. Cierpienia nasze niech „będę światu pamiętne. — Wszystko co drobne, zmienne, da„lekie niech będzie od nas. Trzymajmy wiele o naszym na„rodzie w przyszłości, abyśmy przeznaczeniu jego godnie od„powiedzieli. Codzień nas mniéj, ale i po potopie z jednéj ro„dziny lud się wielki rozmnożył........ Zapędzajcie wszystkich „do nauk, bo tylko w wyszłych młodzieńcach przyszłości na„dzieje.... Tęskno mi do muz waszych. My tu już tylko wy„rzekać umiemy. Często tak tęsknię jakby u was była oj„czyzna....."

Po skończonéj rewolucyi 1831. r. rząd zamknął uniwersytet warszawski. Brodziński otrzymał pensyą emerytalną. Lecz nie przestawał pracować, choć go smutek i tęsknota trawiły; należał czas jakiś do wydawania „*Magazynu powszechnego*" i ułożył „*Dzieje starego i nowego testamentu*" dla użytku młodzieży.

Wszelkie przyjęte na siebie obowiązki i dobrowolnie, z własnéj ochoty, przedsiębrane prace naukowe, nietylko przez całe życie swoje sumiennie, ściśle i najgorliwiéj wykonywał;

lecz nawet, mało bacząc na słabe z przyrodzenia siły ciała, usilną a mozolną pracą tak nadwerężył zdrowie, że w celu jego polepszenia pojechał w r. 1834. najprzód do Krakowa, gdzie nie był od lat dwudziestu, i gdzie go z największém uwielbieniem przyjmowano. Słynny artysta krakowski, Wojciech Korneli Statler, odmalował wtedy Brodzińskiego portret, który według świadectwa Ambrożego Grabowskiego, miał być bardzo podobny nietylko co do rysów, ale i co do charakterystyki twarzy.

Wróciwszy do Warszawy, wkrótce znowu za radą lekarzy udać się musiał za granicę do wód czeskich, a jak powiada J. B. Zaleski, wyruszył *niby* do wód zagranicznych, w niezachwianym atoli i utajonym zamiarze dostania się do Francyi. Żadne sposoby ratunku pomódz mu już nie mogły, z powodu zupełnego rozwinięcia się choroby piersiowéj, która zwolna gasząc jego siły, nakoniec go dobiła. Umarł w Dreznie dnia 10. października 1835. r. „Właśnie — pisze Zaleski — kiedyśmy się gotowali z bijącemi sercami uszanować i umiłować po synowsku najzasłużeńszego wieszcza proroka, przeraziła nas gromem nagła wieść z Drezna o śmierci jego. Zaboleliśmy na śmierć tak niespodziewaną.....“

Na kilka miesięcy przed śmiercią, w Krakowie, na wyjezdnem już za granicę, napisał Brodziński w natchnieniu, duchem wieszczym „*Posłanie do Braci*,“ które się tak zaczyna:

„Palmą Chrystus obdarzył narody zbawione,
„Nam Polakom cierniową przekazał koronę;
„Pańska to jest korona i nośmy ją radzi,
„Krew pod nią zlana, nowe zbawienie sprowadzi.“

„Dziwiły się niegdyś obce narody dostatkom ojców waszych, ich taborom, orszakom sług, ubiorom i rzędom na konie bogactwy połyskującym: a oto teraz nie mogą się napatrzeć ubóstwu synów ich, obnażonych i skaleczonych. I to wycierpcie za ojców waszych w myśli, że dzieci wasze za was i za nich cierpieć nie będą. — I nie mówcie: Oni zgrzeszyli a spokojnie śpią w grobie....“

Do ostatniéj chwili życia swego zachował Brodziński przytomność umysłu, okazywał dziwną duszy spokojność, tu-

dzież ciche, łagodne, prawdziwie chrześciańskie poddanie się woli Wszechmocnego. Był przy nim obecny aż do jego skonania przyjaciel jego A. E. Odyniec. Ten wkrótce po śmierci ś. p. Brodzińskiego, następny list napisał do jednéj z zacnych przyjaciółek nieboszczyka, do pani Lewockiéj:

Z Drezna.

„Dopełniając przypadłego na mnie obowiązku, przebacz Pani, iż ją jako bliską znajomą i przyjaciółkę rodziny Kazimierza z Królówki, za pierwszą powierniczkę smutnéj wiadomości obieram. Podobało się Bogu wezwać do siebie po nagrodę w lepszym świecie, sprawiedliwego, cnotliwego człowieka. Zacny Kazimierz skończył ziemskie cierpienia i smutki dnia 10. października, w sobotę o godzinie 10. wieczorem, (w rocznicę urodzin swéj córki,) a skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, iż ja, świadek jego skonania, ze czcią patrząc na niego w téj uroczystéj godzinie, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko sobie samemu podobnéj kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten, nie godzi się wątpić, jest już tam od nas szczęśliwszy! Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tém zawsze dla nich równie boleśna, mogłaby stać się jeszcze boleśniejszą, gdyby się jéj niespodzianie lub z obojętnych ust dowiedzieć miały. Możesz ich Pani jak najsumienniéj zaręczyć, że co tylko sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać i stan jego cierpień osłodzić! Ale któż się woli Boskiéj sprzeciwi? Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści; powolne tylko ubywanie sił życia, postęp jéj oznaczało.

„Spokojność i łagodność duszy i charakteru, nie odsąpiły go ani na chwilę; z pokorą i zaufaniem oddawał się woli Bożéj. O żonie i córce wspominał często i zawsze, z największą czułością, ale gdy mu niektórzy radzili, aby je przyzwał do Drezna, nigdy na to zgodzić się nie chciał. Owszem w wigilię śmierci odebrawszy list od żony, która go sama o to prosiła, polecił mi był odpisać w jego imieniu, prosząc jak najusilniéj, aby tego zamiaru nie wyprowadzała do skutku. Uspokoj ją więc Pani w tym względzie, ażeby się tą myślą nie dręczyła

daremnie. Bytność jéj tutaj niby nie pomogła, a byłaby przeciw woli jego. Ostatnia moja z nim rozmowa była o Paniach K... (Teresie i Natalii Kickich), które, jak mi powiadał, żona jego w listach swoich „aniołami swymi“ nazywała. Z czułością przypominał ich dla siebie życzliwość i przyjaźń, i chociaż tak bliskiéj śmierci nie przeczuwał, mówił jednakże: „gdyby mi tu nawet skończyć przyszło, umierałbym z tém przekonaniem, że byłyby zawsze pociechą i opieką mojéj bidnéj żony i dziecka“. Te są prawie jego własne słowa, ile przypomnieć mogę; przesyłam je jako spuściznę po prawdziwym ich przyjacielu. W wigilię śmierci, uczuł się weselszym i swobodniejszym niż kiedy. Drzemiąc na pół w nocy, miał bardzo piękne widzenie, o którém sam z wielkiém wzruszeniem powiadał i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białéj szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął. — Widzenie to i list żony którym mu o troskliwości przyjaciół doniosła, były osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele nie opuszczą osieroconéj rodziny i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył w duszę bolejących po nim. Pogrzeb odbył się dnia 12. października. Wszyscy znajomi oddali mu ostatnią posługę.“ A. E. O.

Szanowne zwłoki cnotliwego Brodzińskiego przebywający wówczas w Dreznie Polacy odprowadzili na cmentarz katolicki, leżący na przedmieściu drezdeńskiém Friedrichstadt. Wkrótce potém przyjaciele i rodacy zmarłego postanowili skromnym, jak on sam był w życiu, pomnikiem uczcić szczątki jego. Gdy późniéj szanowny jenerał Wojczyński zszedł z tego świata, i gdy szczególnym trafem popioły jego obok zwłok Brodzińskiego złożono, przyjaciołom obydwóch, tych tak wiele w ojczyznie acz w różnych zawodach zasłużonych mężów, przyszła myśl szczęśliwa, żeby dwa te grobowce w jednym i tym samym postawione stylu i jednym opasane łańcuchem, godłami się tylko od siebie różniły. Nad mogiłą ś. p. Brodzińskiego wznosi się skromny pomnik w kształcie czworograniastéj kolumny w koło u spodu granitowemi obłożonéj kamieniami, z tym prostym przez A. E. Odyńca skreślonym napisem:

Kazimierzowi Brodzińskiemu
ziomkowie.
Ur. 1791. † 1835. Paźdz. 10.

Na grobowcu Brodzińskiego widzieć możesz po dziś dzień wieniec i lutnię, godło uwieńczonego wieszcza, na grobowcu jenerała hełm rycerski.

Tak zakończył dni pełne zasług i poczciwie nabytéj sławy, nasz nigdy nie zapomniany Kazimierz, w roku życia swojego czterdziestym czwartym. Był on wzrostu średniego, szczupły, nie wydatny, światły blondyn, oczu jasno niebieskich, twarzy ściągłéj, bladéj, na któréj ani zdrowia, ani szczęścia pomimo jakiéjś rzewnéj i tkliwéj łagodności, dostrzedz nie można było. Słowem: jak powiada zacna nasza autorka *Rozrywek,* „był on z tych ludzi, z których duchem Opatrzność pieściła się więcéj niż z losem, dla których ciało zdaje się konieczną, chwilową powłoką, jakby tą suknią prostą, tą siermięgą, w jaką pan możny się odziewa, żeby uszedł wśród gminu.“ Uśmiech miał dziwnie przyjemny, mało mówił, rzadko wpadał w zapał, od wszelkich dysput się usuwał, hucznych i świetnych towarzystw unikał, nowych znajomości zabierać nie lubił. Nauki, mianowicie swemu odpowiedne zawodowi, posiadał w wysokim stopniu, znał języki: łaciński, włoski, niemiecki i francuski, prócz własnego, nad którego gruntownem poznaniem całe życie pracował. Celniejsze też dyalekta słowiańskie mniéj więcéj były mu znajome. Z obcych poetów najbardziéj lubił Szyllera, z filozofów Kanta, którego zgłębiał i poważał, nie zaciekając się zbytnie w zawiłe metafizyczne abstrakcye. Zawsze cichy i skromny, przechował do zgonu jednostajną, swiętą rzecby można, mimo wewnętrznéj boleści, duszy pogodę, bo też to był prawdziwie bogobojny i głęboko religijny człowiek. Jeżeli miał jaką słabość nie odłączną od przyrodzenia ludzkiego, to chyba tę, iż zbytecznie łatwy, ufny i dobrówolny, często dobroci swojéj, bez niedołęztwa wszakże nadużywać pozwalał. Obyczajów był czystych, żadna namiętność, prócz chyba zbytniego, z ujmą zdrowia, zamiłowania w naukach, nie zmąciła jego prostego, zawsze umiarkowanego życia. Mając wieku lat 34, zawarł roku 1825 w okolicach Warszawy związek małżeński, z którego zostawił

córkę Karolinę. Od dawnego czasu a zwłaszcza na lat kilka przed śmiercią, pomimo szczęśliwego w stadle małżeńskiém pożycia, pomimo szacunku ziomków, tajemny, coraz większy udręczał go smutek, co może w nim przyspieszyło rozwinięcie się choroby piersiowéj. Wszelką przeciwność z anielską prawie znosił cierpliwością, wszelkie urazy i krzywdy, szlachetnie, po chrześcijańsku przebaczał. Kiedy począł nowe jeszcze natenczas w kraju objawiać myśli, dla zdziałania potrzebnéj w literaturze reformy, oburzyło się i powstało na nią wielu, co z saméj natury rzeczy wyniknąć koniecznie musiało; nie każdemu też podobała się jego sielankowa w pismach prostota, niektórzy nawet z młodzieży sarkali z razu przeciw jego idylicznym pomysłom; lecz on te niechętne przeciw sobie napady, nie żwawą energiczną obroną, ale skromnością i umiarkowaniem, a najzwykléj siłą opowiadanéj prawdy odparł i wprędce wszystkich prawie przeciwników ku swéj stronie nakłonił. Za młodu wiele z towarzystwa i głębokiéj nauki Jacka Przybylskiego korzystał, nie przejąwszy atoli wcale jego uczonych dziwactw i zepsutego smaku. Późniéj ze wszystkimi znajomymi sobie literatami, w przyjaznych żył stosunkach, na niektórych radami swemi czynnie i pożytecznie wpływał. Tak np. jego to wpływowi i zachętom winniśmy znaną powszechnie powieść historyczną Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, pod tytułem: *Jan Kochanowski w Czarnolesie*, wydaną w roku 1842 we dwóch tomach w Lipsku, do któréj napisania nie tylko ustnych, lecz nawet i na piśmie udzielił uwag swoich. Jakoż wdzięczna autorka przypisała piękny ten swój utwór pamięci Brodzińskiego.

„Szczegóły zaś jego domowego życia — pisze szwagier Brodzińskiego, także już zmarły Holly — rozmaite domowe w nich przemiany, przyczynę trawiącego smutku i w końcu śmierci, mógłby tylko wykryć sam Brodziński, bo ile głęboko czuł i myślił, tyle wszystko w głębi duszy swojéj ukrywał.“

O wdowie po Brodzińskim i córce jego Karolinie, tak pisze Lucyan Siemieński:*)

---

*) Żywot Kazimierza Brodzińskiego skreślił w powiastkach Lucyan Siemieński. Kraków 1851.

„Kazimierz (Brodziński) zostawił także sierotkę na ziemi. Zapewne nieraz ptaszęciem musiał zlatywać z górnych nieb, nieraz usiadać na gałązce i piosneczkę nucić, ale nie złéj wróżby, tylko piosneczkę wesela, bo téż jego sierotce dobrze było... Jeżeli w godzinie skonania uczuł się spokojnym o los córki, mając zapewnioną sobie opiekę dwóch aniołów, jak je nazywał, Natalii i Teresy (Kickich), tedy późniéj dusza jego zapewne doznała błogiego spokoju, patrząc z wysoka na chowającą się Karolinkę w zdrowiu i szczęściu.

„Aczkolwiek zbieg okoliczności nie dozwolił, aby córka Kazimierza chowała się pod okiem dwóch jego przyjaciółek, przenikliwość serca pozostałéj matki, umiała obmyślić dziecku swojemu bezpieczną przyszłość. Dla téj wątłéj latorośli zrodzonéj z rodziców dotkniętych chorobą piersiową potrzeba było opiekuna słynnego zarówno biegłością w sztuce lekarskiéj, jak niezachwianą prawością i szlachetnością uczuć. Wdowa po Brodzińskim od lat wielu cierpiąca, ledwie kilka miesięcy przeżyła męża. Nie wspominając nigdy za życia, w czyje ręce pragnęłaby powierzyć swoje dziecko, napisała przed śmiercią słów kilka do doktora M. (Malcza?) zwierzając mu swój jedyny skarb. List ten, a raczéj świstek, znaleziony po jéj zgonie, był wszakże dla tego zacnego człowieka uroczystém objawieniem woli nieboszczki. Od téj chwili do licznéj jego rodziny przybyła jedna córka więcéj. Któż z uczęszczających do tego domu nie widział ze wzruszeniem, jak sierota po śpiewaku Wiesława znalazła drugich rodziców w czułych i zabiegłych staraniach doktora i jego żony! Ażeby dać wyobrażenie, w jaki sposób oboje spełniali święty obowiązek opieki, dość przytoczyć dwa następujące rysy: — W dniu zamęźcia swego zajmująca pupilla (Karolina Brodzińska) odebrała z rąk opiekuna, w trójnosób powiększoną, pozostawioną jéj przez matkę i wuja spuściznę pieniężną, albowiem ze składanych procentów, nie potrącano najmniejszéj części na wychowanie, ani na staranną edekacyą, słowem, na całe jak najprzyzwoitsze wychowanie. — Przybrana matka sieroty w jednym ją tylko przedmiocie chciała odróżnić od swych własnych dzieci, a to w nauce religii, któréj wspólnie z Karolinką pobierać nie mogły; wyznania ich były różne. Troskliwa opiekunka, acz

szczerze do swego wyznania przywiązana, niczego wszakże nie zaniedbała, co mogło ugruntować zasady religii katolicko-rzymskiéj w sercu córki religijnego wieszcza. Najznakomitsi nauką, pobożnością i cnotą duchowni wzywani byli do udzielania jéj prawd świętéj naszéj wiary.

„Ciesz się cieniu Brodzińskiego! Bóg wynagrodził gorycze twego sieroctwa, w błogiém sieroctwie twéj córki.“

Przegląd dzieł Brodzińskiego i znaczniejsze z niego wyjątki podamy w następujących poszytach *Szkółki*. E. E.

KILKA SŁÓW

o

przepowiastkach, piosneczkach, zagadkach, przysłowiach, legendach i podaniach ludowych,

czyli

O literaturze niepisanéj, ludowéj.

Jak obudzić pragniemy w młodzieży zamiłowanie literatury naszéj, tak chcielibyśmy także obeznać czytelników „Szkółki“ z innego jeszcze rodzaju literaturą, a także narodową, t. j. z powiastkami, piosneczkami, zagadkami, przysłowiami, które krążą wśród ludu naszego od pokolenia do pokolenia. Kazimierz Brodziński pierwéj poznał tę literaturę aniżeli pisaną, pierwéj nasłuchał się miłych piosneczek i dziwnych opowiadań wiejskich, nim zaczął czytać książki drukowane, i wiele, bardzo wiele się nauczył. Każdy z nas nasłuchał się w dzieciństwie przepowiastek, zagadek i tym podobnych rzeczy wiejskich, ale nie każdy poznał ich wartość i piękność, a przecież gardzić niemi nie można, kiedy nie pogardzili niemi tacy pisarze, jak Brodziński, Mickiewicz, Bohdan Zaleski, Odyniec, Goszczyński, Hołowiński i tylu innych poetów i pisarzy nowszych.

Wiszniewski, mąż uczony, jeden z pierwszych pisarzów naszych, autor najlepszéj „Historyi literatury polskiéj,“ tak

ocenia literaturę ludową, owe powiastki, piosneczki, zagadki, przysłowia, legendy i podania, któremi umysły i serca karmią wieśniacy nasi, które dla nich przez wiele wieków zastępowały miejsce książek i do dzisiaj po większéj części jeszcze zastępują:

„Lud wiejski niepiśmienny i nieukształcony na książkach, ma własną literaturę samorodną, kryjącą się jak barwinek i świeżą jak lilie, a składającą się z poezyi, historyi i filozofii; pierwsza w pieśniach, druga w powieściach, trzecia w przysłowiach, kryje się jak iskra w krzemieniu. Literatura ludu sama z siebie w cichości rosnąca, jak kwiaty leśne, buja, kwitnie i przekwita, częstokroć od nikogo nie widziana, od nikogo nie żałowana. Nie jeden dumny mędrzec patrzał na nią, a nie widział; stał nieraz blisko, a przecież ani mu się śniło, żeby prócz w starych książkach, gdzieindziéj jeszcze literatura znajdować się miała..... Przecież w tym kruszcu tkwi złoto, pod grubą powłoką piosnek, dumek i przypowiastek, kryją się najważniejsze części wiadomości ludzkich, których naród dorobił się sam, długą i cichą pracą, jak przyszedł do języka; a jako język jest śladem, świadectwem i pomnikiem różnych robót rozumu, tak powieści, przypowieści i pieśni, są jego filozofią, historyą i poezyą. A to nie martwe już, ale z odwieczném życiem; nie ujęte pismem, ale nieustannie z duszy, z serca ludu, jak z najczystszego i donośnego zdroju płynące...

„Z postępem oświecenia we wszystkich narodach zjawili się ludzie wyższego światła i rozeznania, którzy pieśni, przysłowia i powieści, te wiotkie, ulotne płody literatury, troskliwie wyszukują i spisują. Wiemy z Eginharda, iż Karol Wielki kazał zbierać najdawniejsze pieśni opiewające przewagi sławnych germańskich wojowników..... W Danii jeszcze przy końcu XVI. wieku Andrzej Wedel Soffersen, przyjaciel Tyhona Brahego, zgromadził starożytne pieśni duńskie. Lecz nieszczęściem inne narody daleko późniéj do tego się wzięły. Przed dwudziestu i kilku laty (Wiszniewski pisał to w r. 1840) w całéj obszernéj Słowiańszczyznie nikt się zbieraniem pieśni i powieści między ludem nie zajmował; dziś mamy przeszło trzydzieści zbiorów. (Od roku 1840 przybyło ich może jeszcze raz tyle)..... Ci (zbieracze) nie z książek, ale zwiedzając różne

prowincye, zbierali zabytki literatury ludu polskiego. Im to po Chodakowskim (który pierwszy zwrócił uwagę piszących na wartość literatury ludowéj *) rodzinna literatura najwięcéj winna. Nie tak albowiem łatwo jest zbierać piosnki i przypowiastki ludu, jak się zdaje na pozór..... Widziałem, jakich Chodakowski doświadczał trudności, choć umiał wszystkie dyalekta ruskie i polskie, chodził w obdartéj kurtce i częstował wódką. Lud albowiem wiejski zamyka serce i duszę przed człowiekiem, którego za coś wyższego poczytuje od siebie; nie przypuszcza go do tajemnic swoich uczuć, ani będzie śpie-

*) Przez wzgląd na zasługi Chodakowskiego w obeznaniu Polaków z literaturą ludową, podajemy krótką o nim wiadomość. Zoryan Dałęga-Chodakowski, czyli *Adam Czarnocki* (to było prawdziwe jego nazwisko), syn niezamożnych rodziców, urodził się na Litwie r. 1784, odbył nauki w szkołach Słuckich; odznaczał się niepospolitą zdolnością i olbrzymią pamięcią; najwięcéj z nauk polubił historyą i jeografią; jeszcze jako młodzian bez wielkiéj nauki, bez znajomości obcych języków, bo umiał tylko trochę szkólnéj łaciny, w cichym wiejskim zakącie, z zapałem mawiał *o wskrzeszeniu poezyi własnéj*, *o zbieraniu pieśni ludu*, *badaniu jego podań i zwyczajów*. Śmiano się z młodzieńca, jako z marzyciela i zapaleńca, gdy się gorliwie wypytywał starych rolników o rozmaite podania, lub gdy się przysłuchiwał śpiewom wieśniaczek. W r. 1802 ukończył nauki szkólne, potém lat kilka przebywał w Mińsku i innych litewskich miastach, tułał się po rozmaitych stronach, w r. 1813 udał się do Galicyi. Tu z całym zapałem nadzwyczajnéj gorliwości, rzucił się do szperania podań ludu; śmiały, lubiący podróże, pochopny do fantazyi, przedsięwziął obejrzeć cały ród słowiański; z kijem w ręku, z torbą żywności na plecach, przechodził wioski i miasteczka, rozmawiał ze starcami, spisywał piosenki ludu, rozkopywał starożytne mogiły *żalnikami* zwane, przeglądał stare dokumenta i rękopisma; zwiedził Puławy; w r. 1814 udał się do Petersburga, zapoznał się z celniejszymi uczonymi rosyjskimi; kanclerz uczynił go urzędnikiem ministeryum oświecenia i poruczono mu badanie starożytnéj Słowiańszczyzny po całéj Rosyi; jakoż przejrzawszy starannie archiwa, biblioteki, gabinety w Petersburgu, puścił się w podróż po Rosyi. Wszędzie zbierał podania ludu, odkrywał nieprzeliczone prawie *horodyszcza* (dawne siedziby plemion słowiańskich); w pałacach, dworach, karczmach, w chatach, na opuszczonych polach, w ogromnych puszczach, wszędzie go było pełno. Życie jego było pasmem nieprzerwanych wędrówek, badań, pracy. Umarł w r. 1825 w gubernii Twerskiéj.

wał za pieniądze jak Tyrolczyk. Nie jedna rusokosa Słowianka czułe prośby Chodakowskiego o piosnkę brała za natrętną miłość: nieraz zamiast piosnki zelżywe słowa odnosił; a czyli go czasem i co gorszego nie spotkało, zaręczyć nie mogę. Lecz nietylko prostoty wiejskiéj, nawet młodzieży uczącéj się i nauczającéj, szlachty i nieszlachty był pośmiewiskiem nasz uczony Chodakowski. Nikt nie umiał powiedzieć, czego on szukał, choć się rad każdemu z chęci swych tłumaczył.....

„Poezya ludu jest to cudowne źródło, u którego poezya odmładza się. Tak stało się u Anglików i u nas. — W téj wreszcie literaturze, lud wszystkie swoje myśli, uczucia i pociechy złożył; w nich znajduje się promyk moralności, pierwsze nasiona i zarodek wszystkiego, co się późniéj rozwinie i stanie. Filozof, historyk i poeta znajduje w nich przechowane ważne, niespodziane i ciekawe wiadomości; w nich bowiem widać, jakie dusza nie zepsuta od świata otaczającego odbiera wrażenia, jak je w słowach składa i jaki im kształt nadaje..... Pieśni gminne są dla ukształconego poety jedyną szkołą, w któréj się rodzinnéj poezyi wyuczyć może...“

Taką wartość przypisuje uczony Wiszniewski literaturze ludowéj. Nie trzeba więc gardzić wiejskiemi piosneczkami, powiastkami, legendami, zagadkami; są w nich bowiem ukryte wielkie prawdy, trafne spostrzeżenia, piękne nauki pod różnemi postaciami; prawdy zaś te i nauki ustrojone są w piękne sukienki, w dziwne zmyślenia, w cudowne powiastki; jedném słowem, prawdy moralne nie na sucho, ale pięknie, poetycznie w powiastkach ludowych występują.

Znana jest powszechnie gminna powiastka o rozbójniku Madeju. Nie można na pewno twierdzić, czy żył kiedy rozbójnik Madej albo nie, choć o nim krążą gadki po całéj obszernéj Polsce; ale moralna prawda w téj powiastce zawarta, jest prawdziwa. Madej zabił tyle ludzi, ile miał włosów na głowie; zabił nawet własnych rodziców; czekała go więc okropna kara w piekle, straszne łoże Madejowe, całe z żelaza najeżone nożami, brzytwami, nożycami, obcęgami, kleszczami, szydłami, hakami; wszystko rwie, rznie i kole, szarpie, kraje i nacina. — Prawda w tém jest ta, że za wielką zbrodnię czeka wielka człowieka kara. – Ale że pan Bóg największym grze-

sznikom przebacza, jeżeli się poprawią i pokutują, przeto i Madejowi darował, gdy odbył straszną pokutę, tak wielką jak wielkiemi były jego zbrodnie, tak wielką, jakiéj ani oko widziało ani ucho słyszało. Spowiednik wbił krwawą buławę Madeja w ziemię i rzekł mu: jeżeli chcesz spokojnie umrzeć, noś wciąż dwa wory pełne kamieni na plecach; na kolanach pełzaj do zdroju, czerpaj wodę ustami dniem i nocą i buławę podlewaj; roś ją łzami, i wśród postów, łez, cierpień błagaj Boga o odpuszczenie grzechów, a Bóg, który nie chce śmierci grzesznika, odpuści ci zbrodnie i na znak odpuszczenia buławę w piękną jabłoń rozwinie. I stało się, jak spowiednik wyrzekł: po wielu, bardzo wielu latach pokuty Madeja, buława w piękną jabłoń się rozwinęła, okryła się czerwonemi, jak przelana krew jabłkami, które pachniały jak pachnie przed Bogiem niewinność ludzi, którym rozbójnik życie odebrał. I kiedy kapłan znów przybył do Madeja i z grzechów go wyspowiadał powtórnie, wszystkie jabłka przemienione w białe gołąbki, oderwały się od jabłoni, poleciały do nieba śpiewając radośnie przebaczenie rozbójnikowi, a Madej skłonił głowę na piersi i z rajskim uśmiechem Bogu ducha oddał. — Ileż tu w téj zmyślonéj powiastce jest prawd moralnych!

Znana jest powiastka gminna o Błażeju pustelniku*) czyli „*Chleb rajski*“. Pustelnik Błażéj doszedł przez modlitwę do takiéj świętobliwości, że miewał niebieskie widzenia, że cuda Bóg mu czynić pozwolił. Błażéj błagał razu pewnego Boga, aby go Pan Bóg cudem żywił w pieczarze, iżby wszystek już czas, i ten który trawił na pracy w ogrodzie, mógł na modlitwę obrócić. I Bóg wysłuchał prośbę jego, zsyłał przez anioła codziennie chleb do pieczary. Błażéj zrazu w boskim zachwycie cały czas do Boga się modlił, śpiewał psalmy, ale wkrótce ogarnęła go tęskność, potem nudy, lenistwo; już z taką skruchą modlić się nie umiał, sny miewał grzeszne, wreszcie kiedy chleb rajski zniknął, porzucił pieczarę i poszedł używać świata. Lecz anioł go zwrócił i rzekł mu: „widzisz ułomny człowiecze, że pracą gardzić nie trzeba; gdy pracą

*) Szkółka r. 1852, str. 183; — legendy Hołowińskiego; — Nauka poezyi Cegielskiego str. 424.

utrudzisz ciało, duch niém łatwiéj władać może". I z pokorą wrócił Błażéj na puszczę, a kopiąc ziemię, pracując i modląc się, znów był szczęśliwy. Prawda moralna w téj powiastce jest ta, że człowiek tylko pracując i modląc się, może doznać szczęścia na ziemi, że ani sama modlitwa, ani sama praca szczęścia zapewnić nie może.

Znana jest powiastka gminna o aniele i pustelniku*); który pragnął poznać skryte grzechy ludzkie. Anioł pokazał mu takowe. — Kiedy razem przechodzili około ścierwu cuchnącego, pustelnik zatkał nos i odwrócił twarz, a gdy mijali dwóch młodzieńców cudnéj urody, anioł zatkał nos i twarz od nich odwrócił; gdy przybyli na noc do pierwszéj gospody, anioł w nocy kazał zabrać pustelnikowi złoty, pięknie robiony kielich, w którym gospodarz tak był rozmiłowany, że rano wstając i na wieczór spać się kładąc, z upodobaniem na niego spoglądał; kiedy przybyli do innéj gospody na drugi nocleg, anioł dotknął się ręką dziecięcia i umarło, które było jedynem szczęściem rodziców, dla którego tylko żyli i nigdzie nawet krokiem z domu nie oddalali się; przybyli wreszcie na trzeci nocleg do ubogiéj karczmy, napełnionéj tak już podróżnymi, że nie było miejsca w gospodzie dla pustelnika i anioła, ale gospodarz uprzejmy własnego kącika im odstąpił a sam poszedł spać do stajni; anioł obudził w nocy pustelnika i poszedł z nim przespać się do stajenki; nazajutrz pyta się anioł gospodarza, co się należy za nocleg, a gospodarz odpowiada, że nic, bo nie spali w gospodzie ale w stajni tam, gdzie trzoda stała; anioł odpowiada, że nocleg, który dla nich był przygotowany, musi być zapłacony i dał niechciwemu karczmarzowi ów złoty kielich, który był zabrał na pierwszym noclegu. Zdziwiony tem wszystkiem pustelnik rzecze do anioła: widzę, że nie jesteś aniołem, bo odwróciłeś twarz od urodziwych młodzieńców, zabrałeś jednemu złoty kielich, drugiemu dziecko i t. d. Na to anioł mu odpowie: chciałeś poznać skryte grzechy ludzkie i nie widzisz ich: oto owi młodzieńcy tak pięknego lica są brudnych obyczajów, i zapach cuchnącego ścierwu nie jest tak przykry jak grzeszne ich dusze w obliczu Boga

*) Szkółka r. 1850, str. 46.

i aniołów; ów gospodarz na pierwszym noclegu tak się zakochał w mamonie, w owym złotym kielichu, a gospodarstwo na drugim noclegu w swém jedyném dziecku, że zapomnieli już o Bogu, o bliźnich, o dobrych uczynkach, o kościele; Bóg więc rozkazał zabrać jednemu ów kielich, a drugiemu dziecko, aby odwrócili dusze od tego co zanadto ukochali a nawrócili się do Boga; i to są skryte grzechy ludzkie, których nie wîdzą ludzie, ale które widzi Bóg; zaś ów ubogi karczmarz okazał skrytą cnotę, którą Bóg nagrodzić mu kazał, bo ustąpił bezinteresownie własnego miejsca podróżnym, zapłaty wziąść nie chciał. — Ileż więc i w téj gminnéj powiastce jest głębokich prawd moralnych. Podobne prawdy i nauki znajdują się w każdéj powiastce, gadce, legendzie, podaniu i t. d., i dla tego to wiejskiemi temi skarbami gardzić nie należy.

W powiastkach ludowych zawsze dobre bierze w końcu górę nad złém, poczciwość nad przebiegłością, cnota nad zbrodnią; cnotliwy zawsze odbiera w końcu nagrodę a zły karę, jeżeli się nie naprawi. Zawsze ten zwycięstwo odnosi, choć przechodzi różne nieszczęśliwe koleje, kto jest pokorny na duchu, kto idzie z Bogiem, chociaż takiego często ludzie głupim nazywają; zawsze ten najlepiéj wychodzi, kto się w pokorze spuszcza na los a po drodze wiele dobrego robi, losem zaś tajnie kieruje Bóg.

Co się zaś tyczy drugiéj strony tychże powiastek, gadek, legend, podań, co się tyczy ich poetyczności, to równie są piękne, ciekawe, zajmujące, jak pouczające. Są w nich cudowne zmyślenia, ciekawe opowiadania, dziwy nad dziwy, cuda a cuda, bo są to utwory bujnéj fantazyi ludu szlachetnego; są tak fantastyczne, jak arabskie powiastki „*Tysiąc nocy i jedna*“. Oto kilka przykładów.

„Była zamożna wdowa i miała pasierbicę, któréj bardzo dokuczała i własną córkę, którą bardzo kochała. Pasierbica była piękna i dobra, córka była złego serca. Zwykła to rzecz, iż na świecie, milsze swe niż obce dziecię; lecz chce święta sprawiedliwość, by i w złości i w miłości mieć roztropną powściągliwość. A tymczasem zła macocha własną córkę zbytnie kocha, a pasierbicy zbyt nienawidzi.

„Wszędzie ziemia i obłoki, wszędzie pan Bóg litościwy

ma w opatrznéj swéj opiece każdego kto jest poczciwy, ale zwłaszcza biedne sieroty.

„Raz pasierbica w niedzielę, mając być na mszy w kościele, wyszła rano do ogrodu, by z kwiatów świeżo rozkwitłych kilka bukietów ułożyć i niemi ołtarz ozdobić. Ledwie kilka róż uszczknęła, patrzy — aż tuż przed nią blisko, przy altance na ławeczce, w szatach nieziemskiéj białości, cali w promieniach, w jasności, stoją trzéj piękni młodzianie.

„A przed nimi na uboczu, stoi dziadek starusienki, jak gołąbek siwiuteńki, i o jałmużnę prosi.

„Gdy trzech młodzianów zoczyła, najprzód się była strwożyła, lecz gdy staruszka postrzegła, ręką w zanadrze sięgnęła, ostatni grosik wyjęła, i ubogiemu podała.

„Ubogi jéj podziękował, grosik do sakwy wnet schował, wzniósł dłoń nad biedną dziewczyną, i do stojących młodzianów rzekł:

„Oto dziewczyna sierota, bogobojnego żywota, w znoszeniu nieszczęść cierpliwa, ku biednym tak litościwa, że ostatkami swoimi, gotowa dzielić się z nimi; wy więc, co tutaj stoicie, powiedźcie, co jéj życzycie?

„Niechaj w płaczu, zamiast łzami, płacze drogiemi perłami — odpowiedział młodzian pierwszy.

„A przy każdym jéj uśmiechu, niech wykwitają w oddechu, najwonniejsze w świecie róże — odrzekł drugi.

„W wodzie, gdy się rączką dotknie, niech złote rybki pływają — odezwał się trzeci.

„Stań się, jakoście rzekli! — starzec zawołał i zniknął, a z nim i trzéj młodzianie zniknęli.

„A był to nie kto inny, tylko sam Pan Bóg i trzéj jego aniołowie.

„Na ten widok pasierbica, wierna Boża służebnica, wnet upadła na kolana, wzniosła się myślą do Pana, cześć mu powinną oddała, poczém z weselem powstała i do domu pobiegła.

„Ledwie przez próg przestąpiła, macocha ją pochwyciła, i krzyknąwszy: — gdzieś latała? — pęc w policzek!

„Biedna z żalu zapłakała... wtém, o cudzie niesłychany! zamiast łez, posypały się perełki.

„Macocha choć rozjątrzona, rzuciła się wnet do pereł, i zaczęła je podbierać.

„Widząc taką jéj skwapliwość, pasierbica przez swą żywość, uśmiechnęła się nieznacznie.

„I oto z ust jéj różowych, sypnęły się pełne róże, tak prześliczne i tak wonne, że macocha po zdziwieniu, znalazła się w upojeniu, i stoi jak nieprzytomna.

„A pasierbica chcęc tymczasem, przyniesione z ogrodu kwiaty do wody wstawić, nalała do szklanki, i gdy w niéj palec zmoczyła: w czyściuteńkiéj jak kryształ wodzie, zjawiły się złote rybki i pływają.

„Odtąd, skoro tylko zapłakała, zamiast łez, perełki z oczu spadały; przy każdém jéj uśmiechnieniu, wonne się róże sypały, które nigdy nie więdniały; a gdy choć paluszkiem wody się dotknęła, złote w niéj rybki pływały.

„Macocha złagodniała, i nieznacznie wybadała, jak się z nią to cudo stało.

„Tak a tak — pasierbica jéj rzekła, i wszystko opowiedziała.

„W następną zatém niedzielę, niby mając być w kościele, rodzona córka macochy, podług własnéj jéj namowy, wyszła rano do ogrodu, by z kwiatów świeżo rozkwitłych, kilka bukietów ułożyć, i niby ółtarz ozdobić.

„Ledwie kilka róż uszczknęła, patrzy — aż tuż przed nią blisko, przy altance na ławeczce, w szatach nieziemskiéj białości, cali w promieniach, w jasności, stoją trzéj piękni młodzianie.

„A przed nimi na uboczu, stoi dziadek starusieńki, jak gołąbek siwiuteńki, i o jałmużnę prosi.

„Gdy trzech młodzianów zoczyła, najprzód niby się strwożyła, lecz gdy staruszka postrzegła, prędko ku niemu przybiegła, ręką w zanadrze sięgnęła, złoty dukat wydobyła, na dłoni go potrzymała, popatrzała, popatrzała, i ubogiemu podała.

„Ubogi jéj podziękował, dukat do sakwy wnet schował, i do stojących młodzianów rzekł:

„Oto matczyna pieszczotka, na spojrzenie miła, słodka, lecz złośliwa, mściwa, trzpiotka! dla biednych ma dłonie próżne, a tę tak hojną jałmużnę, pierwszy raz w swém życiu daje, i choć tego nie wyznaje, wiadomo w jakim zamiarze;

wy więc co tutaj stoicie, powiedźcie, co jéj życzycie, co mam jéj udzielić w darze?

„Niechaj w płaczu zamiast łzami, płacze zawsze jaszczurkami — odpowiedział młodzian pierwszy.

„A przy każdym jéj uśmiechu, niechaj się lęgną z oddechu, krzeczące i brzydkie żaby — odrzekł drugi.

„W wodzie, gdy się ręką dotknie, niech się węże rozmnażają — odezwał się trzeci.

„Stań się, jakoście wyrzekli! — starzec zawołał i zniknął, a z nim i trzéj młodzianie zniknęli.

„Dziewica wprzód uśmiechnięta, trwogą i zgrozą przejęta, szybko do domu pobiegła, i co widziała, co słyszała, wszystko to matce opowiedziała.

„I wkrótce się okazało, że życzenia trzech młodzianów, co do joty się ziściły.

„Rodzona córka macochy, jak się uśmiechnie, skrzeczące lecą żaby; jak zapłacze, padają jaszczurki; jak się wody dotknie, wylęgają się węże.“

Czy nie fantastycznie, pięknie, poetycznie wystawiona biedna sierota i zła siostra przyrodnia? Niewinne łezki sieroty są drogie jak perełki, niewinny jéj uśmiech jest piękny i miły jak zapach świeżéj róży, a praca jéj w pokorze, każdy jéj dobry czyn ma taką wagę, jak szczere złoto. Złośliwéj zaś kobiety uśmiech jest szyderczy, niemiły jak skrzek żab, płacz odrażający jak widok jaszczurki, a uczynki jéj mnożą w koło nieszczęście, jakoby węże zawsze z pod jéj ręki a raczéj z jéj złego serca wyrastały. —

Przytaczamy kilka jeszcze poetycznych obrazów i wyrażeń z powiastek gminnych.

Opis konia. Zaszumiały i zahuczały wiatry ze wschodu, ziemia zadrzała, kopyta zatętniały, błyskawice zabłyskały, i ukazał się koń nad konie, podziw świata: leci lotem orła, z nozdrz mu płomień bucha, z oczu skry się sypią, a z uszu kłęby dymu walą.

Poetyczne wyrażenie się o trzech dziewicach. Panował w kraju król potężny, u którego były trzy córki: jedna córka jak zorza poranna; druga córka jak zorza wieczorna, a trze-

cia córka jak miesiąc jasny, i już nad tę trzecią piękniejszéj w świecie nie było.

Malownicze wyrażenie. Z trzaskiem runął dąb na ziemię, a naprężone korzenie jak węże na wierzch wyprysły.

Smok. Maczuga rzuciła się na smoka, zaczyna go po głowach z taką siłą grzmotać, że wszystkie jego oczy nagle krwią zabiegły, a smok sam zaryczał, dwunastu głowami zaruszył, dwanaście okropnych paszcz roztworzył, las łap szponistych nasrożył; ale nic to nie pomaga, maczuga ciągle go smaga i tak zręcznie się uwija, że żadnéj głowy nie mija, po każdéj porządnie chlaśnie, że aż syknie, jęknie, wrzaśnie. Już tysiąc razów zadała, krew z zadanych ran chlustała, a smok rady dać nie może: na próżno się rzuca, sroży, tacza się, jęczy i złości, wreszcie w ostatniéj wściekłości, kiedy raz po razie wali, zazgrzytał zębami, buchnął płomieniami, pochwycił się paszczami, wpoił w siebie łap swych szpony, targnął się na wszystkie strony, i tylko się zadymiło, zakurzyło, krew potokami lunęła, i już po smoku było.

Piróg. Królewna ma dla męża swego upiec cudowny piróg, któryby był światły jak słońce, woniejący jak kwiaty itd.; woła więc królewna:

Wiatry wiejące, wiatry szumiące,
　　Z czterech stron świata pospieszcie,
I wszystkie tłumnie pędząc wprost ku mnie
　　Na skrzydłach waszych przynieście:
Z jasnego słońca w miarę gorąca,
Z rosy perlącéj wody ciekącéj,
Z kwiecistych błoni przecudnéj woni,
A z bujnych ziarek mąki pięć miarek, —
Bym jak przyrzekła przez noc upiekła
Piróg dla swego męża lubego.

I powstał piróg lekki jak puch, pulchny jak dłoń, biały jak śnieg, a tak smaczny, że porównać go z niczém nie można.

Poetyczne wyrażenia. Królewna mówi do swego męża: gdy się pytać będą, dla czego mnie nie ma, a naówczas deszczyk pruszyć zacznie, powiesz, że twoja żona wnet przybędzie, bo już się rosą majową myje; a gdy błyskawica błyśnie, powiesz, że się stroi, a gdy zagrzmi, że już jedzie.

Cud-dziewica, piękna królewna. Pośród siedmiu panien stoi cud piękności, prześliczna córa Światłowidy, jakiéj ani oko widziało, ani ucho słyszało; i stojąc wdzięcznie się uśmiecha, promieniami słońca patrzy, wonią róż oddycha.

Koń nie koń, cudo koni. Przybiegł koń lekki, piękny i silny; oczy jak gwiazdy, nozdrza płomienne, grzywa jak chmura, słowem koń nie koń, cudo koni.

Sierota, królewna, cudo piękności „Wszyscy myślą, co z królewską córką i z służebnemi pannami się stało: pewnie z głodu lub chłodu poumierały, zwierzęta je poszarpały, ptaszęta pokłóły, bujne liście zasypało, białe śniegi zawiały. Nie stało się jednak ni to ni owo, bo nad sierotą Bóg z kaletą. Rośnie córka królewska: o świcie poranne zorze je budzą, rosy i dżdże umywają, wiatry bujne kosy zaplatają, zorze wieczorne spać układają, zielone dąbrowy szumem usypiają, gwiazdy w nocy straż trzymają, króliki puszkiem ciałko ogrzewają, a pszczółki miódkiem ją karmią. I urosła sierota królewna, cud-dziewica: czoło jasne jak księżyc, ustka rumiane jak pączek róży, a takie miodowe, że gdy słówko wyrzekną, jak perełkami sypną — zasłuchać się trzeba; a oczy, oczy! kiedy spojrzą łaskawie, to jakbyś tonął w roskoszy; ale niechże gniewnie spojrzą — strachem cię przejmą i w lód zetną.“ Jakież piękne, bujne, malownicze, wyrażenia i opisanie!

Często dziwne, nadzwyczajne pomysły znajdujemy w powiastkach ludowych, a opisy choć w prostych ramach, ale wykończone. N. p.

„Stało się, że pewnego razu w jednym kraju wszystko nagle wśród dnia zasnęło, wszystkich ujął od razu sen nieprzespany. W pałacu królewskim była wielka cisza, bo wszyscy jak stali albo siedzieli nieprzespanym snem usnęli i śpią: król z podniesionym do wiwatu kielichem, wojewoda z niedokończonym w gardle raportem, goście z przełkniętym do połowy kęsem lub z nieskończoną na pół rozmową. — A nietylko pałac i stolica, ale nawet kraj cały śpi w nieprzespanym śnie pogrążony: oracz z zamachniętym na woły biczem, żniwiarze z założonemi do cięcia sierpami, pasterze z uśnionemi w połowie drogi trzodami, myśliwy z zapalonym na panewce pro-

chem; słowem ptaki usnęły wśród lotu, zwierzęta w biegu, woda w płynieniu, wiatr w powiewie, ludzie w pracy i zabawie; — nigdzie brzęku ni szmeru, nigdzie głosu ni ruchu, wszędzie cisza, martwość, sen.

„Wtém, gdy cudownie zagrał rybak na cudownéj gęśli, wszystko się wnet poruszyło, zakrzątało, ożywiło, tak jak przed uśnieniem było: król kończy toast wniesiony, wojewoda raportuje, goście wśród rozmów ucztują, służba swą powinność pełni, słowem wszystko najzupełniéj tak się dzieje, jak gdyby bal królewski ani na chwilę przerwanym nie był. A jak w pałacu tak w stolicy, tak w kraju całym, wszystko co przed chwilą spało, ocknęło się, zakrzątało: oracz w skiby rolę kraje, rybak sieć swą wydostaje, kosarze ścielą pokosy, żniwiarze tną plenne kłosy, myśliwy zaś jak to lubił, palnął w lot i kaczkę ubił; słowem woda płynie jak płynęła, wietrzyk zwolna powiewa, nucą ptaki, szumią drzewa, kmieć śpiewa w pracy i znoju; dbając o roskosz i zdrowie gwarząc bawią się panowie.“

Podobnych pomysłów, poetycznych obrazów, porównań, opisów, wyrażeń moglibyśmy nieskończoną ilość z wiejskich gadek, a cóż dopiero z piosnek, legend, dumek przytoczyć.

Celem urozmaicenia opowiadania wprawni opowiadacze przeplatają, jakeśmy to nawet i na przytoczonych wyjątkach widzieli, mowę swoją wierszami, lekkiemi, krótkiemi, jakby od niechcenia, często także zagadkami, które odznaczają się zwięzłością i trafnością, n. p.:

Bez nóg idzie, bez rąk bije,
Ciągle się rusza, a jednak nie żyje

Nie ptak, nie gad, nie owad, nie zwierzę,
A całego domu strzeże.

Co to za rycerz, co chodzi w kirysie,
Z niego potrawy stawiają się w misie,
Dwie rohatyny przy swym boku nosi,
Zawsze w pław płynie, o przewóz nie prosi.

Bieży, bieży koło wybrzeży,
O jedném uszku, w stalowym kożuszku
Z lnianym ogonkiem.

Chodzi bez nóg, macha bez rąk,
Rusza się bez ciała.

Dwa końce ostro ścięte,
Drugie dwa w pierścienie zgięte,
Przez środek goździem przejęte.

Choć języka nie posiadam,
Wiernie jednak odpowiadam,
Nikt mię nie widzi na świecie,
A każdy mnie słyszy przecie.

Ni mię ogień oświeci, ni szczotka wymiecie,
Ni malarz zamaluje, ani mularz zamuruje.

Święta Urszula perły rozsuła,
Miesiąc widział nie powiedział,
Słońce wstało pozbierało. itd. *)

W powiastkach ludowych, jak w mitologii greckiéj, występują często uosobione siły, n. p. wiatr pokochał piękną królewnę i zaniósł ją na wysoką górę do pałacu stojącego na kurzéj stopie; mróz, stryj wiatru, zmówił się ze słońcem itp.

W powiastkach cudownie rozmawiają: słońce mieszkające na krańcu ziemi w brylantowym pałacu, gdzie matka jego przędzie złote nici, niby złociste promienie; rozmawiają: miesiąc mieszkający na odludnéj pustyni, wiatr, mróz, czas staruszek, złote rybki, cudowne konie latające wyżéj lasów szumiących, niżéj chmur pływających, kruki znoszące cudowną wodę odmartwiającą itd.

Chociaż w baśniach dziwne przygody i niebezpieczeństwa bohaterów są urojane, fantastyczne, są jednakże tak zajmująco opowiadane i tak płynnie, że słuchacz drży o los biednych sierot, zaklętych dziewic, pięknych królewnych i królewiczów; lecz dobrym Bóg zawsze w pomoc przychodzi a najczęściéj ratuje nieszczęśliwych przez mądrych kmiotków.

Te uwagi same nam się nasunęły, gdyśmy czytali obszerny zbiór powiastek ludowych w 4 tomach pod tytułem: „*Bajarz polski*, *zbiór baśni*, *powieści i gawęd ludowych* „*opowiedział A. J. Gliński. Wilno, w drukarni gubernialnéj*. 1853.“

*) Rozwiązanie tych zagadek będzie w przyszłym poszycie Sz.

Powyższe ustępy z powiastek, któreśmy przytoczyli, wszystkie prawie wyjęliśmy z „Bajarza polskiego," którego polecamy jako przyjemną, niewinną i pouczającą lekturę dla wieku młodego, lubiącego cuda i dziwy, zdolnego przyjmować wrażenia poetyczne. Autor, czyli raczéj zbieracz baśni, pan Gliński, zdaje nam się wiernie powtórzył opowiadanie ludowe; nie ubarwiał powiastek własnym wymysłem, bo i na cóż je ubarwiać, kiedy same z siebie i tak są już bardzo poetyczne. Czytając „Bajarza" zdawało nam się, żeśmy się wrócili w wiek dziecinny, kiedy z niesłychaném zajęciem słuchaliśmy podobnych a bodaj czy nie tych samych opowiadań wieśniaczych. W „Bajarzu" nie spotkaliśmy nic zdrożnego dla młodych serc.

Dla przykładu powtórzymy w *Szkółce* kilka z powiastek zawartych w zbiorku pana Glińskiego. E. E.

BAŚŃ

o Jasiu Głuptasiu, wieszczym Siwku Złotogrzywku, Kaczce Złotonosce i Świńce Perłosypce.

(Bajarz polski — tom I. — baśń druga.)

Nie za trzydziewiątém państwem, nie w trzydziesiątém królestwie, lecz we własnym naszym kraju, był sobie prostak chłopek, z pracowitemi rękami, dobrém sercem i rozumną głową.

O wielu dziwnych rzeczach on wiedział, a że o wielu jeszcze dziwniejszych dowiedzieć się pragnął, gdy więc jakoś sam na sam zeszedł się z djabłem, obok go siebie posadził, flaszę wódeczki postawił, i tak go podpoił i na słówko wyciągnął, że się o wszystkich tajemnicach dowiedział i cuda później wyrabiał.

A miał on trzech synów: dwaj starsi byli rozumni, a trzeci, najmłodszy, Jaś głuptaś, głupi, tylko nie głupotą zamorską lub pańską, ale prawdziwą chłopską, lepszą niż rozum niemiecki.

Żyli oni, żyli, i kiedy trzéj synowie już dorodni byli, przyszła pora ich ojcu, świat ten pożegnać i z dziatkami się rozstać.

Przywołuje ich więc do siebie i rzecze:

— Dziatki moje kochane, sokolęta moje drogie! wybił już dla mnie czas woli Bożéj, trzeba na wieki rozstać się z wami; przyjmcie więc odemnie ostatnie błogosławieństwo, pamiętajcie na moją duszę, żyjcie z sobą w zgodzie, brata swojego Jasia głuptasia nie krzywdźcie, niech się wylęga jak lubi na piecu, może to przejdzie z czasem. Kiedy umrę i ciało w ziemi złożą, przez pierwsze trzy nocy niech każdy z was kolejno na moją mogiłę przyjdzie, i czuwając na niéj do świtu, niech się gorliwie za mą duszę modli.

Tak rzekł, westchnął i skonał.

Trzej bracia nad zwłokami swego ojca gorzko płakali, uczciwie go pochowali, sutą stypę wyprawili, spadkiem się wnet podzielili, i już na spoczynek udać się mieli, gdy Jaś głuptaś starszego brata zapytał:

— Czemu bracie nie idziesz na cmentarz, na grób naszego ojca; wszakże to twoja dziś koléj?

— Coś mi się nie chce, nie pójdę, i na cóżby się to zdało? Idź kiedy masz ochotę, ja w domu zostanę.

Jakże ostatniéj woli ojca nie spełnić?... pomyślał głuptaś, i choć mu na piecu było najmiléj, poszedł jednak na cmentarz, nad grobem ojca stanął, zdjął czapkę, ukląkł i modlić się zaczął.

Wtém o północy, po krzyżach i drzewach cmętarnych nagle wietrzyk zaszumiał, rozległ się łoskot podziemny, odwalił się kamień grobowy, i stary ojciec głuptasia staje w bieli i pyta:

— Kto téj nocy odbywa straż na mym grobie?

— Ja, ojcze, syn twój, Jaś głuptaś.

— Czemu starszy brat twój nie przyszedł?

Głuptaś milczał, bo oskarżycielem być nie chciał, a ojciec rzekł daléj:

— Dziękuję ci miły synu, żeś się nie lenił poświęcić jednéj nocy zmarłemu ojcu; dam ci za to podarek, żebyś mię częściéj przypominał i o duszy mojéj pamiętał.

To mówiąc, obrócił się twarzą ku stronie zachodniéj i cichym głosem, jakby spokojny strumyk po kamykach zamruczał, wymówił:

Kaczko, kaczko złotonoska!
O którą się wielu troska,
Lecz jeden tylko posiada;
Oto ten, co tobą włada,
Chce, byś wnet stanęła przed nim.

Cichy wietrzyk powiał z zachodu, zaszumiało po nad cmentarzem i spuściła się przed starcem — nie cyranka, nie krakwa, ale kaczka złotonoska.

Patrzy Jaś głuptaś i oddziwić się nie może, tak piękna: na główce piórka złotawe, oczki jak gwiazdki jaskrawe, szyjka jak tęcza, a cała, pawiemi okami pała; przejdzie się po ziemi, przysiądzie, niby się ukłoni i jajko szczerozłote uroni.

Tę kaczkę złotonoskę, odezwał się starzec, weź odemnie w darze, kochany synu! Kiedy będziesz potrzebował czego, przywołaj ją ku sobie słowami, któreś słyszał, naniesie ci jaj złotych, ile zechcesz, a za każde dostaniesz, czego tylko zażądasz. Idź teraz z Bogiem do domu i nic nie mów nikomu.

Zapiały ranne koguty, powrócił starzec do grobu, uleciała kaczka złotonoska, a Jaś głuptaś jeszcze się pomodlił i o świcie do domu powędrował.

Nadeszła noc druga, średni brat głuptasia polenił się spełnić ostatnią wolę ojca, i Jaś znowu na cmentarz poszedł.

O północy zaszumiał wiatr po grobach, zaruszyła się świeża mogiła, powstał starzec i pyta:

— Kto jest na moim grobie?

— Ja ojcze, głuptaś.

— A średni brat nie miał czasu? i on także pogardził wolą umierającego ojca!... niechże i jego cząstka do ciebie należy.

I obrócił się twarzą ku stronie południowéj i cichym głosem, jakby letni wietrzyk zaszumiał po drzewach, wymówił:

Świńko, świńko srebrnoszczecinko!
Spojrz po za siebie,
Potrzebuję ciebie —
Wnet stań tu przedemną!

Zaszumiał wiatr z południa, zaszeleściły liście na drzewach i świńka srebrnoszczecinka przed zmarłym starcem stanęła.

Jaś głuptaś patrzy zdziwiony, a przed nim świńka srebrną szczecinkę najeża jakby igiełki, a z każdego włosa, jak poranna rosa, sypią się jasne perełki.

Oto masz, mój synu, drugi dar od ojca, przyda ci się: za jedno takie ziarnko, głupca nazwą ludzie rozumnym, a nikczemnika poczciwym! Idź do domu i nic nie mów nikomu.

Świnka srebrnoszczecinka perłosypka, na dany znak odleciała, a wtém ranne koguty zapiały, starzec znikł w grobie, a głuptaś pomodlił się i odszedł.

Za nadejściem nocy trzeciéj, Jaś głuptaś z pieca zeskoczył, udał się na cmentarz, stanął przed grobem ojca, zdjął czapkę ukląkł i modlił się.

O saméj północy zaszumiało po nad cmentarzem, zaskrzypiały krzyże nadgrobne, poruszyła się mogiła, stanął przed głuptasiem poważny starzec, i pyta:

— Tyżeś to mój synu najmłodszy?

— Ja, ojcze!

— I zawsze ty tylko. A więc tamci nieuszanowali ostatniéj woli konającego ojca! Bądźże ty Jasiu potrzykroć szczęśliwy, szczęściem serca, rozumu i duszy.

To mówiąc, obrócił się twarzą ku wschodowi i donośnym głosem, jakby odgłos grzmotów rozlegał się w dali, wymówił:

Wieszczy siku, złotogrzywku!
Ptakiem nie koniem,
Wichrem nie błoniem,
Wnet przyleć tu do mnie!

Zaszumiały i zahuczały wiatry ze wschodu, ziemia zadrżała, kopyta zatętniały, błyskawice zabłyskały, i ukazał się koń nad konie, podziw świata: leci lotem orla, z nózdrz mu płomień bucha, z oczu skry się sypią, a z uszu kłęby dymu walą!

Przybiegł do starca, stanął ják wryty, ludzkim głosem pyta:

— Co, starcze, rozkażesz?

Starzec w lewém uchu konia zniknął, a z prawego się ukazał takim rycerzem, że ani oko widziało, ani ucho słyszało!

— Synu kochany, oto mój skarb ostatni! władaj nim, a będziesz szczęśliwy i mądry, sławny i bogaty. Gdy ci się koń ten potrzebnym stanie, zawołaj go, jakoś słyszał, i wnet będzie przed tobą; bez potrzeby go jednak nie używaj, przed ludźmi się nim nie przechwalaj. Żegnam cię miły mój Jasiu! więcéj na grób mój nie przychodź, wszystko już między nami skończone! rozstajemy się na wieki, żegnam!...

Zapiały ranne koguty, zawarł się starzec w zimnym grobie, znikł wieszczy siwek złotogrzywek, a Jaś głuptaś postał jeszcze czas jakiś na cmentarzu, powtórzył w myśli wszystko, co mu ojciec mówił, ukląkł na grobie, pomodlił się, zapłakał, odszedł do domu, położył się na piecu, wylega się na nim i myśli, co zrobić z darów ojca?

Gdy się to działo, panował wówczał w tym kraju król potężny, u którego były trzy córki: jedna córka, jak zorza poranna; druga córka, jak zorza wieczorna, a trzecia córka, jak miesiąc jasny, i już nad tę trzecią, piękniejszéj w świecie nie było.

Dwie starsze królewny były zamężne, a trzecia, najmłodsza, królewna Różolica, dziewiętnastą już wiosnę zaczęła, i jeszcze się jéj nikt nie podobał, za nikogo iść za mąż nie chce!

Król prośbą i groźbą nakłaniał ją do wybrania męża, wreszcie zniecierpliwiony, sam wybrać sobie zięcia postanowił.

Ogłasza więc po kraju i po przyległych mu państwach, że tego a tego dnia, na dziedzińcu pałacowym odbędą się igrzyska rycerskie, a kto się na nich siłą i męstwem odznaczy, dla tego swą córkę, królewnę Różolicę przeznaczy.

Gruchnęła wieść o tém po obcych ziemiach i kraju; dowiedzieli się o niéj bracia głuptasia, i naradzają się, jak i kiedy na owe igrzysko rycerskie pójdą.

Słysząc to głuptaś, prosi, by i jego wzięli tam z sobą.

— Gdzie tobie głupcze! odpowiedzieli bracia, inna rzecz nam, rozumnym!

— Mniejsza o to, pomyślał głuptaś, potrafię być tam i bez was.

Nadszedł dzień na igrzyska naznaczony; wszystkiemi drogami spieszą do stolicy tłumy zapaśników i widzów, a w téj liczbie i bracia głuptasia.

Zlazł też z pieca i głuptaś, obraca się ku stronie wschodniéj, i bohaterskim głosem zawoła:

Wieszczy siwku, złotogrzywku!
Ptakiem — nie koniem,
W chrem — nie błoniem,
Wnet przyleć tu do mnie!

Zaszumiały wiatry ze wschodu, ziemia zadrżała, kopyta zatętniały, błyskawice zabłyskały, i ukazał się koń nad konie, podziw świata, wieszczy siwek złotogrzywek: leci jak wicher, z nózdrz mu płomień bucha, z oczu skry się sypią, a z uszu kłęby dymu walą. Przybiegł, stanął jak wryty, i ludzkim głosem pyta:

— Co rozkażesz, głuptasiu?

— Chcę, mój koniu, jechać na igrzyska rycerskie.

— Przez lewe więc ucho wleź, a przez prawe wyleź.

I Jasiek, głuptasiek przez lewe ucho konia wlazł, prędko się umył, uczesał, ubrał, podjadł, napił się; przez prawe wylazł, i takim ukazał się rycerzem, że ani oko widziało, ani ucho słyszało; pancerz cały złocony, hełm stalowy srebrzony, miecz bohaterski u boku, a ostra kopia w toku; wskoczył na wieszczego siwka złotogrzywka, puścił się przez pole jak strzała, i lecąc wyżéj lasów szumiących, niżéj chmur pływających, w kilka minut do stolicy przybył, i w ciżbie na placu przedpałacowym stanął.

Około niego jadą królewiczowie, rycerze i panowie, a każdy się zatrzymuje, ciekawie się weń wpatruje; przypatrywali się też mu i podziwiali go, rodzeni jego bracia.

Rozpoczęły się igrzyska rycerskie: na paradny ganek wyszedł król z królewną Różolicą, przeciągają przed nimi świetne szeregi królewiczów, bohaterów i junaków, a w téj liczbie przejeżdża i Jaś głuptaś.

I dziwi się król, coby to był za bohatér?

A głuptaś jak spojrzał na królewnę Różolicę, na jéj liczko rumiane, na jéj oczki błękitne — tak w nim młodzieńcza krew zawrzała, tak coś w sercu załechtało, a oczy do cudownego oblicza królewny tak przylgły, że oderwać ich od niéj nie mógł.

I siedzi na koniu nieporuszony, jakby z żelaza ukuty! patrzy wielkiemi oczyma, a nic nie widzi, gdy tymczasem inni

rycerze kopie w utarczkach kruszą, mieczami nacierają, w pojedynczych harcach zawzięcie się ścierają, cudów zręczności i siły dokazują, i nakoniec jeden z bohaterów, który wszystkich pokonał, przejeżdża się z tryumfem po placu, i nie znajduje przeciwnika dla siebie.

Wtém głuptaś ocknął się z zadumania, przypomniał o co rzecz idzie, jaka nagroda zwycięzcę czeka, i jak sokoł na jastrzębia, rzuca się na bohatera zwycięzcę!

Spostrzegłszy to przeciwnik, zatrzymał konia, umocnił się w łęku, potrząsł kopią w ręku, i z szyderczym uśmiechem spotkania czeka.

I zawarli się przeciwnicy...

Wieszczy siwek złotogrzywek jak się wespnie, jak wierzgnie, konia przeciwnika z nóg zwala, a głuptaś w silne ramiona jeźdźca chwyta, z siodła go wyrywa, i jak wicher na wieszczym siwku przed ganek leci, i u nóg królewny na klęczkach go stawi.

— Zięciu mój! — zawoła król w uniesieniu; królewna Różolica białe ku niemu rączki wyciąga, a z tłumu ludu na cześć nieznanego bohatera rozlega się okrzyk tryumfu!...

Zaigrała krew w sercu głuptasia, do głowy uderzyła, i tak mu się miło, tak błogo zrobiło, że o mało nie zemdlał z rozkoszy; zawrócił więc złotogrzywka, kopnął z przed ganku. zniknął wszystkim z przed oczu i znowu sobie na piecu leży.

Powrócili też bracia głuptasia, opowiadają o dziwnym bohaterze na cudownym koniu, a głuptaś pilnie słucha i milczy.

Tymczasem król wysłał gońców na wszystkie strony, aby się wywiedzieć, kto był ów bohater, który jedynym zwycięzcą na placu igrzysk zostawszy, nie dopomniał się o nagrodę i zniknął nagle.

Wszystkie jednak starania bez skutku zostały: nikt nie mógł zaspokoić ciekawości króla, a nadewszystko pięknéj królewny, która pozbywszy się odtąd zwykłéj obojętności, za zniknionym rycerzem tęsknić zaczęła.

A że panny sądzonego długo czekać nie lubią, król więc radę zwołuje i takie postanowienie wydaje: na przedpałacowym placu postawić dwa wysokie słupy, na jedwabnéj nici

zawiesić pierścień królewny, a kto go w pędzie na koniu dostanie, ten mężem królewny zostanie.

Rozkaz ten po całém państwie wnet obwieszczono, zaczęli się znów wybierać na nowe igrzyska bracia głuptasia.

— Weźcie i mnie z sobą, bracia, niech i ja tam popatrzę, prosił głuptaś, ale mu odpowiedzieli:

— Siedź głupcze na ciepłym piecu, i dziękuj, że cię nikt z niego nie spędza.

I poszli rozumni bracia do miasta, a głuptaś chciał w domu pozostać, lecz że jakaś tajna siła do stolicy go nęciła, wybiegł więc z chatki, obrócił się na wschód i bohaterskim głosem zawołał:

Wieszczy siwku, złotogrzywku!
Ptakiem — nie koniem,
Wichrem — nie błoniem,
Wnet przyleć tu do mnie!

Zaszumiały wiatry ze wschodu, ziemia zadrzała, kopyta zatętniały, błyskawice zabłyskały, i ukazał się koń nad konie, podziw świata, wieszczy siwek złotogrzywek; leci jak wicher, z nózdrz mu płomień bucha, z oczu skry się sypią, a z uszu kłęby dymu walą. I stanąwszy przed głuptasiem, pyta:

— Co rozkażesz, głuptasiu?

— Dobry mój koniu! chcę znowu na igrzyska rycerskie jechać.

To rzekłszy, przez lewo ucho konia wlazł, prędko się umył, uczesał, ubrał, podjadł, napił się, przez prawe wylazł, i takim rycerzem ukazał się, że ani oko widziało, ani ucho słyszało; pancerz cały złocony, hełm stalowy srebrzony, miecz bohaterski u boku, a ostra kopia w toku; na wieszczego siwka złotogrzywka wskoczył, puścił się wichrem wyżéj lasów szumiących, niżéj chmur pływających, i w kilka minut na placu rycerskich igrzysk stanął.

Zebrani na nim królewiczowie, rycerze i panowie, począ się i trudzą, chcąc zawieszony wysoko pierścień królewny Różolicy dostać, ale rozpędzone ich konie i do połowy nawet wysokości dosięgnąć nie mogą.

W tém Jaś głuptaś na swoim złotogrzywku skoczył, pierścień w locie pochwycił, na palec go włożył i podjechawszy

pod ganek pałacu, królowi i pięknéj królewnie głęboki pokłon oddał.

Widząc przed sobą tegoż co poprzednio rycerza, król zdumiał się nieźmiernie, a królewna tak się radością uniosła, że w białe rączki klasnęła i słodkim głoskiem zawołała:

— Rycerzu mój ulubiony, dwakroć zwycięztwem wsławiony, witam ciebie!

Chciał coś odpowiedzieć głuptaś i na piękną królewnę dłużéj popatrzeć, ale serce w nim zadrżało, i już mu się zdawało, że jak śnieg marcowy topnął, na rumaku swym więc kopnął, i za chwilę był na piecu.

I znowu po całém królestwie szukali bohatera nieznajomego, ale wszystkie zabiegi były daremne; aż się król wreszcie rozgniewał, i kazał królewnie Różolicy, by już dłużéj nie czekała i z obecnych królewiczów, męża dla siebie wybrała.

Przelękła się biedna królewna, bo ów rycerz znikniony, tak jéj sercu był miły, że tylko jego chciała być żoną; zaczęła więc ni to ni owo królowi prawić, ale król nogą tupnął, i natychmiast wybierać kazał.

Królewna rada nie rada, do nóg królowi upada i oświadcza, że za tego chyba wyjdzie, kto na trzy jéj zapytania, zdoła dać mędrszą odpowiedź.

Po całym kraju kazał to król obwieścić, i znowu zewsząd na plac przedpałacowy tłumy dążą; byli w téj liczbie i dwaj bracia rozumni, a że i głuptaś napierał się iść z nimi, i jego więc z sobą wzięli.

Głuptaś cieszył się niezmiernie, bo sądził, że w obecności braci, śmieléj na królewnę popatrzy. Włożył nowszą siermiężkę, przepasał się wzorzystym pasem, palec, na którym był ów pierścień królewny, obwinął płatkiem i puścił się w drogę z braćmi.

Przychodzą trzéj bracia do miasta, stają na placu przedpałacowym, przywołują wszystkich na królewskie pokoje, i tylko głuptasia tam nie puścili.

Do przedtronowéj komnaty królewna Różolica weszła, oczyma po zgromadzeniu powiodła, i w liczbie obecnych lubego sobie rycerza nieznalazłszy, zusmucona rzekła:

— Kto chce zostać moim mężem, niech mądrze na te trzy pytania odpowie:

Kto jest w świecie najmędrszy?
Co jest w świecie najsłodszego?
Co jest w świecie najdroższego?

Wszyscy obecni w zdumieniu spójrzeli po sobie, i nikt się nie odzywa; nakoniec z grona królewiczów i bohaterów, jeden występuje, głęboki pokłon oddaje i odpowiada:

— Piękna królewno Różolico! najmędrszym jest ten, kto najwięcéj miast nazdobywał, najsłodszym jest rozgłos sławy, a najdroższy hołd równych sobie!

Odpowiedź ta nie podobała się królewnie, odwraca się więc od królewiczów i rycerzy, a stanąwszy przed możnymi panami, powtarza swe pytania, i jeden z pomiędzy nich tak odpowiada:

— Najmędrszy jest ten, kto serca możnych wymową zjednywa; najsłodsza przyjacielska rozmowa przy winku i powodzenie w miłości; a najdroższe szczęście w kartach, trafny strzał na polowaniu i koń dzielny!

Pokiwała głową królewna, i obróciwszy się do kupców i przemyślników, każe im odpowiadać.

— Najmędrszy ten, odpowiedzieli, kto zły towar za dobry przeda, najsłodsze kupno tanie, a najdroższy zysk znaczny.

Nie w smak poszła i ta odpowiedź, udaja się więc królewna do stojących przy drzwiach chłopków, i powtórzywszy im swoje zapytania, każe odpowiadać:

— Przebacz królewno! odpowiedziało kilku, jeżeli co niedorzecznego powiemy: podług nas, najmędrszy ten, kogo słuchać każą; najsłodszy sen i miód, a najdroższe dzieci i pieniądze.

— Czy wszyscy byli przedstawieni? zapytuje u dworzan królewna.

— Wszyscy, prócz jednego, który choć także wejść żądał, lecz że na głupca wyglądał, musiał przed gankiem pozostać.

— Przywołajcież i tego.

Wchodzi głuptaś, a królewna, skoro tylko nań wejrzała, wnet twarz miłą przypomniała, twarz rycerza, bohatera, a to kmiotek!

— Powiedz mi dobry człowieku, zapytała królewna, kto jest w świecie najmędrszy? co jest w świecie najsłodszego? i co jest w świecie najdroższego?

— Bardzo rozumnie odpowiedzieć nie potrafię, rzekł głuptaś, ale mnie się zdaje, że najmędrszym jest ten, kto się Boga boi, starszych słucha i ze wszystkimi w zgodzie żyje; najsłodszy jest dobry uczynek, a najdroższe zdrowie, spokojność i twa łaska, piękna królewno!

Podobała się ta odpowiedź królewnie Różolicy, i im dłużéj przygląda się głuptasiowi, tém coraz większe upatruje w nim podobieństwo do owego bohatera-kochanka; w tém spójrzy na jego ręce i zapyta:

— Dla czego masz palec obwinięty?

— Skaleczyłem przypadkiem.

— Odwiń i pokaż, zaradzę.

— Ach, nie, królewno! zawołał głuptaś przestraszony, rana bardziéj się rozjątrzy.

Królewna sama wzięła jego rękę, zaczęła palec odwijać, i z pod płachty błysnął jéj pierścień złoty!...

Spójrzała zdziwiona na głuptasia, silnie ujęła go za rękę, przyprowadza przed króla, i mówi:

— Ojcze i królu! oto tego wybieram na męża.

Wszyscy pyszni precz odeszli, i tylko głuptaś pokorny, choć nie mówny, choć nie dworny, lecz ufny w każdéj potrzebie, więcéj w Boga, niż sam w siebie: pozostał w pałacu króla, a piękna królewska córa, następnego wraz wieczora, na męża go poślubiła; pałac i stolica cała, w świetnych ogniach zajaśniała; w dzwony dzwoniono, w trąby trąbiono, z armat strzelano, państwu młodym winszowano, a na lud garściami złoto sypano.

Żyją sobie szczęśliwie miesiąc, żyją drugi i trzeci; młodzi z siebie radzi, i król się cieszy, że i najmłodsza córka już została mężatką; ale mężowie dwuch starszych córek królewskich, zaczęli coś upatrywać do głuptasia i prześladowali go na każdym kroku.

Głuptaś wszystko milczeniem zbywał, ale kiedy dojedli mu już do żywego, pomyślał w duchu: poczekajcie szczwane lisy, pokażę ja, co umiem!

I chwycił za czapkę, wybiegł w pole i zawołał:

Kaczko, kaczko złotonoska!
O którą się wiele troska,
Lecz jeden tylko posiada;
Oto ten, co tobą włada,
Chce, byś wnet stanęła przed nim.

Cichy wietrzyk powiał z zachodu, ukazała się czarna plamka na niebie, i wnet przed Jasiem głuptasiem spuściła się kaczka złotonoska; przeszła się przed nim, ukłoniła, parę szczerozłotych jaj uroniła, i na rozkaz znów odleciała.

Jedno z tych jaj złotych, głuptaś królowi darował, a drugie żonie oddał.

Podziwia król tak kosztowną rzadkość i zapytuje, zkądby ją dostał?

— Tam za polem, za lasem, odpowiedział głuptaś, na łące nadbrzeżnéj, nadybałem kaczkę złotonoskę, która zniosłszy przedemną parę jaj złotych, w zaroślę gdzieś uleciała.

Podobała się królowi kaczka złotonoska, zażądał ją mieć koniecznie, przywołuje więc dworzan i oświadcza, że kto mu ową kaczkę złowi i przyniesie, temu okaże łaskę, jakiéj tylko zażąda.

Dowiedziały się o tém starsze córki królewskie, błagają mężów, żeby dla zaskarbienia względów króla, postarali się koniecznie o kaczkę złotonoskę.

I oba zaczęli się wybierać w drogę, a tymczasem głuptaś wcześniéj na nadbrzeżną łąkę przybył i zawołał:

Wieszczy siwku, złotogrzywku!
Ptakiem, nie koniem,
Wichrem, nie błoniem,
Wnet przyleć tu do mnie!

Zaszumiało, zahuczało, i stanął przed nim wieszczy siwek złotogrzywek.

— Co rozkażesz głuptasiu?

— Dobry mój koniu, chcę byś mi czas jakiś posłużył.

I przez lewe ucho wlazł, prędko się umył, uczesał, ubrał, podjadł, napił się, przez prawe wylazł i takim ukazał się rycerzem, że ani oko widziało, ani ucho słyszało; pancerz cały złocony, hełm stalowy srebrzony, miecz bohaterski u boku,

a ostra kopia w toku! Dzielnego rumaka na łąkę puścił, stanął na zachód i zawołał:

Kaczko, kaczko złotonoska!
O którą się każdy troska,
Lecz jeden tylko posiada;
Oto ten, co tobą włada,
Chce byś wnet stanęła przed nim!

Przyleciała kaczka złotonoska, przeszła się, niby się ukłoniła, parę szczerozłotych jaj uroniła, a głuptaś wziął ją w ręce, i położył się na łące.

Przychodzą obaj jego szwagrowie, parę jaj złotych na łące znajdują, spostrzegają pasącego się wierzchowca i spoczywającego przy nim rycerza z kaczką złotonoską w ręku; zbliżają się więc ku niemu i mówią:

— Czy nie przedasz nam rycerzu téj kaczki, dobrze ci zapłacimy za nią.

— Za srebro i złoto nikomu jéj nie przedam, i chyba temubym ją tylko oddał, ktoby mi za nią urznąć sobie palec z nogi pozwolił.

Potargowali się kupujący, ale widząc że rycerz uparty, starszy z nich rzekł nakoniec:

— Jeżeli wreszcie inaczéj być nie może, niech i tak będzie; bierz palec, jeśli ci on tak miły, a dawaj kaczkę złotonoskę.

Głuptaś mieczem palec odrąbał, w zawinięciu do kieszeni go schował, i z uśmiechem kaczkę oddał.

Powracają do domu szczęśliwi nabywcy, i starszy z nich opowiada, iż musiał z dwoma rycerzami walczyć i ich pokonać, nim kaczkę złotonoskę zdobył, którą wdzięczném sercem królowi ofiaruje.

— Proś, o co chcesz, rzekł król do niego, wszystko ci uczynię.

— Chcę być udzielnym księciem.

Król go natychmiast księciem mianował, a głuptaś więcéj jeszcze od szwagrów swoich znosić musiał, gdyż mu bardziéj dokuczali, w obec żony głupcem zwali, palcami go wytykali.

Wyszedł więc głuptaś w pole i stojąc na południe, bohaterskim głosem zawołał:

Świnko, świnko srebrnoszczecinko!
Spójrz po za siebie,
Potrzebuję ciebie,
Wnet stań tu przedemną!

Zaszumiał wiatr z południa, zaszeleściły liście na drzewie, i świnka srebrnoszczecinka perłosypka stanęła przed głuptasiem, strzęsła szczecinką srebrzystą i posypały się jak grad perły.

Pobiera je głuptaś, uwalnia świnkę złotoszczecinkę, powraca sam do domu i królowi je oddaje, a ten uradowany zawołał:

— Tak ładnych i bujnych pereł, jak żyję nie widziałem! zkąd ich dostałeś?

— Dostałem od świnki srebrnoszczecinki perłosypki, która się czasem na błoniach naszych zjawia.

— Ktoby tę świnkę srebrnoszczecinkę perłosypkę złowił i mnie darował, temubym dał wszystko, czegoby zażądał.

Znowu starsi zięciowie królewscy, nazajutrz rano wstali, na przyległe błonia powędrowali, a Jaś głuptaś pierwiéj od nich tam przybył, i wieszczego siwka złotogrzywka i świnkę perłosypkę przyzwał, i na szwagrów w rycerskiem ubraniu czeka.

Wkrótce obaj przybyli, na błoniach rycerza zoczyli, w targ z nim poszli, i młodszy z nich kosztem palca u nogi perłosypkę nabył, królowi ją oddał i także udzielnym księciem został.

Po tak szczęśliwym wypadku obaj głuptasia szwagrowie, czy sam na sam, czy przy świadku, tak go w każdém lżyli słowie, że jak bożego skarania, unikał z nimi spotkania.

To ich tak uzuchwaliło, że już dla nich mało było z samego głuptasia szydzić, zaczęli też nienawidzieć, prześladować i szkalować jego żonę, że biedna aż zapłakała.

Zatém miarka się przebrała i głuptaś swych szwagrów dumnych, niby walecznych, rozumnych, upokorzyć postanowił.

Wkrótce też nadeszła zręczność.

Były imieniny królewskie, na które król sprosił mnóstwo gości, sutym obiadem ich uraczył, a po obiedzie, wyszli

wszyscy na ganek, i zaczęła młodzież popisywać się przed starszymi ze zręczności i siły: jedni po dziedzińcu na koniach czwałowali, drudzy parkany na nich przesadzali, inni przez szerokie rowy skakali, ale najbardziéj starsi zięciowie królewscy dokazywali, gdy tymczasem głuptaś stał sobie spokojnie i myslił.

— A tyż Jasiu głuptasiu, czemu nie pokażesz, co umiesz? odezwali się do niego z szyderstwem szwagrowie, śmiać się nam chce, a tyś na śmieszka jedyny!

Głuptaś drgnął z gniewu, lecz milczał, spójrzał tylko na królewnę Różolicę, a spostrzegłszy, że na jéj oczach łzy się kręcą, odpowiedział:

— Rozśmieszę, jeśli chcecie, ale potém płakać będziecie.

I zbliżył się do konia królewskiego, na którym, prócz samego króla, nikt jeździć nie mógł, tak był nieunoszony i dziki; wskoczył na niego, siadł twarzą do ogona i nogami po bokach zamłócił. Zerwał się koń oburzony, wspiął się, wierzgnął i jak wicher poniósł się po dziedzińcu.

Krzyknęła z przestrachu królewna Różolica, a dwaj jéj szwagrowie śmiejąc się do rozpuku, wołają:

— Trzymaj się głuptasiu ogona, bo spadniesz!

A głuptaś konia kolanami ścisnął, ręce na piersi założył, i siedzi nieruchomy, jak gdyby do konia był przyrosły.

Poczuł rumak dobrego jeźdźca, okryty potém i pianą, przestał unaszać, zatrzymał się przed gankiem a głuptaś zręcznie zeskoczył i przy swéj królewnie stanął.

— Ach zięciu miły, zawołał król do niego, nie wiedziałem, żeś jeździec tak dzielny.

— Ojcze i królu, odpowiedział głuptaś, o wieluś rzeczach nie wiedział, a teraz się dowiesz.

To mówiąc, obrócił się na wschód, i głosem bohaterskim zawołał:

Wieszczy siwku, złotogrzywku!
Ptakiem — nie koniem,
Wichrem — nie błoniem,
Wnet przyleć tu do mnie!

Zaszumiały i zahuczały wiatry ze wschodu, kopyta zatętniały, ziemia zadrżała, błyskawica zabłyskała i przed Ja-

siem głuptasiem stanął koń nad konie, podziw świata, wieszczy siwek złotogrzywek; skoczył ku niemu głuptaś, zniknął w lewém uchu, prędko się umył, uczesał, ubrał, i z prawego takim się rycerzem ukazał, że ani oko widziało, ani ucho słyszało! i wskoczywszy na dziarskiego rumaka, obraca się do króla i rzecze:

— Teraz ojcze i królu, dowiedz się, kto był zwycięźcą na pierwszych igrzyskach rycerskich, i kto był zdobywcą pierścienia królewny Różolicy!...

I król poznaje owego bohatera, którego tak długo szukał napróżno; a głuptaś tak daléj mówi:

— Dowiedz się także królu, czyją własnością są podarki, z których się tak przechwalają starsi twoi zięciowie!

I wymówił wiadome już nam słowa, przyleciała do niego kaczka złotonoska i przybiegła świnka srebrnoszczecinka perłosypka.

— A oto królu dowód waleczności, mówił głuptaś, ukazując dwa palce ucięte, kosztem których ci zięciowie nabyli te podarki odemnie; rozkaż im zdjąć obuwie, a sam się królu przekonasz.

Rozkazał im król zdjąć buty, i u każdego na lewéj nodze po jednym palcu brakło; odeszli więc zawstydzeni, i z księztw swych byli zrzuceni, a głuptaś pożegnał się ze swym wieszczym siwkiem złotogrzywkiem, podziękował mu za wierną jego służbę, i razem z kaczką złotonoską i świnką srebrnoszczecinką perłosypką i odlecieć pozwolił.

A że przez prawe ucho wiernego siwka złotogrzywka napowrót nie przelazł, odtąd więc głuptaś na zawsze rozumnym pozostał, a król tegoż jeszcze wieczora swym go następcą mianował, wspaniałą ucztę dla niego wydał, i wszyscy co na niéj byli, bawili się, jedli, pili; i ja chociaż nieproszony, byłem także ugoszczony, że aż wspomnieć człeku miło, jak tam w bród wszystkiego było!

Dodatek Literacki.

No 1.

SŁÓWKO WSTĘPNE.

Do każdego poszytu **„Szkółki“** postanowiliśmy odtąd dołączyć **„Dodatek Literacki,“** w którym chcemy podawać bieżące wiadomości o piśmiennictwie naszém, a mianowicie o wszystkich dziełach, dziełkach i pismach polskich wychodzących tak u nas, jako też w Warszawie, Wilnie, Kijowie, Petersburgu, Krakowie, Galicyi i gdziekolwiek za granicą. Prosimy przeto nakładców, księgarzy, literatów, amatorów o łaskawą w téj mierze pomoc, a szczególnie o doniesienia. Gdybyśmy zaś pomocy takowéj nie potrafili znikąd pozyskać, podawać będziemy chociażby tylko katalogowy spis wyszłych dzieł i książek, o jakich wiadomość nas dojdzie, czy to na drodze księgarskiéj, czy też przez pisma peryodyczne; a w najgorszym razie udzielać będziemy regularnie wykaz chociażby tylko samych utworów piśmiennych u nas prasę opuszczających.

Sądzimy, że podawane wiadomości tego rodzaju, niechajby były najkrótsze, zawsze dla wszystkich czytających są pożądanemi.

NOWOŚCI LITERACKIE.

KIJÓW. Alexander Groza donosi w Gazecie Warszawskiéj, że A. Marcinkowski oddaje do druku dwie nowe prace, t. j.

„Lud ukraiński“ w 2 tomach i

„Powieść z pamiętników kuratora magazynów.“

Jeżeli się nie mylimy, to zajmujące ustępy z pamiętników kuratora magazynów czytaliśmy już w „Dzienniku Warszawskim.“

Daléj donosi p. Groza, że równie M. Grabowski oddaje do druku drugą część „**Koliszczyzny i Stepów**“ i dwie nowe **powieści**, a

M. Jezierski **powieść** w 1 tomie i 2 tomy „**Historyi literatury polskiéj.**“

PETERSBURG. Czynnego przedsiębiercy pana B. M. Wolffa zamiar wydania **naszych łacinskich historyków w przekładzie** — jak donosi „Gazeta Warszawska“ — przychodzi do skutku, a „**Skarbniczek poetów polskich**“ wkrótce ma wstąpić w handel księgarski.

Nakładem B. M. Wolffa, prócz innych rzeczy, wyszły cotylko dwie nowe książki z pod prasy:

„**Wspomnienia z lat dziecinnych zebrane dla mojéj córki**,“ przez Matkę Drogosławę, w 2 tomach i

„**Sukcesye i prace**,“ powieść przez Józefę Śmigielską, także w 2 tomach.

Obiedwie książki znajdują się już w handlu księgarskim w Poznaniu.

— Znakomity krytyk polski, p. A. Tyszyński z Warszawy, autor bardzo chwalonego przez Wiszniewskiego (w I. tomie Hist. Liter. polsk.) dziełka „**Amerykanka w Polsce**,“ ogłosił drukiem w r b. rozbiory i krytyki najważniejszych z ostatnich lat polskich dzieł filozoficznych, beletrystycznych, historycznych, gramatycznych i tłumaczeń, p. t.

„**Rozbiory i krytyki**“ przez A. Tyszyńskiego. Petersburg. Nakładem B. M. Wolffa. 1854. Tomów 3.

Dzieło to jest bardzo ważnym przyczynkiem do najnowszéj historyi literatury polskiéj.

WILNO. Dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że

„**Dzieje Literatury w Polsce od pierwiastkowych do naszych czasów**“

Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli) mają być jeszcze w roku bieżącym dokończone i wyjść z pod prasy.

Młody ten i utalentowany pisarz, wyborny tłumacz naszych poetów łacińskich, ogłosił drukiem dwa nowe dziełka:

„Gawędy i rymy ulotne Władysława Syrokomli;“ poczet nowy, z portretem autora, i

„Wędrówki po moich niegdyś okolicach,“ czyli „Wspomnienia, studia historyczne i obyczajowe“ przez Władysława Syrokomlę.

Z rzeczonych „Wędrówek“ podamy w „Szkółce“ kilka zajmujących wyjątków o Radziwiłłach i Nieświeżu.

WARSZAWA. Nakładem autora wyszły na widok publiczny z drukarni Stanisława Strąbskiego nowe

„Pisma różne wierszem Stanisława Jachowicza.“

Pan Jachowicz położył wielkie zasługi jako niezrównany bajkopisarz dla dzieci, umiejący w najmłodsze serca zaszczepiać czyste zasady moralności, i jako filantrop, który założył wzorową szkółkę dla rzemieślników w Warszawie i usilném staraniem w zbieraniu składek, jako drugi Boduin, takową uposażył kapitałem dziś już 150,000 zł. wynoszącym i domem będącym własnością téjże szkoły. Pan Jachowicz był przeszło lat trzydzieści nauczycielem języka polskiego w znaczniejszych domach Warszawy i w wielu, bardzo wielu rodzinach rozpowszechniał gruntowną znajomość mowy ojczystéj. Obecnie układa on gramatykę języka polskiego w sposób praktyczny i ułatwiony podług tyloletniego swego doświadczenia. Mimo tylu i wielu innych położonych zasług, p. Jachowicz, strawiwszy życie dla dobra innych, widzi się dziś bez sposobu do utrzymania rodziny; bo straciwszy władzę w nogach, na lekcye chodzić nie może, a postradawszy jedno oko zupełnie, drugie zaś mając dużo osłabione, już mało może pracować. Wydanie drukiem kilku z dawna przysposobionych dziełek stanowi dziś jedyny jego fundusz do życia.

— P. Jachowicz wspólnie z najznakomitszymi kompozytorami naszymi, pp. Dobrzyńskim, Moniuszką, księciem Lubomirskim układają śpiewy dla dzieci. Spodziewamy się po pracy téj dzieła w swoim rodzaju doskonałego; nikt bowiem pewno nie potrafiłby ułożyć stósowniejszych wierszyków dla dzieci jak Jachowicz i nikt stósowniejszych melodyi, jak utalentowani owi kompozytorowie, a szczególnie niezrównany

Dobrzyński. Cieszy nas to bardzo, że już znikł ów przesąd, jakoby dla dzieci lada kto mógł coś pisać i układać i że dziś najpoważniejsze talenta zwróciły uwagę na umysłowe potrzeby młodzieży.

— Tym czytelniczkom i czytelnikom, których tylko głuche wieści dochodziły o nadzwyczajnym talencie i mimo młodziuchnego wieku już szerokiéj sławie improwizatorki naszéj (panny Jadwigi Łuszczewskiéj), spodziewamy się donieść pożądaną wiadomość, że improwizacye jéj i poezye w jednym grubym tomie wyszły właśnie z druku, pod napisem:

„**Improwizacye i Poezje Deotymy.**“ Warszawa, nakładem i drukiem Józefa Unger. 1854.

Wydanie jest ozdobne, na pięknym papierze, z dwiema winietami: jednę wykonał artysta warszawski Juliusz Kossak, a drugą artysta M. Fajans; obiedwie litografowane i odbite są w najpierwszym litograficz. zakładzie polskim M. Fajansa.

Aby dać poznać rodzaj talentu i poezyi panny Deotymy, podamy kilka jéj poezyi w „Szkółce.“

— Dramata Korzeniowskiego Józefa, serya III. w 2 tomach, opuściły prasę drukarską.

Skąpe te wiadomości o nowych dziełach i książkach, zwłaszcza naukowych, wyszłych w ostatnim czasie w Warszawie, uzupełnimy w następnym numerze „Dodatku Literackiego.“

KRAKÓW. Już przed paru laty czytaliśmy w jedném z pism naszych wzmiankę, że p. Lucyan Siemieński przedsięwziął napisać historyą literatury powszechnéj. W ostatnim numerze lwowskiego „Dziennika Literackiego“ znajdujemy doniesienie, że p. Siemieński pracę swą już ukończył, do druku przygotował i że całkowite dzieło, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeszcze w ciągu tego roku wyjdzie z pod prasy p. t.

„**Historya literatury powszechnéj w główniejszych zarysach.**“

„W dziele tém — powtarzamy słowa „Dziennika Liter.“ — na trzy tomy podzieloném, znajdują się, oprócz wytkniętych głównych prądów, któremi udzielały się i krążyły między narodami wyobrażenia, także rozbiory ścisłe niektórych górujących pisarzy, oraz obszerne, szczegółowe poglądy na pewne stanowcze w życiu świata epoki.“

— Zasłużony pod wielu względami profesor uniwersytetu jagiellońskiego, Dr. J. Majer oddał do druku dzieło naukowe, medyczne, noszące tytuł:

„**Fizyologia układu nerwowego,**" wyłożona przez Prof. Dra J. Majera.

Nakładca dzieła tego, p. Friedlein, ogłosił w Krakowie i Warszawie niejako prospekt jego, który tu (podług „Czasu") powtarzamy.

„Fizyologia układu nerwowego, która niebawem wydaną zostanie nakładem D. E. Friedleina w Krakowie, jest jedną częścią zamierzonego przez prof. Majera wykładu fizyologii w jéj całym zakresie. Wszakże każda część tego obszernego dzieła w ten sposób ma być wypracowaną, ażeby sama w sobie stanowiła jednę całość i mogła być użytą z pożytkiem nawet oddzielnie od innych. W téj myśli wyłożoną fizyologią układu nerwowego, z powodu stanowiska, jakie obecnie nauka ta zajęła i związku tak z każdą inną częścią fizyologii, jak w ogólności z każdą gałęzią nauki lekarskiéj, niewątpliwie najważniejszą, tém chętniéj powita świat uczony, że zapełniając dotkliwie czuć się dającą szczerbę w piśmiennictwie krajowém w ogólności, a w szczególności lekarskiém, dogodzi się zarazem lekarzom, którym nie jest tajném znaczenie, jakiego nabyła fizyologia względnie nauki lekarskiéj w dzisiejszym jéj stanie.

„Nie uprzedzając zdania jakie uczeni lekarze powziąść będą mogli o dziele obecnie ogłoszoném, poprzestajemy tu na prostém wykazie jego treści, to tylko dodając, że autor w wypracowaniu takowéj starał się o to usilnie, ażeby dzieło swoje uczynił przydatném równie dla tych, którzy nieobeznani jeszcze z fizyologią nerwów, pragnęliby znaleść w niém ścisłe a dokładne w téj mierze wiadomości zasadnicze, jak niemniéj dla tych, którzy zaznajomieni już z początkami nauki o czynnościach nerwowych, czuliby potrzebę zapoznania się bliższego z jéj całym obszarem i wejrzenia w takie nawet szczegóły, które jako jeszcze nierozwiązane stanowczo, otwierają pole do dalszych poszukiwań i ważnością swoją skłaniają do troskliwego śledzenia każdego na téj drodze postępu. Dla osiągnienia tego celu, wykład niniejszy dokonany został tym sposobem, że tekst czyli główna treść każdego paragrafu, zawiera zawsze pewną zasadniczą wiadomość, w uwagach zaś, niemal do każdego paragrafu dołączonych, autor ich treść bliżéj rozbierając, starał się zapoznać czytelnika z wszelkiemi wątpliwościami, z historycznym rozwojem i literaturą rozbieranego przedmiotu, wykazując, do czego dalsze badania zamierzaćby powinny i podając w wielu razach sposoby dokonywania potrzebnych w téj mierze doświadczeń. Komu więc obcą jest jeszcze nauka fizyologii, ten w miarę upodobania pomijając uwagi, w saméj treści paragrafów znajdzie systematy-

cznie przeprowadzone główne zasady nauki o czynnościach nerwowych, ktoby zaś pragnął głębszego w jéj tajniki poglądu, temu dołączone do tekstu uwagi nastręczą dostateczną do tego sposobność.

,,W dalszém wykonaniu swéj myśli, autor pragnąc, ażeby dzieło jego o ile można samo sobie wystarczyło, starał się wcielić w nie te wszystkie wiadomości, które aczkolwiek same przez się nie są treści fizyologicznéj, jednakże dla zrozumienia fizyologii nerwów są niezbędnym warunkiem. Stosuje się to przedewszystkiém do histologii nerwów, któréj treściwe wcielanie do niniejszego wykładu już z tego powodu stało się konieczném, że polskie piśmiennictwo nie posiada jeszcze dzieła treści histologicznéj.

,,Nakładca niczego nie szczędzi, ażeby wydanie uczynić odpowiedniem ważności dzieła, tak pod względęm schludności wydania, jak pod względem dostarczenia biegle a nawet ozdobnie wykonanych licznych drzeworytów."

Wstęp zawiera następujące przedmioty:

I. Znaczenie układu nerwowego w ogólności.
II. Pogląd anatomiczno-porównawczy na układ nerwowy.
III. Pogląd histologiczny na układ nerwowy.
IV. Skład chemiczny istoty nerwowéj.
V. Bliższe oznaczenie zamierzonego wykładu fizyologii nerwów.
Część pierwsza traktuje o działaniu nerwów elektryczném.
Część druga o czynności układu nerwowego fizyologiczném.

Dodać tu jeszcze winniśmy wykaz krótki prac niezmordowanego i uczonego profesora, prac które należy policzyć do jednéj z pięknych ozdób jagiellońskiego uniwersytetu. Można je podzielić na następujące kategorye, i tak:

1. *Wiadomości z dziejów wydziału lekarskiego w uniwersytecie krakowskim i rzeczy lekarskiéj w Polsce:*

Zaprowadzenie w uniwersytecie krakowskim oddzielnéj katedry anatomii.
Stan wydziału lekarskiego od jego początku do 18$\frac{46}{47}$ r.
Ustawy wydziału lekarskiego w uniwersytecie krakowskim z roku 1433, 1525, 1536, 1724 i różne inne.
Zabytki z dziejów tegoż wydziału ogłaszane z rękopismów.
Wiadomości o Walentym z Lublina i Walentym Fontanie.
Zawód lekarski J. Brościusa.
Wojciech Nowopolski (Novicampianus) pod względem tożsamości tego imienia teologa i lekarza.
Wspomnienie o Krysztofie Najmanowiczu.
Wiadomość o Janie Innocentym Petrycym.
Wspomnienie o życiu J. Boduszyńskiego.
Obraz postępu nauki lekarskiéj o ile do tego przyczyniły się prace lekarzy polskich, Cz. I. od r. 1837—39, Cz. II. od r. 1840—42.

Wiadomość historyczna o urządzeniach weterynarskich w kraju byłego wolnego miasta Krakowa.

2. *W przedmiocie słownictwa lekarskiego:*

(łącznie z profesorem Skoblem)

Spostrzeżenia nad wyrazami lekarskiemi polskiemi.

Objaśnienia uwag nad wyrazami lekarskiemi zamieszczonemi w Kwartalniku naukowym krakowskim.

Słownik anatomiczno-fizyologiczny.

Niemiecko-polski słownik wyrazów lekarskich.

Uwagi w przedmiocie zasad słownictwa lekarskiego w ogólności, w szczególności zaś polskiego.

3. *W przedmiocie fizyologii.*

O cieple jestestw organicznych.

Przyczynek do nauki o temperaturach.

Przegląd potworów rybich z bliższemi uwagami nad karpiami mopsowatemi.

Skutki ścieśnienia powietrza pod względem fizyologicznym i patologicznym.

Wpływ stanu meteorologicznego na śmiertelność według dziesięcioletnich spostrzeżeń w Krakowie.

Szczegół historyczny w przedmiocie budowy nerwów.

Rozbiór wprawy, przyzwyczajenia i nałogu.

Doświadczenia fizyczne we względzie tworzenia się krwi powłoki.

Spostrzeżenia fizyczne we względzie wyssania i wydzielania.

O zębie jeżowca, jako przyczynek do porównawczéj histologii zębów.

4. *Jako prezes towarzystwa naukowego:*

Cel i zasady nowego urządzenia towarzystwa naukowego krakowskiego.

Pogląd na znaczenie uniwersytetów w stosunku do państwa i innych naukowych zakładów.

Roczne zdania sprawy.

— Pan Wincenty Pol przygotował nowy do druku zbiór poezyi swych, z którego siedm poezyi zamieściliśmy w niniejszym poszycie „Szkółki.“

Poemat W. Pola, p. t. „**Senatorska Zgoda**,“ z którego „Czas“ przed rokiem podał piękny ustęp, wyszedł już z druku, nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu.

NOWE POWIEŚCI POLSKIE.

Uderzającą jest liczba powieści polskich z ostatnich dwóch lat, co zdaje się być dowodem coraz się powiększającéj pu-

bliczności czytającéj. Szereg naszych powieściopisarzy pierwszego rzędu pomnożył się o dwóch nowych utalentowanych pisarzów: przybył Zygmunt Kaczkowski i Jan Kanty Gregorowicz.

Oto są najnowsze drukiem ogłoszone powieści:

Józefa Korzeniowskiego: Garbaty: — Tadeusz bezimienny; — Stolnikiewicz (drukowany w „Dzienniku Warszawskim") i Pojedynek (drukowany w „Gazecie Warszawskiéj.")

J. I. Kraszewskiego: Interesa familijne w 4 tom.; — Kordecki w 2 tom.; — Dziwadła w 2 tomach; — Typy i charaktery w 1 tom.; — Powieść bez tytułu w 4 tom. (drukuje się w „Gazecie Warszawskiéj.")

Rzewuskiego Henryka: Zaporożec, drukowany w fejletonach „Dziennika Warszawskiego" i osobno w 4 tomach w Warszawie.

Ignacego Chodźki: Żegoga z Milanowa Milanowski i drugie wydanie 5téj seryi „Obrazów Litewskich."

Józefa Dzierzkowskiego: Dwaj bliźnięta, we Lwowie u Kallenbacha.

Zygmunta Kaczkowskiego: Murdelion w 3 tom.; — Bracia ślubni (powieść drukowana w „Gazecie Warszawskiéj.")

Jana Kantego Gregerowicza: Zarysy domowe w 2 tom.; — Dwie sceny z życia wiejskiego; — Zaloty nowomodne (w „Dzienniku Warszawskim.")

Kazimierz Wojcicki drukuje w „Dzienniku Warszawskim" Archiwum domowe, rodzaj pamiętników.

WROCŁAW. Ryszard Roepell, profesor uniwersytetu wrocławskiego, autor zaszczytnie znanego dzieła „Geschichte Polens, Hamburg 1840," czytał téj zimy dzieje jagiellońskie, lecz tylko przeszedł dwa panowania, t. j. Władysława Jagiełły i Władysława Warneńczyka. Odczyty profesora Roepella odznaczać się miały, jak wszystkie jego prelekcye, gruntownością, i jak zapewniają słuchacze, bezstronnością. Podobno uskarżał się p. Roepell na brak gruntownie opracowanych

źródeł do dziejów polskich. Zapewne profesor nie omieszka uczonych swych prac, będących dalszym ciągiem rozpoczętéj historyi Polski, drukiem ogłosić.

POZNAŃ. Zarzucano kilkakrotnie, między innemi w „Gazecie Warszawskiéj,“ że Wielkie Księstwo Poznańskie zbyt mało przyłożyło się do zasilenia płodami i wydaniami swemi piśmiennictwa bieżącego. Aby choć w części zarzut ten odeprzeć, podajemy spis dzieł i książek, które od dwóch lat u nas wyszły na widok publiczny. Ze wszystkich naszych nakładców najwięcéj wydała dzieł i dziełek księgarnia p. J. K. Żupańskiego w Poznaniu; od niéj więc zaczynamy. Oto wykaz książek, wydanych nakładem i staraniem p. Żupańskiego w ostatnich dwóch latach:

Album Kajetana Wincentego Kielisińskiego, 1853. — kosztuje 10 tal. — Już po wydaniu tego „Album“ p. Żupański nabył 5 blach od Ambrożego Grabowskiego i spodziewa się nabyć 30 jeszcze blach znajdujących się w zbiorze ś. p. Pawlikowskiego. Zamierza więc wydać dodatkowy poszyt rycin Kielisińskiego.

Bajki, podarek dla Anusi, ilustrowane, 1853. 1 tal.

Bałwochwalstwo słowiańskie przez Joachima Lelewela, 10 sgr. 1853.

Bank mobilizacyjny, czyli projekt nowego systemu kredytu rolnego z zastósowaniem do wolności handlowéj między narodami, 10 sgr. 1853.

Bukolika Wirgiliusza, wiersz miarowy tłum. Dra Marc. Mottego, 7½ sgr. 1852.

Dzieje kościoła helweckiego w Małéj Polsce przez Józefa Łukaszewicza, 3 tal. 10 sgr. 1853.

Dzieje Anglii przez Maccaulay.

Fundamenta budowy społecznéj przez M. Mora, dział I. 1½ tal. 1852.

Fundamenta budowy społecznéj przez tegoż, dział II. 1½ tal. 1853.

Historya naturalna dla szkół, kurs I. przez Dra Józefa Szafarkiewicza, 5 sgr.

Historya naturalna dla szkół, kurs II. p. tegoż, 10 sgr. 1853.
Jezuici i ich dążność przez L. Z., 10 sgr. 1853.
Legendy historyczne przez Bron. Kamińską, z 22 rycinami, 3 tal. 10 sgr. 1852.
Mowa żałobna podczas obchodu żałobnego za duszę ś. p. Karola Antoniewicza, miana przez księdza A. Prusinowskiego, 10 sgr. 1852.
Mowa żałobna przy pogrzebie ks. Jana Kantego Dąbrowskiego, biskupa i sufragana poznańskiego, miana dnia 7. kwietnia 1853 roku przez tegoż $2\frac{1}{2}$ sgr. 1853.
Mowa na ten sam obchód, przez ks. Chr. Janiszewskiego, 10 sgr.
Narody na ziemiach słowiańskich przed początkiem Polski, z rycinami i mapami, przez J. Lelewela, 7 tal. 1853.
O gnojach uważanych jako nawozy, przez J. Girardin, tłumaczone z francuz. Na rzecz Tow. Nauk. Pomocy. 1 tal. 20 sgr. 1853.
O sposobie osiągnienia prawdy, filozofia praktyczna przez Jakóba Balmès, tłum. z hiszpańskiego przez L. P. 1 tal. 1853.
Słówko o Jezuitach przez L. K., 10 sgr. 1853.
Satyry Horacyusza, wiersz miarowy przez Dra Marc. Mottego, 3 złp. 1853.
Wspomnienie o Kownie przez Bonawenturę z Kochanowa, 15 sgr. 1854.
Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, przez Dra Ludw. Gąsiorowskiego, 2 tomy, $4\frac{1}{2}$ tal., tom I. 1839, tom II. 1853.
Żywot Tadeusza Tyszkiewicza, 25 sgr. 1853.
Elektra, trogedya Sophoklesa, przekładania Antoniego Małeckiego. 1854.
List żelażny, tragedya, tegoż. 1854.
Szkic towarzyskiego życia miasta Warszawy w drugiéj połowie XIX. stulecia, przez L. P. 1854.
Zbiór pieśni i piosneczek szkólnych, ułożonych na 2, 3 i 4 głosy do śpiewania, wydał T. Klonowski, serya II.

Pod prasą znajduje się:

Album prac rytowniczych Lelewela, złożone mniéj więcéj z 45 kart, w formacie Album Kielisińskiego, i

Tom III. **Zbioru Wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj** w Polsce od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, przez Dra Ludwika Gąsiorowskiego.

Tom IV. i ostatni ważnego tego dzieła także już jest przygotowany do druku.

Księgarnia N. Kamieńskiego i Spółki wydała w ostatnim czasie następujące dzieła:

Historya powszechna w 4 tomach, przez K. Błociszewskiego, kosztuje 6 tal.

Konfederacya Gołąbska, obraz historyczny, skreślony za czasów Stanisława Augusta przez niewiadomego pisarza; cena $1\frac{1}{2}$ tal.

Geografia ogólna ze szczególnym względem na Słowiańszczyznę, a mianowicie Polskę, przez Stanisława Zawadzkiego, cena 1 tal.

Co się działo w Polsce od samego początku i t. d., cena 1 tal.

Samo Sierra, przez Andrzeja Niegolewskiego.

Dzieje Rzeczypospolitéj polskiéj, p. Jędrzeja Moraczewskiego, tom VIII. (dalszy ciąg siedmnastego wieku).

Złoty ołtarzyk dla chłopców.

Złoty ołtarzyk dla dziewcząt.

Pod prasą znajduje się pierwszy tom ważnego bardzo dzieła, zawierającego urzędowe akta tyczące się historyi polskiéj od roku 1700.

Zapowiedzianego dzieła: „Studia o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki, przez R. W. Berwińskiego,“ nakładem autora, wyszedł tom jeden. Cała ta praca objęta będzie dwiema tomami. Jeżeli się nie mylimy, tom drugi (a raczéj I.) już jest oddany do druku.

Nakładem Enslina w Berlinie wyszła z druku część pierwsza książki szkólnéj p. t. „Rachunki praktyczne ułożyli dla szkół: P. Vogel, naucz. szkoły realnéj w Berlinie i W. Brennecke, dyrektor szkoły realnéj w Poznaniu; przełożył na język polski J. Zaborowski, naucz. szkoły realnéj w Poznaniu.“

GNIEZNO. Nakładem A N. K., czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu, opuściły druk: Poezye religijne Maryi z Gniezna, dział 1szy. Na dochód sierót. Poznań, w komisie księgarni J. K. Żupańskiego, 1854.

Marya z Gniezna przed pięciu laty ogłosiła drukiem pierwsze swoje utwory poetyczne.

Nie mając prawie żadnych katalogów pod ręką, pewno niejedno jeszcze dziełko opuściliśmy, które w przeciągu ostatnich dwóch lat wyszło na widok publiczny na ziemi wielkopolskiéj. Będziemy się starali, powyższy spis książek uzupełnić a o każdém na przyszłość nowém dziele lub dziełku regularnie wiadomość w niniejszém piśmie podawać.

LWÓW. Krążącą od pewnego czasu wieść po pismach znajdujemy potwierdzoną doniesieniem ze Lwowa, że druk drugiego wydania Lindego słownika już się rozpoczął pod dozorem uczonego Augusta Bielowskiego.

Dowiadujemy się z „Dziennika warszawskiego“, że staraniem i nakładem p. Tytusa Działyńskiego „wyszło znowu parę szacownych dzieł w Poznaniu. Pomiędzy niemi mają być roczniki rodziny Orzelskich, przez Jana Orzelskiego, kasztelana rogozińskiego, starostę kościańskiego w r. 1611 spisane, w języku łacińskim. Wydawca posiadając w kornickiéj bibliotece swojéj autograf tych roczników, wydał je ozdobnie i bardzo starannie w wielkiéj 4ce u Ludwika Merzbacha w Poznaniu 1854.“

† Józef Elsner. Dnia 18. przeszłego miesiąca (kwietnia) umarł w Warszawie Józef Elsner, Nestor polskiéj muzyki, nauczyciel Szopena i Ignacego Dobrzyńskiego, autor tak wysoko cenionego w świecie muzykalném oratoryum pod tytułem „Męka Zbawiciela“, badacz cech narodowych muzyki polskiéj, twórca narodowych pieśni, które nieomal każdy zna, śpiewał, słyszał. Elsner urodził się 1769 r. w miasteczku Grotków w Szląsku; w młodości swojéj przybył do Polski, całém sercem kraj nasz pokochał, przybrał nas za swoich rodaków i życie nam poświęcił. Lubo cudzoziemiec z urodzenia, potrafił jednakże wniknąć w ducha narodowéj muzyki naszéj, pierwszy wskazał jéj tór właściwy, czego najlepszym dowodem są jego pieśni, polonezy i kantaty. Dla sceny polskiéj napisał dwadzieścia i kilka oper i kilkanaście melodramatów, które w swoim czasie z wielkiem powodzeniem przyjęto. Msze jego i inne kościelne utwory dotąd są w ciągłém użyciu i uwielbiane przez znawców. Na dwa lata przed śmiercią przeniósł się do ciszy wiejskiego zakątka Elsnerówki, i z radością tam przyjmował szczególnie dawnych uczniów swoich, których on popchnął na drogę sztuki, którym wskazał pierwsze kroki, zachęcał do pracy, wzbudzał wiarę w talent i t. p. Elsner przyjmował dawnego ucznia swego jak syna, zniechęconego ciągłem pasowaniem się z trudnościami sztuki i chłodem świata zasilał radami i zachętą, bo wszelka zawiść daleką była od jego serca, bo kochał sztukę jak matkę, artystów jak dzieci. — Na kilka tygodni przed śmiercią sędziwego starca, artyści warszawscy, uczniowie, w rocznicę jego imienin odwiedzili go w jego ustroniu. Zwłoki jego odprowadziły liczne tłumy na cmentarz powązkowski. Ksiądz Ksawery Kurowski, przyjaciel zmarłego, skreślił żywot artysty-chrześcianina, niezmordowanego w miłości sztuki, wzniosłego w czci i uwielbieniu dla Stwórcy. — Wzniosłe requiem Mozarta, obok którego Elsner stanął jako twórca nieśmiertelnego oratoryum „Męka Zbawiciela,“ zabrzmiało nad jego trumną a potém „Salve Regina“ ulubionego jego ucznia, wcześnie zmarłego Tomosza Nideckiego i „marsz żałobny“ Ignacego Dobrzyńskiego, także wychowańca nieboszczyka.

ROZMAITOŚCI.

Giornale di Firenze podaje sprawozdanie z koncertu, na którym pomiędzy innymi artystami odznaczył się p. Hieronim Salamoński z Krakowa, przybyły niedawno z Ameryki do Europy, i który zamierza podobno dać się słyszeć w kilku miastach europejskich i po drodze zawitać do rodzinnego miasta swojego. Dziennik włoski takie o śpiewie jego daje zdanie: „Głos jego obszerny baryton łączy w sobie dobrą metodę z rzadką wybitnością (una rara precisione). Najgłówniéj otrzymał on oklaski w romansie z „Maria di Rudenz,“ który sobie tylko właściwym oddał sposobem.“

WARSZAWA. Młody nasz artysta, rzeźbiarz Święcki — mówi Dziennik Warszawski — który już z wielu prac dał się zaszczytnie poznać, wykonał z gliny figurkę Twardowskiego (osobę znaną z powiastek ludowych). Twardowski lewą ręką obejmuje słup drożny na rozstaju, prawą ma wzniesioną i wyciągniętą naprzód, jakby zażegnywał lub wzywał złego ducha. Twarz pełna wyrazu. Cała figurka ma blisko $\frac{1}{4}$ arszyna wysokości.

KRAKÓW. P. Leon Dembowski, uczeń tutejszéj szkoły sztuk pięknych przy instytucie technicznym, wyjechał do Wiednia, uzyskawszy od rządu dwuletnie szkólne stypendyum, celem dalszego kształcenia się w zawodzie malarstwa krajobrazów. Na takiém podobnież stypendyum od września roku zeszłego bawi w Wenecyi p. Kazimierz Mirecki, doskonalący się w zawodzie malarstwa historyczno-religijnego, a pan Schubert po dwuletnich studiach w Wiedniu i Monachium w zawodzie rzeźbiarstwa, pozyskał obecnie stypendyum artystowskie z własnéj monarszéj szkatuły.

Redaktor
EWARYST ESTKOWSKI.
(Piekary Nr. 13.)

Poznań, czcionkami W. Deckera i Spółki.

Szkółka
DLA MŁODZIEŻY
WRAZ Z
DODATKIEM LITERACKIM

wychodzi ośm razy do roku w sześciotygodniowych poszytach.

Przedpłatę roczną, wynoszącą 2 tal., a półroczną 1 talar, przyjmują wszystkie urzędy pocztowe w Państwie Pruskiém, oraz księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu. Redakcya nie przyjmuje przedpłaty.

Prenumeratorom rozsyła księgarnia J. K. Żupańskiego poszyty zaraz po ich wyjściu, miejscowym przez swego kolportera, zamiejscowym pocztą, franco.

Przesyłki do Redakcyi uskuteczniać prosimy pod adresem albo Redakcyi, albo księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor
EWARYST ESTKOWSKI.
(W Ostrowie pod Wieleniem.)